Siłownie: doping jak cukierki • „Precz z komuną!”, czyli z czym • Do pracy z psem
Moda na egzorcyzmy • Wywiad ze Scarlett Johansson • Ukraina we mgle • Telefobia

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

© STUDIO POLITYKI

TYGODNIK, nr 49 (3543),
3.12–9.12.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT)
nr indeksu 369195



Następca?

Co się dzieje między Nawrockim a Kaczyńskim

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 9.12.2025

ISSN 0032-3500

49

9 770032 350503

Muzeum Getta Warszawskiego

85. Rocznica zamknięcia granic getta

Był mur w Warszawie

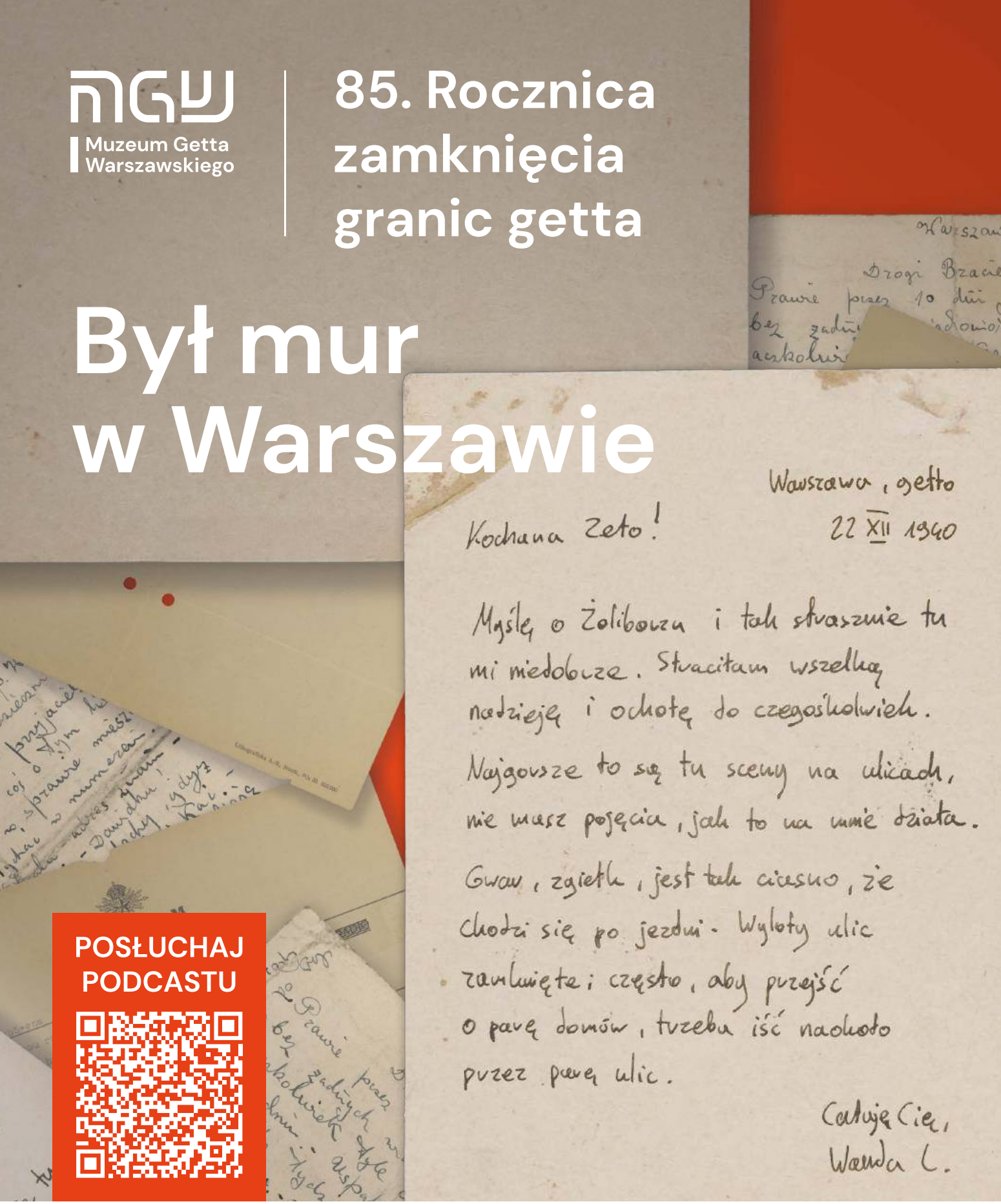

POSŁUCHAJ PODCASTU

www.1943.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

„Miasto za murem" dostępne na wszystkich platformach streamingowych

eprasa.pl d6bf8a6782



© GETTY IMAGES

16
Polska na dopingu

Tematy tygodnia

12 Paweł Reszka **Ukraina: wojna na górze, wojna na dole**
16 Joanna Cieśla **Sterydy anaboliczne – Polacy serwują sobie jak cukierki**

Polityka

20 Anna Dąbrowska **Kaczyńskiego kłopot z Nawrockim**
23 Rafał Kalukin **Czy wraca postkomuna?**

Społeczeństwo

26 Joanna Podgórska **Telefobia młodych**
30 Katarzyna Kaczorowska **Do pracy z psem**
33 Marta Lau ODCHODZIĆ PO LUDZKU **Kiedy mąż opiekuje się chorą żoną…**
36 Jak wygląda wypędzanie szatana, opowiada **Szymon Piegza**, autor książki „Mieli nas za opętanych"

Rynek

38 O amerykańskim sektorze technologicznym, który przeszedł z lewicy na prawicę, mówi **Jacob Silverman**, autor książki „Gilded Rage"

41 Cezary Kowanda **Kiepskie prognozy dla lotniska w Radomiu**

Świat

44 Adam Szostkiewicz **Katoliccy nacjonaliści**
48 Łukasz Wójcik **Kirił Dmitrijew – główny negocjator Putina**
50 INDIE Dlaczego dla Indusów Rosja jest ważniejsza od Ukrainy, tłumaczy politolożka **Sriparna Pathak**
52 Mariusz Zawadzki WŁOCHY **Jannik Sinner – maszyna do tenisa**

Nauka/projektpulsar.pl

54 Kiedy nadejdzie zmierzch ludzkości – przewiduje brytyjski paleontolog **Henry Gee**
58 Rozmowa z dr inż. **Aleksandrą Wdowczyk**, laureatką Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii nauki ścisłe

Historia

60 Violetta Wiernicka **Jak 200 lat temu Polacy spiskowali z Rosjanami, by obalić cara**
63 Piotr Korczyński **Prawdziwe bękarty wojny**

Kultura

70 Rozmowa ze **Scarlett Johansson**, amerykańską aktorką, debiutującą „Eleonorą Wspaniałą" w roli reżyserki filmowej
74 PASZPORTY POLITYKI 2025 **Nominacje: muzyka popularna i sztuki wizualne**
80 Piotr Sarzyński **Feministyczne wystawy w MSN**
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Sport

84 Marcin Piątek **Triki i uniki Roberta Lewandowskiego**

Ludzie i style

94–97 • **Toksyczna parentyfikacja**
• **Młot na boty?**
• **Coś by poszponcić…**
• **Niezwykła Wyspa Lalek**
• **Zupa jeszcze jesienna**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **66** Afisz • **89** Passent • **90** Lis • **91** Witkowski
• **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji • **98** To jeszcze nie koniec

© ZDJĘCIE NA OKŁADCE: MARCIN GADOMSKI/PAP

eprasa.pl d6bf8a6782



Wybór wroga

Mariusz Janicki

Prezydent Karol Nawrocki zawetował kolejne trzy ustawy i jednocześnie ponowił swoją propozycję, aby rząd konsultował z nim swoje projekty już „na wczesnym etapie pracy". Czyli prezydent chce stać się trzecią, a w zasadzie pierwszą izbą parlamentu, z rządem jako pomocniczym biurem przygotowującym wstępne zarysy ustaw. Ta ustrojowa zmiana miałaby się dokonać po cichu, bez fatygowania do tego konstytucji. Ale nadal słychać zachwyty, jak to prezydent „kolosalnie się rozwinął", a dziennikarze liberalnych mediów już przesądzają jego drugą kadencję. Ostatnio pochwały zebrała decyzja Nawrockiego, że nie spotka się z premierem Orbánem z powodu jego wizyty u Putina. Coś, co byłoby oczywiste dla każdego polityka z obozu demokratycznego, w przypadku prezydenta staje się jeszcze jednym jego osiągnięciem, bo przecież mógł się spotkać.

Ta ulgowa taryfa wciąż obowiązuje, mimo że w sferze realnych działań Nawrocki głównie nie podpisuje, nie awansuje i nie odznacza. Ale Nawrocki stale jest na widoku, stał się centralną postacią, grubo powyżej swojego realnego znaczenia w strukturze władzy – częściowo na życzenie rządzącego obozu.

Taki jest skutek uboczny tego, że Donald Tusk wybrał na głównego przeciwnika właśnie Nawrockiego, a nie Kaczyńskiego czy skrajną prawicę. Tę determinację w starciu z prezydentem widać też było w wystąpieniach nowego marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, który mówił o „parlamentarnym wecie", czyli o niezajmowaniu się przez parlament projektami Nawrockiego, co od razu spowodowało wiele słów krytyki i porównania do marszałek Elżbiety Witek. Ale Czarzasty najwyraźniej wyczuwa priorytety premiera Tuska, czyli fokus na Nawrockiego (więcej o tzw. powrocie komuny na s. 23). Taka strategia ma swoje zalety, bo oznacza marginalizację Jarosława Kaczyńskiego i jego partii, skupienie się na konflikcie wzdłuż linii frontu „prawdziwej polityki", czyli premier kontra prezydent. W rezultacie rzeczywiście Koalicji Obywatelskiej nieco wzrosły notowania, ale Nawrockiemu jeszcze bardziej, choć już widać chyba sufit (o politycznej roli Nawrockiego i jego relacji z prezesem PiS na s. 20).

Jednak sondaże zaczynają się stabilizować, a wzrosty KO ostatnio stanęły. To jednak wciąż PiS jest głównym politycznym przeciwnikiem obozu rządzącego, zwłaszcza formacji Tuska, a nie Nawrocki, który żadnej partii nie ma i na razie nie jest liderem prawicy, a co najwyżej kandydatem na patrona. Po stronie rządowej słychać głosy triumfalizmu, ogłasza się koniec smuty. Można to zrozumieć jako reakcję na traumę i zapaść po nieudanych wyborach prezydenckich. Gorzej, kiedy przysłania to realia. Ogólnie prawica łącznie wciąż ma wyraźną przewagę nad partiami tworzącymi rządzącą koalicję. Wyniki PSL, a zwłaszcza Polski 2050, są katastrofalne (w jednym z ostatnich sondaży partia Szymona Hołowni uzyskała 0,7 proc. wskazań, PSL oscyluje na granicy 2–3 proc.). Nawet jeśli w końcu Korona Grzegorza Brauna spadnie pod próg, a Lewica pozostanie na poziomie 6–7 proc., to wciąż za mało, aby myśleć o przedłużeniu rządów po 2027 r.

Widać zatem, że Koalicja Obywatelska nie uniknie frontalnego, także ideologicznego starcia ze starym przeciwnikiem, czyli PiS. To nie z Nawrockim trzeba wygrać za dwa lata, a walka Tuska z nim niekoniecznie musi pogrążyć Kaczyńskiego. To są jednak, mimo pewnej części wspólnej, dwa różne odcinki frontu, a wybór głównego wroga jest tu kluczowy.

Widać, że Tusk wiele zainwestował w Waldemara Żurka i rozprawę z przeciwnikami na gruncie Kodeksu karnego. Napisał na X: „Rozliczenia wchodzą w decydującą fazę". Pojawiają się nowe akty oskarżenia (wobec Michała Wosia czy osób zamieszanych w sprawę Collegium Humanum), sprawdzane są finanse fundacji o. Tadeusza Rydzyka. I nadal dużą siłę rażenia, co potwierdzają sondaże, ma sprawa Zbigniewa Ziobry, którego ostatnio atakują nawet kibice, zazwyczaj prawoskrętni i antytuskowi (inspiracja Konfederacji?). Fraza Ziobry, że „nie uciekł, tylko na razie nie wraca", z pewnością znajdzie się w złotej księdze cytatów polskiej polityki. Pojawia się tu zresztą ciekawy paradoks: PiS oficjalnie „rozumie i akceptuje" to, że Ziobro musi uciekać, ale w istocie bardzo by chciał, żeby wrócił i został „męczennikiem". Rządzący obóz zaś niby domaga się powrotu posła, ale najwygodniej dla władzy, aby ten pozostał u „kompromitującego się" Orbána. Jednak strategia, gdzie z Nawrockim toczy się poważną polityczną walkę, a PiS jest pozostawiony wymiarowi sprawiedliwości, ma swoje ograniczenia, bo samym Kodeksem karnym z PiS się nie wygra, a wywindowany Nawrocki w decydującym momencie i tak wesprze Kaczyńskiego.

Dlatego wciąż główny polityczny dylemat KO brzmi: czy głosić podobne jak prawica postulaty, co ma jej odbierać polityczny tlen, czy też zdecydować się w końcu na otwarte zwarcie państwa liberalnego z katolicko-narodowym. Decyzja co do wyboru głównej strategii jeszcze chyba nie zapadła. Wypowiedź premiera Tuska po wyroku TSUE o konieczności uznawania w Polsce małżeństw homoseksualnych zawartych za granicą, że „nikt niczego nie będzie nam w tej sprawie narzucał", jest elementem wspomnianej mimikry (więcej na s. 6). Ale nie brak opinii, że trzeba jednak ostatecznie pokazać także siłę liberalnej demokracji, bezkompromisowo bronić pewnych wartości, bo tego oczekuje wielu wyborców, którzy nigdy nie zagłosują na PiS, ale mogą nie znaleźć motywacji, aby zagłosować na koalicję 15 października. Od właściwego wyważenia tych dwóch opcji może zatem politycznie zależeć wszystko.

eprasa.pl d6bf8a6782

Albatros travel

Sorrento i czar Południowych Włoch



2 posiłki dziennie

Zamieszkaj w Sorrento i poznaj skarby Neapolu, antyczne Pompeje, malownicze Wybrzeże Amalfi oraz inne atrakcje regionu Kampanii z polskim pilotem wycieczek.

Podczas podróży do Kampanii zamieszkamy w przytulnym hotelu w centrum Sorrento, malowniczo położonego nad Zatoką Neapolitańską z widokiem na Wezuwiusz. Odkryjemy uroki miasta oraz największe atrakcje regionu: starożytne Pompeje, tętniący życiem Neapol – kolebkę pizzy – i słynne wybrzeże Amalfi. Zwiedzimy też imponujący pałac królewski w Casercie, a chętni popłyną na Capri. Zaplanowano również wizytę w winnicy u stóp Wezuwiusza z degustacją lokalnych specjałów.

NOWOŚĆ

8 dni
Wylot z Warszawy
06/04 2026

od **6.998,-**





Pełne wyżywienie na statku

Rejs po rzece Mekong

Popłyń w niezapomniany rejs z Ho Chi Minh City w Wietnamie do Angkor Wat w Kambodży na pokładzie wygodnego statku rzecznego, a na koniec odwiedź jeszcze Bangkok.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Ho Chi Minh. **Dz. 3** Ho Chi Minh. Tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. **Dz. 4** Ho Chi Minh – wejście na pokład statku rzecznego w Can Tho – Long Xuyen. **Dz. 5** Long Xuyen – Wyspa Tygrysów – Tan Chau. Pływający targ i Świątynią Tygrysa w formie pagody. **Dz. 6** Tan Chau – wycieczka po okolicy. **Dz. 7** Tan Chau – Phnom Penh, Kambodża. **Dz. 8** Phnom Penh. Wycieczka po mieście, Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng, Pola Śmierci i więzienie S-21. **Dz. 9** Phnom Penh – Wyspa Jedwabiu – Kampong Cham. **Dz. 10** Kampong Cham – Siem Reap. **Dz. 11** Siem Reap. Świątynie Angkor Thom i Angkor Wat. **Dz. 12** Siem Reap. Muzeum min przeciwpiechotnych, wizyta w lokalnej wiosce i pożegnalna kolacja. **Dz. 13** Siem Reap. Czas wolny. Przelot do Bangkoku. **Dz. 14** Bangkok. Zwiedzanie miasta, Świątynia Leżącego Buddy Wat Pho i wycieczka łodzią po kanałach. **Dz. 15** Bangkok. Czas wolny i podróż powrotna do domu. **Dz. 16** Przylot do Warszawy.

16 dni | Wyloty z Warszawy 22/02 2026, 22/02 2027 | od **17.998,-**



Weekend Majowy

Amsterdam i kwitnące tulipany

Odwiedź Amsterdam wiosną i zobacz kwitnące tulipany w parku Keukenhof.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wiatraki w Zaanse Schans. **Dz. 2** Amsterdam – rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. **Dz. 3** Park kwiatowy Keukenhof. Wizyta na farmie serów. **Dz. 4** Amsterdam – czas wolny i powrót do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy 05/04, 28/04 2026 | od **4.498,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL46**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl d6bf8a6782

Przepis o przepisaniu

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w wyroku z 25 listopada nakazał Polsce uznać małżeństwo dwóch osób tej samej płci zawarte w Niemczech i wpisać (czy raczej przepisać) ten dokument do polskich akt stanu cywilnego.



Prawica podniosła wrzawę. Marcin Romanowski z PiS stwierdził, że to „skandaliczna ingerencja w suwerenne kompetencje państw członkowskich"; Zbigniew Ziobro ocenił, że Unia „wbrew międzynarodowym umowom, wbrew polskiej konstytucji i woli narodu chce wprowadzić do Polski małżeństwa homoseksualne" i podporządkować kraj „lewackiej agendzie". Krzysztof Bosak z kolei przypomniał, że zwolennicy integracji od dawna zapewniali, że Unia nie będzie wkraczać na pole aksjologii i obyczajów polskich.

To nie jest debata prawnicza. Akurat w tym wyroku TSUE przyznaje, że państwa członkowskie same decydują, czy dopuścić u siebie zawieranie małżeństw jednopłciowych. Tu rzecz dotyczy innej sytuacji. Dwaj mężczyźni, w tym jeden posiadający podwójne polsko-niemieckie obywatelstwo, przez dłuższy czas mieszkali w Niemczech i tam zawarli małżeństwo, przy czym przyjęli wspólne nazwisko, czyli umocnili związek w rozumieniu prawa europejskiego. Zdaniem TSUE jeżeli obywatele UE ułożyli życie rodzinne w jednym państwie członkowskim, to muszą być pewni, że będą mogli je kontynuować po przenosinach do państwa pochodzenia. Sprawa więc „wpadła" w obszar traktatów unijnych, które gwarantują wszystkim Europejczykom niedyskryminowanie i równe traktowanie na terytorium Unii (co powinniśmy widzieć na granicach, na rynku pracy itd.).

A bez transkrypcji, czyli przepisania aktu zawarcia małżeństwa za granicą do polskich akt stanu cywilnego, trudno funkcjonować w Polsce we wszystkich sprawach urzędowych i finansowych, gdzie istotna jest osoba małżonka. Taka transkrypcja wymaga tylko zmiany wzoru akt stanu cywilnego, żeby rubryki brzmiały inaczej niż: „mężczyzna, kobieta" (np. „małżonek, małżonek"). I – żeby polski formularz elektroniczny przyjmował numery PESEL, bo PESEL-e mają „płeć" rozpoznawalną w przedostatniej cyferce. Skoro wzór wprowadzono rozporządzeniem ministra cyfryzacji, to i tą drogą można go zmienić. Akta stanu cywilnego – po przepisaniu (transkrypcji) treści zagranicznego dokumentu – zaczną w ogóle „widzieć" osoby i ich związek. Jak to dalej byłoby w życiu? Droga jest nierozpoznana i do równego traktowania takich związków w Polsce – daleka. Bo wszędzie tam, gdzie procedury sądowe, notarialne, skarbowe i administracyjne są już zdigitalizowane, trzeba by pozmieniać zasady i sformułowania.

I wbrew temu, że literalne brzmienie dokumentu małżeństwa pozwalałoby na ochronę znacznej części praw „małżonka", mogłoby się w praktyce okazać, że i tak sądy i urzędy odmawiałyby załatwienia ich spraw, oczekując, żeby ustawodawca wprowadził ustawy o związkach partnerskich albo równości małżeńskiej.

Jednak przez sześć lat poszczególne urzędy, potem sądy administracyjne odmawiały owej transkrypcji, bo „byłaby sprzeczna z podstawowymi zasadami porządku prawnego RP". Nie ma co ukrywać, że art. 18 konstytucji zawiera bardzo wyraźną preferencję dla małżeństwa „jako związku kobiety i mężczyzny", ale nie formułuje zakazu dla innych wariantów związku. Małżeństwo znajduje się „pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej". Ale uwaga! Pod tą ochroną i opieką są też w konstytucji „rodzina" i „rodzicielstwo". W przypadku związków jednopłciowych nie musi to być akurat ten sam zakres ochrony.

Pełnomocnik pary mężczyzn **Jakuba Kwiecińskiego** i **Dawida Mycka**, którzy występowali z wnioskiem o transkrypcję, adw. Paweł Knut komentuje wynik w paradoksalny sposób: Polska utyka w sporach, nie będąc w stanie stworzyć nowych przepisów. I przez to mnoży skargi trafiające do trybunałów zagranicznych. A ich orzeczenia nie dotyczą tylko Polski, lecz wszystkich podobnych państw unijnych – więc także Rumunii, Bułgarii, Słowacji. Im bardziej zatem Polska się upiera, tym bardziej standard ochrony obywateli w Unii się wzmacnia.

To inny wyrok i inny sąd (Europejski Trybunał Praw Człowieka – sprawa z 2023 r. Przybyszewska i in.) nakazuje nam zinstytucjonalizować związki (niekoniecznie małżeństwa) par tej samej płci. Trybunał zwrócił uwagę, że taka instytucjonalizacja nie stanowiłaby żadnego szczególnego obciążenia legislacyjnego, administracyjnego lub innego dla państwa, natomiast służyłaby ważnej potrzebie społecznej znacznej grupy osób. Rzeczywiście, co to by komu przeszkadzało? W innych krajach spory dawno ustały, mało kto zwraca na tego typu sprawy uwagę.

Prawda, że zmiany szły powoli. Przecież, choć nie tak znowu dawno, nie tylko nie było mowy o małżeństwach jednopłciowych, ale same stosunki homoseksualne były surowo karane. Policja ścigała mężczyzn; wtrącano ich do więzienia. W katolickiej Irlandii zniesiono tę karalność dopiero w 1993 r. I nie podoba mi się argument, że Unia nam coś „narzuca", ogranicza suwerenność. Wprowadzanie współczesnych norm cywilizacyjnych w dziedzinie zdrowia, ochrony środowiska, jakości powietrza i żywności nie pasuje mi do określenia „narzucanie". Niestety sam Donald Tusk użył tego określenia.

Kiedy w 2005 r. w katolickiej Hiszpanii wprowadzono małżeństwa jednopłciowe, tamtejsi znajomi tak mi tłumaczyli: rosła liczba rodziców, którzy zaczęli dostrzegać zmianę postaw swoich dzieci albo mieli do czynienia z osobami LGBT we własnej rodzinie. I posłowie zaczęli głosować inaczej. No tak. Czasu się nie zatrzyma.

MAREK OSTROWSKI

© MATEJ LESKOVSEK/ REUTERS/FORUM, PAP/MARIAN ZUBRZYCKI, MP

eprasa.pl d6bf8a6782

Powrót Rysia



Drugi rok z rzędu Kościół katolicki zaskakuje tuż przed gwiazdką biskupią nominacją. I jest to zaskoczenie pozytywne. Rok temu metropolitą warszawskim został abp Adrian Galbas, teraz kard. **Grzegorz Ryś** obejmie Kraków. To oznacza, że kończy się blisko dziewięcioletnie urzędowanie abp. Marka Jędraszewskiego, najbardziej upolitycznionego metropolity, który ustawiał się w roli obrońcy wiary i ojczyzny w zmaganiach z „tęczową zarazą", „ekologizmem", „ulicą i zagranicą", a także wzywał do okazywania miłosierdzia sprawcom pedofilii w Kościele. Dla wielu stał się twarzą Kościoła w Polsce. Jako wiceprzewodniczący episkopatu miał też realną władzę.

Kard. Ryś uchodzi za jego przeciwieństwo. To historyk Kościoła, otwarty na świat, zaangażowany w tzw. nową ewangelizację, ekumenizm, dialog międzyreligijny, zwłaszcza z judaizmem oraz z niewierzącymi. „Funkcjonuje nieraz takie myślenie, że Kościół jest zawsze prowadzony przez Ducha Świętego i nigdy się nie myli. Bardzo trudno wtedy przyznać się do pomyłki" – mówił kilka lat temu podczas dyskusji z Adamem Michnikiem w Domu Arcybiskupów Warszawskich. Dopiero co, w połowie listopada, ogłosił powołanie niezależnej komisji historycznej do zbadania przypadków wykorzystywania seksualnego w archidiecezji łódzkiej (którą kierował przez ostatnie osiem lat). To była jego odpowiedź na niepowołanie ogólnopolskiej komisji przez episkopat. I – oby – zapowiedź tego, co nastąpi w Krakowie. Bo za panowania abp. Jędraszewskiego żadne badania przeszłości nie były możliwe.

Przyjście kard. Rysia budzi nadzieję na powiew świeżego powietrza w krakowskim Kościele; on sam z Krakowa pochodzi i był tam już biskupem pomocniczym. Jednocześnie przedłużające się szukanie następcy abp. Jędraszewskiego (jego emerytura mogła się zacząć już półtora roku temu) świadczy o wewnątrzkościelnym napięciu i kadrowych brakach. Abp Jędraszewski w ostatnią niedzielę podziękował w liście pasterskim tym, którzy go wspierali. Poprosił o wybaczenie: „Jeżeli kogoś zawiodłem lub sprawiłem przykrość".

W ciągu dziewięciu lat Kościół stracił zaufanie blisko jednej czwartej społeczeństwa – wynika z opublikowanego we wrześniu sondażu IBRiS dla PAP. Zaufanie do Kościoła deklaruje niewiele ponad jedna trzecia Polaków. Zmiana w Krakowie (decyzją papieża Leona XIV) może poprawić wizerunek instytucji; w episkopacie nadal jednak rządzą twardogłowi. (JHP)



Orka spod znaku śledzia

Polska zdecydowała się zamówić trzy okręty podwodne ze Szwecji. Dla MON i całego rządu to sukces sam w sobie, bo wybór nowych jednostek zrywa z trwającym ćwierć wieku „imposybilizmem". Dla marynarzy podwodniaków to uzupełnienie brakującego elementu mozolnie odbudowywanych sił morskich. Na początku przyszłej dekady pod polską banderą mają pływać trzy nowe fregaty i przynajmniej jeden nowy okręt podwodny – i to zaprojektowany specjalnie do działań na Bałtyku. Ale dla wyznaczonego do realizacji tego zadania szwedzkiego przemysłu, z wiodącą stocznią Saab-Kockums, eksportowy sukces to wyzwanie, któremu niełatwo będzie sprostać.

Szwedzi obiecanych Polsce okrętów nie mają, bo ich budowa opóźnia się o dekadę, a koszty stale rosną. Ostatni aneks do umowy, zawarty kilka tygodni przed polską decyzją, mówi o oddaniu pierwszej z dwóch jednostek zamówionych przez szwedzką marynarkę w 2031 r., a więc rok później niż życzy sobie tego Polska. Zastrzyk pieniędzy zza morza może przyspieszy prace w Karlskronie, a Sztokholm zapewne wykaże się przychylnością i odda nam „swój" okręt – inaczej cały *deal* stanie pod znakiem zapytania. Niecałe pięć lat na dostarczenie okrętu, który istnieje dziś w sekcjach, sprawi, że wywołane wyborem emocje szybko nie miną. Bo równie ważne jest to, kogo pominięto.

Wśród przegranych są Francja i Niemcy – czołowe zachodnioeuropejskie potęgi przemysłowe i polityczne; Włochy i Hiszpania – kraje średnie, choć ambitne i nieustępujące technologicznie potentatom; oraz Korea Południowa – wielki wygrany ostatnich lat na polskim rynku zbrojeń, obiecująca najszybszą dostawę i zaangażowanie przemysłowe. A jednak wygrał europejski średniak, z obietnicą, ale nie produktem.

Kluczem do decyzji była bowiem polityka, a nawet geopolityka. Oferując Szwecji strategiczne partnerstwo na dekady, oparte na podwodnym kontrakcie, Polska buduje bałtycki pomost przemysłowo-wojskowy, o którym od dawna mówi. „Orka" ze Szwecji to nie zwykłe zamówienie zbrojeniowe, ale deklaracja wzięcia Bałtyku pod polsko-szwedzką kuratelę, z pomocą Brytyjczyków, którzy na finiszu wsparli szwedzką ofertę i obiecują pomoc technologiczną. Północny wymiar polskiej polityki zagranicznej nagle zyskał obronny filar. A jeszcze niedawno, gdy trwał konkursowy „bazarek", Szwedów nieco lekceważąco określano jako „śledzie". Przyjdzie w nich zasmakować. (MŚ)

eprasa.pl d6bf8a6782

TYDZIEŃ W POLITYCE

Bez za(c)hamowań



Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House

„Cicho, cicho, świnko" – rzucił prezydent USA do reporterki Bloomberga Catherine Lucey. Bo pytała go o mail Epsteina, w którym handlarz żywym towarem stwierdził, że Trump „wiedział o dziewczynach". Żadnego potępienia. Świat uznał, że 47. prezydent USA tak ma. Prostactwo wpisano w naturę urzędu. Wzruszenie ramion zamiast konsekwencji. To nie przypadek, to metoda.

Miss Universe Alicia Machado zeznała, że Trump nazwał ją kiedyś „Miss Piggy". Trump nie zaprzeczył. „Przybrała na wadze w dużej ilości" – tłumaczył w telewizji. Psy i konie też są na liście jego brudnych komplementów. Gail Collins z „The New York Times" twierdzi, że powiedział jej, że ma „twarz psa". Stormy Daniels, aktorka filmów porno, która doprowadziła do skazania Trumpa, miała z kolei jego zdaniem „końską twarz". Omarosa Manigault Newman, była współpracowniczka prezydenta, usłyszała od niego, że jest z marginesu społecznego, a poza tym jest psychopatką i paranoiczką. Kiedy upadają autorytety, chamstwo nie jest wadą. Jest walutą.

Świat przyjął to do wiadomości, bo „Trump tak ma". Pięć lat temu Kevin Rudd, ówczesny premier Australii, napisał w mediach społecznościowych, że uważa go za „najbardziej destrukcyjnego" prezydenta w historii USA. Panowie spotkali się po latach w Białym Domu. Rudd, już jako ambasador w USA, usłyszał od Trumpa: „Nie lubię cię i pewnie nie polubię". W czasie dopieszczania w Białym Domu władcy Arabii Saudyjskiej, księcia Mohammeda bin Salmana, Trump wypowiedział słowa, które aż trudno cytować: kiedy ABC News przycisnęło go w sprawie morderstwa Jamala Khashoggiego – dziennikarza poćwiartowanego piłą na zlecenie saudyjskiego księcia – Trump wzruszył ramionami: „Things happen", zdarza się… Wszak nie wypada zawstydzać gościa pytaniami o takie sprawy.

To samo miejsce, ten sam czas, dziennikarka Mary Bruce pyta Trumpa o sprawę Epsteina i cały świat słyszy jego ripostę: „Jesteś okropnym człowiekiem, jesteś okropnym dziennikarzem". Reporterzy są zawsze łatwym celem, kłamliwe sugestie, że komuś służą, łatwo trafiają do zwolenników autora. „Ja z chamami nie rozmawiam, pan jest chamem" – to już z kolei Jarosław Kaczyński na sejmowym korytarzu do dziennikarza TVN. Zostało zacytować i wzruszyć ramionami. W powszechnym nadmiarze treści obrażanie zdrowego rozsądku staje się powszechne. Grzegorz Braun w wywiadzie rzucił, że: „Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fejk". Zajmuje się nim prokuratura, ale otoczenie Brauna jest dumne, że „on przynajmniej nie owija". Agresja słowna przestała być błędem systemu – stała się jego cechą. Wyborcy nie szukają świętych, szukają sprawczości. A w uproszczonym, brutalnym przekazie mediów społecznościowych sprawczość waży tyle, ile bezczelność.

Raport Reuters Institute pokazuje, że 40 proc. ludzi na świecie celowo unika wiadomości; to rekord. Nie dlatego, że ich to nie obchodzi. Dlatego, że mają dość. Psycholog Ralph Hertwig z Instytutu Maxa Plancka nazywa to „świadomą ignorancją", efektem strusia. To mechanizm obronny.

Republikańska polityk Maria Elvira Salazar mówiła w CNN, że Trump to „kolorowy" człowiek. Że powinniśmy go osądzać na podstawie jego polityki, a nie jego słów. „Doskonali są w niebie". W jednym więc się zgodzę: w piekle Trump ma szansę być bezkonkurencyjny.

Kara za Collegium



Prokuratura skierowała do sądu pierwszy akt oskarżenia związany z aferą Collegium Humanum. Dokument liczy ponad 600 stron, a zarzuty dotyczą m.in. wyłudzenia nienależnych pieniędzy, kupowania świadectw ukończenia studiów MBA i korupcji. Obejmują zarówno prominentnych polityków PiS, jak i samorządowców. Jednym z nich jest **Jacek Sutryk**, prezydent Wrocławia, który w odpowiedzi na ruch prokuratury zorganizował konferencję prasową. Zapewnił podczas niej, że w sądzie udowodni swoją niewinność, a najważniejsze obecnie jest dla niego przyjęcie przez radę miejską rekordowego budżetu miasta. To zaś oznacza, że Sutryk nie zamierza zrezygnować z pełnionej funkcji, choć Bogdan Zdrojewski, jeden z autorów umowy koalicyjnej po wyborach samorządowych, stwierdził, że dla dobra miasta powinien. Poseł Michał Jaros, zarazem szef regionalnych struktur KO na Dolnym Śląsku, zapowiada, że premier rozważa wprowadzenie we Wrocławiu zarządu komisarycznego. Pikanterii dodaje fakt, że w 2024 r. Jaros sam planował start w wyborach na prezydenta Wrocławia. Zrezygnował po wskazaniu przez Donalda Tuska jako kandydata popieranego przez jego partię właśnie Jacka Sutryka. Dzisiaj wrocławska KO jest skonfliktowana, a wiceprezydentka Renata Granowska, która tę funkcję objęła w ramach umowy koalicyjnej, została wyrzucona z ugrupowania.

Oskarżeni w aferze CH przekonują, że zarzuty wobec nich są bezpodstawne. Tak mówi chociażby Karol Karski z PiS. Prokuratura ma jednak kluczowego świadka. To Paweł Cz., były rektor CH, który w swoich zeznaniach miał ujawnić mechanizm działania uczelni i relacji z prominentnymi studentami, którym dyplom MBA, po zmianie przepisów przez Zjednoczoną Prawicę, otwierał drogę do zasiadania w radach nadzorczych m.in. spółek samorządowych. Dzięki takiemu dyplomowi, jak przekonuje prokuratura, m.in. prezydent Wrocławia miał zarobić ok. pół miliona zł, choć według oskarżycieli w ogóle nie studiował. Mają o tym świadczyć m.in. data przelewu płatności za studia (zrealizowany został nie na początku pierwszego semestru, ale przed końcem drugiego). (KK)

© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl d6bf8a6782

Od atomu do reaktora – materiały przyszłości

Dzięki wykorzystaniu superkomputerów i modeli numerycznych naukowcy przewidzą zachowanie nowoczesnych materiałów już na etapie projektowania – na poziomie atomowym. Narodowe Centrum Badań Jądrowych (NCBJ) wkrótce otworzy laboratoria ukierunkowane na współpracę z przemysłem.

Materiały zdolne do pracy w ekstremalnych warunkach, czyli w bardzo wysokich temperaturach, pod wpływem promieniowania jądrowego czy w środowisku korozyjnym są niezbędne w przemysłach: jądrowym, chemicznym i medycznym. Tradycyjne opracowywanie nowych materiałów to proces długi i kosztowny, często oparty na metodzie prób i błędów. Centrum Doskonałości NOMATEN ma to zmienić poprzez projekt Nomaten Core, który połączy symulacje komputerowe, badania eksperymentalne i testy w warunkach odwzorowujących środowisko pracy materiału. W efekcie czas od pomysłu do gotowego rozwiązania skróci się z lat do miesięcy. Zespół prowadzić będzie badania w kilku obszarach.

Medycyna

Nowoczesny mikroskop i tribotester oraz inna unikatowa aparatura badawcza umożliwią badania materiałów w środowisku ludzkich płynów ustrojowych, a to pozwoli testować nowe materiały na implanty i protezy stawu biodrowego. Ponadto naukowa grupa radiofarmaceutyczna w Centrum Doskonałości NOMATEN i ośrodku POLATOM (produkującym radiofarmaceutyki wykorzystywane w diagnostyce i terapii nowotworów) będzie korzystać z zaawansowanego skanera PET/SPECT/CT. System ten umożliwia obserwację w czasie rzeczywistym rozkładu radioizotopów w organizmie. Jest to znaczący krok w kierunku opracowania bardziej skutecznych, celowanych radiofarmaceutyków diagnostycznych i terapeutycznych, przeznaczonych m.in. do leczenia raka piersi, prostaty, guzów mózgu oraz białaczki.

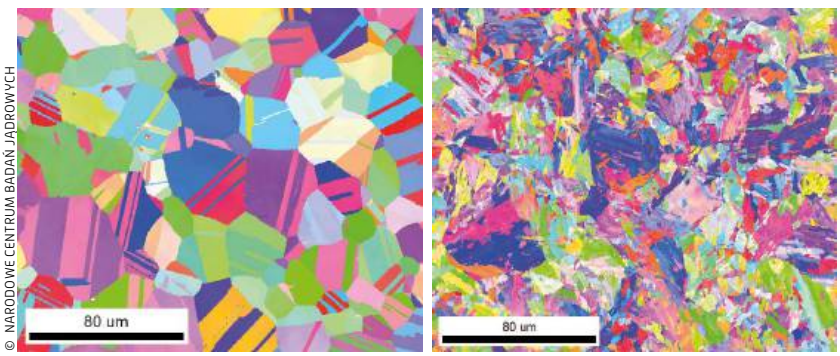

© NARODOWE CENTRUM BADAŃ JĄDROWYCH

Po lewej, zoptymalizowana mikrostruktura stopu z dobrze uwidocznionymi ziarnami, poddana wyżarzaniu w wysokiej temperaturze. Po prawej, mikrostruktura badanego stopu po wytopie przed zastosowaniem obróbki termicznej.

Energetyka jądrowa

Ważnym elementem projektu będzie budowa pierwszego w Polsce stanowiska do badania korozji naprężeniowej. Urządzenie to odwzoruje warunki panujące w reaktorze jądrowym typu PWR (reaktor wodny ciśnieniowy), czyli temperaturę, ciśnienie i oddziaływanie środowiska chłodzącego. Jest to ważny krok w rozwoju Polskiego Programu Energetyki Jądrowej, w którym NCBJ odgrywa kluczową rolę ekspercką. Badania te pomogą w szacowaniu tak zwanego czasu życia materiałów, tzn. pozwolą określić, kiedy bezpiecznie wyłączyć reaktor.

Synergia

Nomaten Core będzie działać w ścisłej współpracy z innymi kluczowymi przedsięwzięciami NCBJ - laboratorium CERAD, które zajmuje się produkcją nowych rodzajów radiofarmaceutyków, a także powstającym równolegle Maria Neutron Laboratory, gdzie prowadzone będą badania z wykorzystaniem dyfrakcji neutronowej. Metoda ta pozwala na dogłębną analizę struktury materiałów, w tym określenia pozycji atomów i ich ruchu np. w wyniku zewnętrznego naprężenia. To pomoże jeszcze lepiej projektować innowacyjne materiały o podwyższonych właściwościach funkcjonalnych.

Choć oficjalna inauguracja ośrodka zaplanowana jest na 2026 rok, zainstalowane dotąd urządzenia zaczynają pracować i służyć badaniom. Ilustrują to zdjęcia mikrostruktury nowego rodzaju stopów posiadającego ponadprzeciętne właściwości mechaniczne i odporność radiacyjną. Dzięki zastosowanej obróbce termicznej zespół Nomaten zoptymalizował mikrostrukturę stopu, co pozwoliło zrozumieć jego zachowanie w realnych warunkach eksploatacyjnych i znaleźć związek z właściwościami mechanicznymi.

Inwestycja

Nomaten Core to strategiczna inwestycja w infrastrukturę badawczą współfinansowana przez Unię Europejską w ramach Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO) w kwocie prawie 70 milionów zł. Dzięki takim inwestycjom Polska dołącza do wąskiego grona krajów prowadzących najbardziej zaawansowane badania materiałowe w Europie i na świecie.

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY
Rzeczpospolita Polska
Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

eprasa.pl d6bf8a6782



Wszyscy za jednego

Zabójca żołnierki Gwardii Narodowej w Waszyngtonie, 29-letni Afgańczyk **Rahmanullah Lakanwal**, był dżihadystą – sugerują amerykańskie władze. Jego motywy nie są jednak jasne i nie wiadomo, czy to przejaw ogólnego zagrożenia ze strony 80 tys. imigrantów z Afganistanu zbiegłych przed talibami po ewakuacji wojsk amerykańskich w 2021 r. i przyjętych w Stanach Zjednoczonych jako uchodźcy. Wiele wskazuje, że chodzi raczej o skrajny przypadek życiowego wykolejenia – albo o „samotnego wilka", który rusza na swój dżihad wyłącznie pod wpływem treści czerpanych z internetu.

Mimo to Donald Trump już wie – trzeba wstrzymać przyjmowanie uchodźców z Afganistanu i innych krajów rządzonych przez dyktatorów lub nękanych wojną domową, co czynił Joe Biden. Wini się go za niechlujną lustrację uchodźców, choć nigdy nie ma gwarancji, że przez sito nie przeniknie potencjalny zabójca, a decyzję w sprawie Lakanwala podjęła… administracja Trumpa. On zaś zapowiedział odbieranie prawa stałego pobytu w USA legalnym imigrantom i zastopowanie wszelkiej imigracji „z krajów Trzeciego Świata". Jeśli ktoś ma wątpliwości, co to oznacza, przypomnijmy, że Trump ograniczył wcześniej przyjmowanie uchodźców zewsząd – z wyjątkiem RPA, skąd mogą przybywać biali Afrykanerzy zagrożeni przez czarnych.

Część uchodźców z Afganistanu pomagała Amerykanom podczas wojny jako kombatanci (jak Lakanwal) albo tłumacze, narażając się na zemstę talibów. Ameryka zaciągnęła u nich dług i ma obowiązek zapewnić im nowy dom – choć moralny argument to może za dużo w przypadku Trumpa. Ciekawe, jak pokona prawne problemy związane z wyrzucaniem z USA ludzi legalnie tam mieszkających. A perspektywa wstrzymania wszelkiej imigracji z biednego Południa to już fantazja, bo przybysze stamtąd to gros pracowników tradycyjnych usług.

Nie ulega kwestii, po co Trump zapowiada ukrócenie imigracji. Uszczelnienie granicy sprawiło, że przygasł temat „obcej inwazji" cudzoziemców, którzy zabierają pracę Amerykanom i zagrażają bezpieczeństwu na ulicach. A dziś znów trzeba wskazać winnego obecnych kłopotów: inflacji, drożyzny i porażek międzynarodowych. Stąd najnowsza, niedorzeczna teza, że to uchodźcy są głównym obciążeniem budżetu i źródłem długu USA.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Europa w kamasze

Podczas wizyty **w garnizonie w Varces prezydent Emmanuel Macron** ogłosił z pompą powrót we Francji zasadniczej służby wojskowej. Została zlikwidowana w 1996 r. w ramach „pokojowej dywidendy", kiedy się wydawało, że Europa na trwałe oddaliła widmo konfliktów zbrojnych. A teraz pobór wraca, na razie w postaci dobrowolnej, i na początek ma objąć do 3 tys. 18-latków, także kobiet, a docelowo 50 tys. w 2035 r. Służba potrwa 10 miesięcy, będzie wypłacany żołd – w okolicach 1 tys. euro. Poborowi zasilą liczącą 200 tys. armię, a po służbie – korpus 47 tys. rezerwistów.

Decyzja o poborze nie wzbudziła kontrowersji. 86 proc. Francuzów (w sondażu IPSOS) chciało, żeby powrócił. Według socjologa Brice'a Teinturiera jest to forma nostalgii – w wojsku mieszały się różne klasy społeczne, uczyło dyscypliny i odpowiedzialności. Jednak za przymusem służby wojskowej opowiada się już tylko 53 proc. Kilka dni wcześniej Francuzów zszokowało wystąpienie szefa sztabu generalnego gen. Fabiena Mandona, w którym stwierdził, że wobec zagrożeń płynących z Rosji „brakuje ducha", a ojczyzna może stanąć przed perspektywą



„utraty swoich dzieci". Macron szybko doprecyzował, że nowa służba wojskowa będzie odbywana tylko w kraju i we francuskich terytoriach zamorskich.

Do poboru, zawieszonego w 2011 r., szykują się także Niemcy. Wszyscy18-latkowie obowiązkowo (a 18-latki na własne życzenie) będą wypełniać ankiety pod kątem służby. W 2027 r. przejdą obowiązkowe badania lekarskie. Licząca dziś 182 tys. żołnierzy Bundeswehra ma urosnąć na początek o 20 tys., z pułapem 260 tys. za 10 lat (do tego 200 tys. rezerwistów). Więcej szczegółów powinniśmy poznać jeszcze w grudniu.

Obie płcie w obowiązku służby wojskowej zrównała Dania. Od tego roku wszyscy 18-latkowie muszą się zarejestrować, pierwszeństwo w poborze – służbę wydłużono do 11 miesięcy – mają ochotnicy, a jeśli nie wypełnią kontyngentu, reszta będzie losowana na zasadzie równości. Podobny system losowania wprowadziła Litwa, tam jednak obowiązek dotyczy tylko mężczyzn. Przymusu nigdy nie zniosła Finlandia (a teraz planuje podwyższenie wieku rezerwistów do 65 lat), a także Estonia, Grecja, Cypr i neutralna Austria, ale podwyższają pule i dopuszczają służbę kobiet. Dłuższa jest lista tych, którzy przywrócili lub przywracają pobór: m.in. Bułgaria, Łotwa, Belgia, Holandia i Rumunia. Nie ma na niej (jeszcze?) Polski, która zawiesiła służbę zasadniczą w 2009 r.

© NATHAN HOWARD/REUTERS/FORUM, ROMAIN DOUCELIN/ABACA/EAST NEWS, VERNON YUEN/NEXPHER IMAGES HONG KONG/IMAGO/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d6bf8a6782



Test pożarowy

Tragiczny w skutkach pożar siedmiu budynków mieszkalnych w **Hongkongu** stał się problemem Xi Jinpinga. W ostatnich latach przywódca chińskich komunistów drastycznie ograniczył miejscowe swobody polityczne. W byłej kolonii brytyjskiej nie ma już wyborów, opozycji, niezależnej prasy i protestów ulicznych. Jest za to pochodząca z pekińskiej nominacji administracja, która stara się zmierzyć z konsekwencjami kryzysu, a nie tylko go wyciszyć. Głównie po to, by udowodnić, że dokręcenie śruby nie obniżyło jakości życia w czołowej metropolii Azji Wschodniej.

Ogień pojawił się w kompleksie Wang Fuk Court, akcja gaśnicza trwała kilkadziesiąt godzin. Do tej pory odnaleziono 146 ciał mieszkańców i cudzoziemskich członków ekipy, która remontowała 31-piętrowe wieżowce. 150 osób wciąż uznawano za zaginione. Pożar rozprzestrzeniał się bardzo szybko, do czego przyczyniły się łatwopalne elementy rusztowań. Postawiono je z bambusa. To tradycyjna technika, wpisana na listę miejskiego dziedzictwa kulturowego, stosowana w okolicy od co najmniej 2 tys. lat. Bambusowe rusztowania są tanie i wytrzymałe, w Hongkongu za ich pomocą rutynowo stawia i odnawia się wysokościowce, choć akurat w Wang Fuk Court spadające belki blokowały dostęp strażakom.

W pierwszej reakcji władze zatrzymały odpowiedzialnych za remont. Wprowadziły też trzydniową żałobę i zapowiedziały, że zaplanowane na 7 grudnia ustawione wybory do malowanej miejskiej legislatywy odbędą się zgodnie z planem. Z kolei służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo bacznie przyglądały się mobilizacji oddolnie koordynujących się obywateli, tropiąc potencjalne „podżeganie do buntu i separatyzmu". Pomagały tłumy wolontariuszy, którzy ustawiali się w długie łańcuchy, by potrzebującym dostarczać żywność, wodę i ubrania.

W Wang Fuk Court mieszkało ok. 6 tys. osób. Na razie poszkodowanych umieszczono w hotelach, ale rychłe znalezienie dla nich nowych adresów będzie graniczyło z cudem. W Hongkongu brakuje mieszkań, a te dostępne są bardzo drogie. Dużym kłopotem dla władz są zarzuty braku nadzoru nad sektorem budowlanym (urzędnicy od miesięcy ignorowali skargi lokatorów na przebieg remontu i na zarządzanie komunalnym osiedlem). W kiepskim świetle stawiają też rządzących zdjęcia licznych wozów strażackich, które zatrzymały się na granicy z należącym do Chin miastem Shenzhen. Nie wjechały do Hongkongu, by nie sprawiać wrażenia niesamodzielności wzorowego miasta.

Zwrócony do nadawcy

W raz z końcem roku **duńska poczta państwowa** jako pierwsza w Europie przestanie doręczać listy. Jeszcze 15 lat temu PostNord miała siedem gigantycznych sortowni listów, dziś ma jedną na przedmieściach Kopenhagi. Z duńskich ulic znika właśnie ponad 1,5 tys. czerwonych skrzynek pocztowych, w kolejnych dwóch latach pracę straci 60 proc. zatrudnionych w PostNord. Jednak zapewne niewielu Duńczyków zwróci na to uwagę. W 2000 r. państwowa poczta dostarczyła ok. 1,4 mld listów, w 2024 r. – zaledwie 110 mln. Firma, utworzona w 2009 r. w wyniku fuzji szwedzkiej i duńskiej poczty, przynosiła w ostatnich latach kolosalne straty (dystrybucja listów w Szwecji nie zostanie przerwana).

Powody są dość oczywiste. Dania to – według OEDC – drugi najbardziej zdigitalizowany kraj na świecie, zaraz po Korei Południowej. Od ponad dekady tamtejszy rząd działa w myśl zasady „domyślnej cyfryzacji" i kontaktuje się z obywatelami wyłącznie drogą elektroniczną. To jednak paradoksalnie tworzy nowe problemy w starzejącym się społeczeństwie. Starsi Duńczycy wolniej adaptują się do tych zmian. Stąd m.in. sukces prywatnej firmy kurierskiej DAO, która zapowiada, że po Nowym Roku przejmie listowne obowiązki państwowej poczty wobec seniorów, zwłaszcza na prowincji.



Tąpnięcie zainteresowania listami nastąpiło rok temu, gdy duński rząd zniósł monopol PostNord na dostarczanie listów, wpuszczając na rynek konkurencję, jednocześnie pozbawiając państwową pocztę 25-procentowej zniżki od podstawowej stawki VAT. PostNord musiał natychmiast podnieść cenę podstawowego znaczka z 15 na 29 koron (czyli z 8,50 zł na 16,40 zł). Ale to żaden duński fenomen. Według firmy konsultingowej McKinsey w ostatniej dekadzie globalny rynek listów zmniejszył się o 30 proc. W Europie sytuacja jest jeszcze gorsza. W tym samym okresie najwolniej liczba listów spadała w Niemczech i Szwajcarii: minus 40 proc., ale standardem są spadki 50- i 70-procentowe. W Stanach Zjednoczonych to 46 proc. W Polsce w okresie 2020–24 spadek ten wyniósł 25 proc. (z 1054 mln do 792 mln listów).

Zakończenie doręczania listów w Danii to koniec ponad czterowiekowej tradycji. Tamtejsza poczta pierwszy list dostarczyła w 1626 r., co akurat na Polakach nie powinno robić wrażenia, bo my – tak jak z widelcami – byliśmy zdecydowanie pierwsi. Pierwsze polskie połączenie pocztowe między Krakowem a Wenecją przez Wiedeń ustanowił król Zygmunt August w 1558 r.

eprasa.pl d6bf8a6782

Wojna na górze, wojna na dole

Ukraina płonie od rosyjskich ataków. Ameryka naciska na oddanie Donbasu. Społeczeństwo jest wściekłe na skorumpowaną władzę. Prezydent zwalnia drugą osobę w państwie. Czy ten kryzys uda się powstrzymać?

PAWEŁ RESZKA Z KRAMATORSKA I KIJOWA



Tak paskudnych nastrojów w Ukrainie nie było od dawna. Niektórzy mówią, że od lutego 2022 r., kiedy rosyjskie czołgi mknęły na Kijów i wydawało się, że za chwilę nastąpi katastrofa. Teraz pesymizm wywołuje nie tylko zła sytuacja na froncie, ale wielka afera korupcyjna, która dotknęła elit władzy i spowodowała dymisję Andrija Jermaka, najbliższego współpracownika Zełenskiego, zwanego wiceprezydentem.

Kiedy pod koniec tygodnia prezydent zwalniał swego faworyta, front w Donbasie szczelnie otulała mgła. Na przykryte siatkami antydronowymi drogi wyjechały karetki. Medycy korzystali, że drony przeciwnika oślepły na chwilę, i wywozili rannych z pozycji. Dokonywano też pospiesznej rotacji ludzi w okopach. Dostarczano jedzenie, amunicję i wodę na najdalsze, najbardziej zagrożone odcinki frontu.

Wszystkich pozabijamy

Tego dnia spotkałem się z ukraińskim oficerem, który w Donbasie służy od 2022 r. – *Mgła bywa też przekleństwem* – wyjaśniał. – *Przeciwnicy przebrani w cywilne ciuchy podkradają się do naszych pozycji. Nagle okazuje się, że są tuż obok. Zaczynają strzelać.*

Tego dnia na przedmieściach Konstantyniwki Rosjanie przesunęli się aż o 600 m. W warunkach miejskich, gdzie walki toczą się o każdy dom, to potężna zdobycz.

Rozmawialiśmy w Kramatorsku, który jest codziennie ostrzeliwany i który wraz ze Słowieńskiem, Drużkiwką i Konstantyniwką miałby według amerykańskich propozycji pokojowych stać się częścią Rosji. – *Chciałbym zobaczyć tego samobójcę, który wyda rozkaz odwrotu. Musiałby to zrobić wyłącznie prezydent. Żaden generał tego nie podpisze. I dokąd mielibyśmy się cofać? Zostawiać im miasta i bronić się w polach?* – tłumaczy oficer. Pytam, co mówią okopy o aferze korupcyjnej. – *Że trzeba jakoś przetrwać, obronić się, a jak się to wszystko skończy, to policzymy się z politykami.* – Jak? – pytam. – *Wszystkich ich pozabijamy!*

Powiedziane to było niby w formie żartu, ale ludzie są wściekli na polityczną elitę, którą obwiniają o doprowadzenie do największego kryzysu od początku wojny. Wszystko zaczęło się od ujawnienia przez biuro antykorupcyjne NABU taśm z nagraniami grupy przestępczej, która okradała na wiele milionów dolarów państwową spółkę Energoatom. W jej skład wchodził m.in. minister sprawiedliwości, minister ds. energetyki i były wicepremier. Centralną postacią układu był Timur Mindycz – biznesmen i przyjaciel Zełenskiego. Mindycz został ostrzeżony i uciekł za granicę, co tylko pogłębiło społeczną wściekłość. – *Ewidentnie afera uderzyła po wizerunku i popularności prezydenta* – mówi Jewhen Magda, znany ukraiński politolog. Mają to potwierdzać niepublikowane badania opinii społecznej, gdzie popularność Zełenskiego spadła do 25 proc.

Wybuch afery zbiegł się z ofensywą dyplomatyczną USA. – *Zaproszono nas do amerykańskiej ambasady* – opowiada ukraiński dziennikarz. – *Charge d'affairs Julie Davis poinformowała, że rozpoczyna się czas szybkich i „agresywnych" negocjacji. Pytaliśmy, czy plan jest uzgodniony z Rosją. Była odpowiedź, że najpierw ma się pod nim podpisać Ukraina, a potem dokument zostanie zawieziony do Moskwy do akceptacji!* Według źródeł POLITYKI Amerykanie chcieli wykorzystać chwilę słabości Zełenskiego – który był zaskoczony skalą korupcyjnego skandalu. – *Przedstawiali absurdalny plan. Zagrali va banque, mając nadzieję, że im się uda* – mówi ukraiński polityk, który chce zachować anonimowość. Politolog Jewhen Maga jest podobnego zdania: – *Mindyczgate przyspieszyła tę sprawę. – Amerykanie testowali także zachowanie Europy. Chcieli wiedzieć, czy pozostanie bierna, czy pomoże Zełenskiemu* – mówi poseł do Rady Najwyższej.

Liderzy europejscy wyrazili chęć pomocy. Błyskawicznie opracowali „kontrplan", który był znacznie korzystniejszy dla Kijowa. Jednocześnie delegacje USA i Ukrainy spotkały się w Genewie.

Nie będzie na żołd?

Tymczasem w Kijowie rozwijała się afera Mindyczgate. Coraz więcej przecieków wskazywało, że Andrij Jermak pojawi się w materiałach śledztwa. Dla niektórych było to oczywiste – system władzy Zełenskiego był tak skonstruowany, że bez Jermaka – prawnika, jednego z architektów kampanii wyborczej Zełenskiego, kadrowca – niewiele mogło się zdarzyć. – *W tym związku Zełenski był aktorem, Jermak producentem* – mówi Jewhen Magda. Ważni ludzie z elity władzy, m.in. lider prezydenckiej frakcji w parlamencie Dawyd Arachamia i Kyryło Budanow, szef wywiadu wojskowego, zaczęli naciskać na Zełenskiego, by pozbył się ulubionego ministra.

Zełenski odpowiedział „nie". – *To chłopak z Krzywego Rogu, robotniczego miasta, gdzie trzeba było być twardzielem. W jego pojęciu każde ustępstwo, każde okazanie słabości może być prostą drogą do porażki* – mówi POLITYCE ukraiński parlamentarzysta, znajomy Zełenskiego. By podkreślić zaufanie do swojego człowieka, Zełenski mianował Jermaka szefem delegacji na rozmowy z Ameryką. Gdy NABU zaczęło przeszukania w domu Jermaka, prezydent musiał się ugiąć.

Całe zamieszanie jest potężnym ciosem dla Ukrainy. Zachodni partnerzy – według nieoficjalnych wiadomości – już zaczęli sugerować, że będą wycofywać się z programów pomocowych. – *A my zależymy od zachodnich grantów. Nawet zapłaty dla wojska w ostatnim czasie były z nich finansowane. To ogromne sumy, na które nas nie stać, i może się okazać, że od nowego roku będziemy mieli kłopoty z wypłacaniem żołdu dla walczących na froncie* – mówi POLITYCE ukraiński parlamentarzysta.

Zegar się śpieszy

A na froncie sytuacja jest dość ponura. Mobilizacja nie przynosi spodziewanych rezultatów. Duża część rekrutów w ogóle nie dociera do jednostek liniowych. Uciekają jeszcze podczas szkolenia albo po drodze na wschód. – *A my zwyczajnie nie mamy żołnierzy. Bierzemy już każdego, nawet ochotników z zagranicy, którzy nie bardzo potrafią posługiwać się bronią. Tymczasem przeciwnik, co nie zdarzało mu się wcześniej, potrafi skutecznie atakować na kilku kierunkach jednocześnie* – mówi oficer ukraińskiej armii.

Najtrudniejsza sytuacja jest pod Pokrowskiem i w Myrnohradzie. Oba miasta są już niemal okrążone. To już sytuacja, kiedy ukraińska armia będzie wycofywać się pod groźbą całkowitego odcięcia. Podobnie było w Bachmucie, Awdijiwce i w obwodzie kurskim. Tam również z decyzją o ustąpieniu zwlekano do ostatniej chwili. W Kramatorsku krążą dowcipy o głównodowodzącym generale Ołeksandrze Syrskim, który patrzy na zegarek. Wskazówka dochodzi do punktu, gdzie napisano: „Opuścić kocioł". Syrski mówi: „Ten zegar znów się śpieszy".

Problem w tym, że zajęcie Pokrowska uwolni dość duże siły przeciwnika. Ukraińscy sztabowcy spodziewają się ataków na Konstantyniwkę i Hulajpole na południu. Ten ostatni kierunek nie jest ani dobrze obsadzony, ani dobrze ufortyfikowany. Przełamanie frontu pod Hulajpolem może dać wyjściowe pozycje do ataku w kierunku dwóch wielkich aglomeracji: Zaporoża bądź Dniepra.

Życie cywili jest coraz trudniejsze. Toczy się w rytmie ciągłych alarmów przeciwlotniczych, wybuchów, wyłączeń energii elektrycznej. – *Największe uderzenia skierowane są na stacje transformatorowe w przyfrontowych miastach, na wschodzie Ukrainy. Jakby przeciwnik chciał podzielić Ukrainę na tę leżącą na prawym i lewym brzegu Dniepru* – mówi Andrij Stasiuk, dziennikarz telewizji Suspilne, ekspert do spraw energetyki. Odłączane są całe dzielnice miast. Na przykład w wyniku ataku rakiet i dronów na Kijów w zeszłym tygodniu ponad pół miliona mieszkańców zostało bez prądu.

Jedną z nich była Żanna, nauczycielka. Jest uchodźczynią z okupowanej Chersońszczyzny: – *Noc była trudna, bo kiedy wyłączają prąd, nie ma też ogrzewania. Spałam w kurtce* – mówi. Codziennością stały się też wyłączenia „planowe", kiedy energetycy próbują naprawiać zniszczoną infrastrukturę. – *Czasami prąd jest ledwie kilka godzin dziennie. Grafik jest w internecie, a ja muszę według* ▶

© JOSE COLON/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ *niego zaplanować pranie, gotowanie i korepetycje online, które są istotną częścią moich zarobków* – wyjaśnia Żanna. Kawiarnie, restauracje mają swoje generatory. Podobnie biura.

– *Często zostaję dłużej w pracy, bo wiem, że w domu będzie ciemno* – mówi Olya Rusina, pracownica fundacji Gołos Detei w Kijowie. – *Sytuacja nie jest wesoła. Czasami lekcje zaczynają się od tego, że nauczyciel pozwala dzieciom pospać. Bo siedziały całą noc w schronie. Przyszły zmęczone i zmarznięte* – mówi Taras Malyi, wykładowca akademicki i nauczyciel w prywatnej szkole w Iwano-Frankiwsku.

Mieszkanie jak więzienie

Olga Iwanowna, emerytka, ma 85 lat i mieszka na parterze bloku w Wilnohirsku (obwód dniepropietrowski). Mężczyźni właśnie wnoszą do dużego pokoju generator. Olga Iwanowna patrzy na to z lekkim przerażeniem. Taka maszyna w salonie?

Nie, stanie na podwórku, pod balkonem („Wszyscy tak robią"). Wywierci się tylko dziurę w ścianie („W ścianie?"), żeby przeszedł kabel. Prąd w Wilnohirsku, który znajduje się ledwie kilka kilometrów od ogromnej stacji transformatorowej, czasami jest ledwie przez trzy godziny na dobę. Generator powinien sprawę załatwić.

Olga Iwanowna mieszka z córką Natalią i zięciem Witalikiem w wynajmowanym trzypokojowym mieszkaniu. Ich dom został w Donbasie i jest pod okupacją. Olga mieszkała tam jeszcze w 2024 r., ale dłużej wysiedzieć się nie dało. Najpierw odłamki zabiły psa Tysona („Wybuch. Tyson zachwiał się, napił wody z wiadra, poszedł pod płot i tam... już koniec").

Niedługo potem ucierpiała sama Olga Iwanowna. – *Witalik, znaczy zięć, krzyczy: „Padnij!". Wywaliło płot, okna* – opowiada. Dwa odłamki trafiły Olgę w ramię. Jeden w policzek. Pojechali do lekarza, a potem zaczęli się pakować. Za plecami zostało całe obejście. Wyremontowana łazienka. W Wilnohirsku z okna sypialni Olga obserwuje przechodzące dzieci. Przechodzą po kilka razy dziennie, całymi grupkami, pod opieką wychowawczyń. Nie idą na spacer, tylko do schronu. W pobliskim przedszkolu, kiedy je budowano, nie przewidziano, że Ukrainę czekają naloty. Więc kiedy odzywa się syrena, dzieci pospiesznie pielgrzymują do najbliższego miejsca, gdzie można ukryć się pod ziemią.

Olga Iwanowna wie, jak to jest być dzieckiem w czasie wojny. W jej wsi w Donbasie stał Wehrmacht. „Komm, Kind, das ist für dich", czy jakoś tak. I dostała od żołnierza czekoladę. Ta wojna i ci okupanci są według niej gorsi: zabrali jej cały świat. Troje z pięciorga wnucząt mieszka tam, po drugiej stronie, wyjechali do Rosji. Olga Iwanowna kontaktuje się z nimi bardzo rzadko. Przez telefon. Wszyscy starają się, by te rozmowy były miłe i nie schodziły na nieprzyjemne tematy: – *Bo my mówimy im, co przeżyliśmy, a oni mówią nam, co słyszą od Putina.*

Olga Iwanowna czuje się w mieszkaniu trochę jak w więzieniu. Niby parter, niby trzy pokoje i wygoda. Ale mieszkanie wynajmowane, no i gdzie mieszkaniu w bloku do tego, jak żyło się u siebie, w Nowej Ukrainie, w Donbasie. Witalik mówi, że do Nowej Ukrainki nie wrócą. Z 1,7 tys. dorosłych zostało 60 osób. Raczej wszyscy zdradzili, wzięli rosyjskie paszporty. Słucha wiadomości, jest realistą i stracił nadzieję, że odzyska dom. Zwrotu Nowej Ukrainki państwu Ukraina nie przewiduje żaden z wielu obowiązujących teraz projektów porozumień pokojowych. A to oznacza, że Olga Iwanowna do domu nie wróci i że ona już tę wojnę przegrała.

W podobnej sytuacji są setki tysięcy Ukraińców. A może być ich jeszcze więcej, bo Rosja domaga się, by ukraińska armia opuściła szereg miast. Niektóre, tak jak Konstantyniwka czy Pokrowsk, są już zamienione w gruzowisko. Na przedmieściach Konstachy trwają uliczne walki. W Drużkiwce trwają masowe ewakuacje. Kramatorsk, w którym piszę ten tekst, codziennie wstrząsany jest wybuchami. Za oknem co chwilę słychać eksplozje albo serie karabinów przeciwlotniczych, którymi wojsko usiłuje strącać nadlatujące nad miasto drony.

Kilka godzin temu pocisk upadł na miejskim rynku. Przechodziłem obok. Wyglądało to tak, jakby ktoś dla hecy wystrzelił fajerwerk. Natychmiast uniósł się dym i zapachniało prochem. Na ulicę zwalił się wielki kawał blachy z dachu pobliskiego bazarku. Na chodniku leżała kobieta powalona eksplozją. Torebka, torba, telefon porozrzucane, ale na szczęście ani śladu krwi. Bazarek płonął. Sprzedawczyni biegła na oślep, z histerycznym płaczem i przekleństwami. Tym razem obeszło się bez ofiar, bo było już po zmroku; targowisko nie działało, ale takie sceny w mieście są codziennością.

Mimo to nie zauważyłem wśród żołnierzy stacjonujących w mieście kapitulanckich nastrojów: – *Mamy tyle środków i ludzi, ile mamy. Walczymy, jak umiemy* – mówi ukraiński oficer. Tak samo uważa politolog Jewhen Magda: – *Rosja zrobiła wszystko, żeby Ukraińcy chcieli walczyć do końca.* Trudno jednak zaprzeczyć, że wyczerpanie wojną jest ogromne. – *Myślę, że do lutego powinno starczyć nam sił. Według danych naszego wywiadu właśnie wtedy u Rosjan zaczną się problemy z wypłatami dla żołnierzy kontraktowych. Powinni też odczuć sankcje nałożone przez USA na Łukoil i Rosnieft* – mówi ukraiński deputowany.

Wariant długotrwały

W prywatnych rozmowach coraz więcej Ukraińców przyznaje, że tej wojny nie da się wygrać. A całkiem dobrym wariantem byłoby jej zatrzymanie na obecnej linii frontu. W tym duchu wypowiedział się gen. Wałerij Załużny, ambasador Ukrainy w Londynie, były głównodowodzący armii: „Nie możemy odrzucać wariantu długotrwałego, na lata, wstrzymania wojny, ponieważ jest to w historii konfliktów zbrojnych bardzo powszechny sposób ich zakończenia".

Druga część wypowiedzi dotyczyła polityki: „Pokój, nawet jeśli oznacza oczekiwanie na kolejną wojnę, daje szansę na zmiany polityczne, głębokie reformy, pełnowartościową odbudowę, wzrost gospodarczy, powrót obywateli. Można nawet mówić o rozpoczęciu budowy i wzmacnianiu fundamentów państwa sprawiedliwego, poprzez walkę z korupcją i stworzenie uczciwego sądownictwa". W ten sposób, w szczycie politycznego chaosu, gen. Załużny przypomniał, że to on jest najbardziej popularną postacią w Ukrainie i ma wielkie szanse – co pokazują wszystkie badania opinii – wygrać z Zełenskim walkę o fotel prezydenta.

Formalnie w sprawie pokoju wszystko idzie zgodnie z planem. Donald Trump zapomniał już o sześciodniowym deadlinie, jaki stawiał Ukraińcom. Steve Witkoff ma w tym tygodniu polecieć do Moskwy, a Dan Driscoll znów do Kijowa. Problem w tym, że Rosja nie bardzo chce pokoju i nie godzi się na ustępstwa. Jej żądanie minimum to cały Donbas i wielkie połacie obwodów chersońskiego i zaporoskiego. A jeśli nie? Władimir Putin liczy na to, że jego armii uda się w końcu przełamać front i zagarnąć siłą tyle, ile się da.

PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl d6bf8a6782

PROMOCJA

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

KODEKS PRACY

Art. 22. [Stosunek pracy]

§ 1. Przez nawiązanie stosunku pracy pracownik zobowiązuje się do **wykonywania pracy określonego rodzaju na rzecz pracodawcy i pod jego kierownictwem** oraz **w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę**, a pracodawca - **do zatrudniania pracownika za wynagrodzeniem**.

§ 11. Zatrudnienie w warunkach określonych w § 1 jest zatrudnieniem na podstawie stosunku pracy, bez względu na nazwę zawartej przez strony umowy.

§ 12. **Nie jest dopuszczalne zastąpienie umowy o pracę umową cywilnoprawną przy zachowaniu warunków wykonywania pracy, określonych w § 1.**

Nie zmieniamy obowiązującego prawa - dbamy o jego przestrzeganie.

Wzmacniamy uprawnienia Państwowej Inspekcji Pracy, by skutecznie walczyć o uczciwy rynek pracy. Prawo to prawo, musi być i będzie egzekwowane.

CO SIĘ ZMIENI?

- **Okręgowy Inspektor Pracy będzie mógł zdecydować o zmianie nielegalnej umowy śmieciowej (lub pracy „na czarno”!) na umowę o pracę;**
- **PIP będzie mogła przeprowadzać kontrole zdalnie i korzystać z danych innych instytucji;**
- **Wzrosną kary – aby bardziej odstraszać od łamania prawa pracy.**

Na rynku pracy wszyscy muszą grać fair!

eprasa.pl d6bf8a6782

Zdopingowani



JOANNA CIEŚLA

Sterydy anaboliczne Polacy serwują sobie jak cukierki. Na sexy wygląd, lepszą wydolność, wydajność w pracy i dobry humor. Nie trzeba ani recept, ani nawet dilerów. Polska trafiła na pierwsze miejsce w Unii, jeśli chodzi o skalę nielegalnego wytwarzania substancji zabronionych.

Konrada cieszy, że wokół dopingu ubywa wstydu. Kiedy on wchodził na pierwsze cykle sterydowe 12 lat temu, każdy się krył. – *Teraz też nikt publicznie nie rozgłasza, że bierze, ale wiadomo, że temat dawno przestał być domeną nakoksowanych świniaków* – mówi mężczyzna. Według niego używają wszyscy. Łącznie z fit influencerkami, które pomiędzy nagraniami na TikToka biją (wstrzykują) hormon wzrostu, zwiększający masę

eprasa.pl d6bf8a6782

mięśniową, albo leki cukrzycowe (odchudzają). – *A problem jest taki, że rynek zasypały podróbki wytwarzane przez oszustów. I taki, że ludzie ciągle mało wiedzą* – ocenia Konrad. Ma 39 lat. Skończył dwa kierunki studiów medycznych. Dzięki temu ogarnia, ile i jak brać. Ale większość działa chaotycznie. Źle łączą preparaty, nie pamiętają, że i na cyklach, i na odblokach trzeba pilnować jakościowej miski, czyli diety, i regularnie robić badania.

Zwłaszcza że naprawdę każda fiolka to zagadka. Zapotrzebowanie np. na „test", czyli testosteron, jest takie, że nie wyrabia światowa produkcja, poturbowana za sprawą politycznych decyzji. Więc firmy kombinują. Piszą, że substancji czynnej jest 300 mg na 1 ml, a odmierzają tylko 100 mg. Z preparatami oralnymi jeszcze gorzej. Wielkość kapsułek niby taka jak wcześniej, ale nie wiadomo, czym są wypełnione. Konrad ma czasem wizję, że dojdzie do globalnej testosteronowej zapaści. Miliony gości na cyklu bez dostępu do potrzebnej ilości substancji, spadek dzietności, jakości życia, siły produkcyjnej. Światowy hormonalny armagedon.

Badaj się i dawaj

Prof. Zbigniew Fijałek, specjalista farmacji kryminalistycznej, zgadza się, że przez żyły Polaków (a także Polek, choć rzadziej) litrami płyną preparaty z „Listy substancji i metod zabronionych" Światowej Agencji Antydopingowej (WADA). To przede wszystkim steroidy anaboliczno-androgenne (SAA), przyspieszające dzielenie się komórek tworzących tkanki, czyli wzrost masy mięśniowej i powodujące wzrost wydolności. Królem SAA są pochodne testosteronu. Ale popularnością cieszą się też hormony peptydowe, zwłaszcza hormon wzrostu i wspomniane leki na cukrzycę. Kariera tych substancji dawno wykroczyła poza kręgi zawodników wyczynowych i zeszła do mas podejmujących walkę o kondycję. Tak się składa, że moda na zdrowie i bycie fit bardzo sprzyja stosowaniu dopingu.

– *W trakcie tegorocznego zamkniętego spotkania walczących z przestępczością agencji Europol i Eurojust oraz służb antydopingowych ogłoszono, że Polska znajduje się na niechlubnym pierwszym miejscu w Unii Europejskiej, jeśli chodzi o skalę nielegalnego wytwarzania substancji, które trafiają także do innych krajów. Przy tym w ostatnich pięciu latach nastąpił gwałtowny rozwój przestępczości farmaceutycznej* – podkreśla prof. Fijałek.

W skali świata grunt do tego zaczął się tworzyć już na początku lat 2000. – *Przełomem było wprowadzenie Viagry. Do ludzi dotarła informacja, że problem milionów mężczyzn stał się możliwy do rozwiązania* – przypomina farmaceuta. – *Ale trzeba było pójść do lekarza, potem do apteki i dość dużo zapłacić.* Jednocześnie w podobnym czasie upowszechnił się dostęp do internetu. Ten okazał się przyjaznym środowiskiem do dystrybucji produktów viagropodobnych. A z czasem także leków psychotropowych, narkotycznych i hormonalnych. – *Następnie pojawiły się kolejne sprzyjające rozwojowi sektora okoliczności: kryzysy ekonomiczne, pandemia, konflikty zbrojne oraz rozwój sztucznej inteligencji* – kontynuuje badacz. – *Część firm zaczynała np. od nielegalnej produkcji maseczek, testów diagnostycznych, sfałszowanych leków antywirusowych i handlu nimi, a potem poszerzała asortyment.*

Prof. Jolanta Słowikowska-Hilczer, androlog, dodaje, że także w Stanach Zjednoczonych zrodziła się moda na przyjmowanie testosteronu i jego pochodnych w celach anabolicznych. Ok. 2013 r. przygasła z powodu doniesień naukowych o szkodliwości takich praktyk. Ale zdążyła emigrować do Europy Zachodniej, a przez nią do Polski. – *Wielu ludzi uważa, że nic im nie grozi, bo „mają nad tym kontrolę". Robią badania i są przekonani, że wszystko rozumieją. Tymczasem często nie potrafią właściwie odczytać wyników* – mówi lekarka. – *Przyjmują ogromne dawki testosteronu, a potem leki antyestrogenowe stosowane w terapii raka piersi u kobiet, by „odblokować" własną produkcję testosteronu.*

Ale „odblok" nie zawsze działa. Pojawiają się zaburzenia erekcji, brak libido, osłabienie, czasem też brak plemników. – *Osobne skutki to problemy kardiologiczne: nadciśnienie, zaburzenia rytmu serca, choroba zakrzepowo-zatorowa. Wszystko to może prowadzić do nagłej śmierci z przyczyn krążeniowych.* Lekarze obserwują też zanik tkanki mózgowej i wyraźne zmiany osobowości.

Lokalny polski klient na sterydy przez dekady robił zakupy na osiedlowych siermiężnych siłowniach. Korzystał z pośrednictwa kolegów, którzy importowali gotowe preparaty z Azji. Z czasem niektórzy sami zaczynali *underowe* wytwórstwo. Sprowadzali tylko substancję czynną z Chin, a resztę składników kupowali na miejscu. Wychodziło taniej, choć w następstwie akcji celników lub policji w produkcji zdarzały się zastoje. Ale kto czuł wenę, zaczynał gotować. Na domowej drukarce robił naklejki na fiolki (choć gdyby uczciwie podchodził do tematu, nieraz powinien wydrukować: „Ropień instant", przyznają weterani sektora – raz, że w środku jest niezły syf, a dwa, że efektem mogą być wypryski).

Rób progres

Franciszek Ostaszewski, psycholog z DecisionsLab Uniwersytetu SWPS, a od 10 lat także trener personalny, zauważył, że w tym czasie do stereotypowych, związanych z półświatkiem, użytkowników dopingu dołączyli zwyczajni ludzie, którzy niekiedy dopiero zaczynają z siłownią. Chcą szybkich efektów, zmian w wyglądzie, nie myślą o zdrowotnym ryzyku. Z obserwacji i szacunków Ostaszewskiego wynika, że o ile stwierdzenie, że doping stosują wszyscy, jest przesadą, o tyle stwierdzenie, że jedna na pięć–dziesięć osób spośród klienteli siłowni prawdopodobnie to robi, raczej przesadą nie jest. Z kolei według szacunków branży osób korzystających z różnego rodzaju klubów fitness jest w Polsce ok. 3,8 mln. Zainteresowanych niedozwolonymi substancjami jest więc zapewne kilkaset tysięcy sportowców amatorów.

Konrad zaczął brać w wieku lat 28, bo po kilku latach treningów przestał osiągać satysfakcjonujące postępy. Ćwiczył pięć razy w tygodniu po dwa razy dziennie – sporty walki i sesję siłową. Nie dawał rady się regenerować, a wyzwania rosły. Konrad się bije – amatorsko, ale ambicje ma na poziomie zawodowym. Intensywnie angażował się w, jak mówi, kampanie zwalczania antyfaszystów, którzy też się nie obcyndalali i pracowali nad formą pod okiem własnych specjalistów. No i znaczenie miał temat sylwetki, która na plaży ekspresowo przyciągała płeć piękną. Konrad stosował m.in. testosteron oraz, wówczas egzotyczne, a dziś bardzo popularne sterydy budujące gęste mięśnie z charakterystyczną widoczną waskularyzacją (czyli żyłami). Oraz siłę i wytrzymałość.

Ostatnio Konrad we własnych cyklach miał przerwę, ale chętnie dzieli się doświadczeniem z innymi. Ich pytania i odpowiedzi przesypują się przez dziesiątki publicznie dostępnych forów. Na przykład Paweł, 15 lat, 60 kg, 175 cm wzrostu, za miesiąc zamierza zacząć chodzić na siłownię. Ale bez sterydów, pisze, to bez sensu. ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ Prosi o polecenia na pierwszy cykl. Pada odpowiedź, że w tym wieku na sucho powinien zapie...lać, nauczyć się trzymać michę i plan. Ale szybko przychodzą bardziej konstruktywne wytyczne, od którego estru testosteronu startować, które sterydy dodawać i w jakich proporcjach. Radek grzecznie pyta, czy zawsze trzymać się podawanych w dyskusjach dawek i czy ktoś mógłby dać sposoby na przeciwdziałanie skutkom ubocznym. „Do pomocy w kłuciu mam starego, brał przez lata, ale miał długą przerwę, więc wolę się do końca nie sugerować jego radami" – wyznaje forumowiczom.

Andrzej, lat 43, relacjonuje wyniki badań na odbloku, po dwóch latach stosowania „teścia". Są niezłe, ale Andrzej pisze, że mentalnie czuje się bardzo średnio. „Mam trochę stany depresyjne i mało chęci do walki o życie. Poradzi ktoś czy mam się martwić?". Na zaczepne pytanie, po co Andrzej zaczynał, odpowiada, że przez ciekawość. „Chciałem sprawdzić, czy da mi to wyższy poziom możliwości. I w każdej dziedzinie życia zrobiłem nieodwracalny progres, na który niestety bez testu brakowało mi dyscypliny".

Franciszek Ostaszewski z Uniwersytetu SWPS ocenia, że w głębszym psychologicznym tle decyzji o wejściu na cykl leży m.in. pogłębiający się chaos we wzorcach dotyczących współczesnych mężczyzn. Z jednej strony wyidealizowane instagramowe obrazy wyćwiczonych sylwetek działające na nich tak samo jak na kobiety fotki wychudzonych piękności. Z drugiej – trudność w rozeznaniu, co faktycznie jest wartością i istotą męskości. Badanie, które Ostaszewski prowadził wraz z zespołem Decision sLab, wykazało, że cechą wspólną użytkowników sterydów anabolicznych jest impulsywność w podejmowaniu decyzji dotyczących własnego zdrowia. Co zgodne z intuicją, wolą szybkie efekty – nawet mniejsze niż większe, lecz bardziej rozłożone w czasie. – *Jednocześnie ci mężczyźni znacznie bardziej niż pozostali doświadczali dysmorfii mięśniowej, czyli niezadowolenia ze swojego ciała i wyglądu, szczególnie pod kątem umięśnienia* – dodaje badacz. Zaznacza, że z jego projektu nie można wprost wysnuć wniosku, co w tym wypadku jest przyczyną, a co skutkiem. Jednak światowe analizy wskazują na to, że wśród użytkowników dopingu zadowolenie z własnego ciała wcale nie rośnie, nawet gdy poprawia się jego umięśnienie. Nie podnosi się też poziom szczęścia i satysfakcji. Często jest wręcz odwrotnie.

Przytul „zwierzaka"

Narastający problem z dostępem do dobrej jakości surowców z Chin Konrad wiąże z wymuszeniem przez administrację Donalda Trumpa na chińskim rządzie realnego przeciwdziałania wytwarzaniu fentanylu. Przy kontroli fabryk chemicznych rykoszetem oberwały taśmy produkcyjne sterydów. Właśnie dlatego rynek oszalał. Ceny skoczyły – jeden z popularniejszych preparatów „testu" podrożał w ostatnich miesiącach ze 100 do 130 zł.

Dodatkowo lokalnych wytwórców systematycznie nękają polskie służby. Centralne Biuro Śledcze Policji co rusz informuje o kolejnych rekordowych przejęciach. Największą z dotychczas wykrytych nielegalnych fabryk leków w Polsce pod koniec września zlikwidowało w Zachodniopomorskiem. W zagrzybionym mieszkanku w bloku policjanci znaleźli m.in. sterydy warte co najmniej 20 mln zł. Zatrzymano osiem osób. Kilka tygodni wcześniej CBŚP, prokuratura i Polska Agencja Antydopingowa rozbiły inną grupę produkującą sfałszowane anaboliki. Tym razem w klocku polskim w Wielkopolsce magazynowe półki wypełniały dziesiątki ampułek z testosteronem, słoiczki pełne doustnych kapsułek oraz profesjonalne maszyny: tabletkarki, wirówki i aplikatory. Osiem osób usłyszało zarzuty. Według nieoficjalnych informacji w skali świata w ostatnich miesiącach zlikwidowano ponad 70 laboratoriów produkujących zakazane środki. Tylko jedna z tych wytwórni była poza terenem Polski – co może świadczyć zarówno o skuteczności polskich funkcjonariuszy, jak i o determinacji rodzimych producentów.

Prof. Zbigniew Fijałek podkreśla, że w myśl ustawy o zwalczaniu dopingu, kto udostępnia substancje zabronione z najbardziej szkodliwych grup wymienionych na liście WADA albo bez zezwoleń magazynuje je w takim celu, może zostać skazany maksymalnie na trzy lata pozbawienia wolności. Tak samo ten, kto je sprowadza do Polski. – *Z kolei na mocy Prawa farmaceutycznego na dwa lata można trafić do więzienia za wprowadzanie do obrotu produktów leczniczych bez pozwoleń, a na pięć za fałszowanie leków*. Statystyki kar za te przestępstwa trudno dokładnie ustalić, bo wielu skazanych ma liczne inne zarzuty. Paradoksalnie jednak prędzej udaje się złapać wytwórców nielegalnych środków na produkcji niż na handlu, któremu wiele ułatwień przyniósł rozwój technologii i AI. – *Pozwalają na dokładniejsze profilowanie potencjalnych klientów i docieranie z ofertą bezpośrednio do nich* – tłumaczy prof. Fijałek. Diler z siłowni już dawno przestał być niezbędnym ogniwem sterydowych transakcji.

Niezbędny przestał też być lekarz i recepty, nawet te weterynaryjne, wydawane na środki niedopuszczone do użytku przez ludzi. Kilka lat temu POLITYKA alarmowała, że nad tym procederem nikt nie panuje. Dziś jesteśmy na innej orbicie. Przez dostępne bez ograniczeń strony internetowe kupimy wszystko, co nas skusi. Za 100–200 zł oprócz „zwierzaków" (tak się mówi na wspomniane preparaty weterynaryjne), uznawanych za najmocniejszy towar na rynku, współtworzących piękną rzeźbę i masę w pakiecie z napadami agresji, przerostem prostaty i bezsennością, od ręki dostać można hormon wzrostu z zestawem do iniekcji, tabletki przeciwdziałające zanikom mięśni – silnie toksyczne dla wątroby.

A to oferta tylko jednej z firm – według prezentacji na stronie – zespołu fachowców działających w branży produkcji środków dopingowych ponad 20 lat (!) i stale rozwijających umiejętności. Za produkty płaci się BLIK-iem na telefon lub przelewem na wysłany esemesem numer konta. Przychodzą do paczkomatów. Alternatywnie można kupować za pośrednictwem mediów społecznościowych. Z Kamilem, przez serwis Telegram, umawiam się na dostawę oxandrolonu, stosowanego do przyspieszenia budowy masy mięśniowej u kobiet. Słoik kapsułek kosztuje 280 zł, ale dzięki reklamom na forach wiem, że u Kamila dostępne są zniżki. I tak w listopadzie było taniej – tylko 263 zł na hasło „BlackMonth". Jak u każdego innego sprzedawcy.

Wylecz to testem

Marcin na jednym z forów żali się, że już nie wie, gdzie „bić". Zastanawia się, czy można w wewnętrzne części pośladka. Zewnętrzne ma tak pokłute, że bolą podczas siedzenia. Prosi o sugestie. „Masz jeszcze uda, barki i wiele innych miejsc" – podpowiada Łuki (na forum pod nazwiskiem, ze zdjęciem). I dodaje, że „lepiej w wewnętrzne nie walić, bo można strzelić w nerw kulszowy czy ch...j wie jaki i bywa nieprzyjemnie".

eprasa.pl d6bf8a6782



Z klubów fitness korzysta w Polsce ok. 3,8 mln osób. Niedozwolone substancje stosuje zapewne kilkaset tysięcy sportowców amatorów.

Prof. Fijałka ciągle uderza brak świadomości. – *Na terenie Unii Europejskiej w ostatnich latach stwierdzono ok. 150 zgonów związanych z pozamedycznym stosowaniem sterydów anabolicznych.* Ale tylko część osób trafiających do szpitali z problemami zdrowotnymi przyznaje się do przyjmowania niedozwolonych substancji. Większość pacjentów nie mówi, że coś brała – choruje, czuje się źle, oczekuje pomocy.

A masowo dostępne źródła wcale nie pomagają w rzetelnej ocenie zagrożeń. O tym, jak dawkować preparat z kategorii „zwierzak", do niedawna można było poczytać na popularnej stronie wyleczto.pl, w artykule autorstwa dyplomowanej dietetyczki. Po pytaniach POLITYKI instruktażowe akapity znikły, ale preparat nadal opisywany jest jako niosący „niewiele skutków ubocznych, o ile jest stosowany według zaleceń (!)". Podobne artykuły łatwo wyszukać np. w serwisach Fit – poradnikzdrowie.pl czy na podstronie WP abczdrowie.pl. Wszędzie z protokolarnymi zastrzeżeniami, że chodzi o środki niedopuszczone do użytku lub wymienione na „Liście substancji i metod zakazanych". Na witrynach trenerów personalnych, podpisanych nazwiskami, obok artykułów o jedzeniu wspomagającym detoksykację organizmu czy pracę mózgu, dostępne są oferty „profesjonalnej rozpiski SAA" (cena ok. 100 zł).

W serwisie budujmase.pl, związanym z firmą farmaceutyczną Aflofarm, jeszcze w połowie listopada można było przeczytać materiał edukacyjny „Wybór środka na pierwszy cykl sterydowy" ze wstępem „Każda osoba trenująca na siłowni po pewnym czasie staje przed dylematem: brać sterydy czy nie brać? (...) Tym, którzy uznali, że już czas najwyższy zrobić swój pierwszy cykl sterydowy, przybliżymy bliżej ten temat". Przedstawicielka serwisu na nasz mail odpowiedziała, że treści niejednoznaczne w odbiorze lub nieodzwierciedlające obecnych zasad informacyjnych są cyklicznie wycofywane z serwisu, a przytoczony artykuł został objęty tą procedurą. Zabrakło wskazania, w którym momencie zasady informacyjne serwisu dopuszczały promowanie dopingu.

Wystrzel z kanapy

Prof. Zbigniew Fijałek podkreśla, że już w 2011 r. Rada Europy przyjęła konwencję MediCrime o zwalczaniu przestępczości farmaceutycznej. – *Jest to jedyna do tej pory konwencja, która dokładnie mówi o tym, jak powinny działać służby, jak współpracować także na poziomie międzynarodowym, a wreszcie – jak egzekwować prawa ofiar poszkodowanych z powodu zażycia sfałszowanych leków. Ten dokument poświęca też wiele uwagi edukacji służb, personelu medycznego, a także społeczeństwa. Nakłada odpowiedzialność za to na państwa. Z niezrozumiałych powodów Polska wciąż tej konwencji nie podpisała, choć zrobiło to już ponad 40 krajów.* OECD ocenia, że roczny koszt leczenia powikłań po niewłaściwym przyjmowaniu leków, także w „pozamedycznym" stosowaniu, to w UE 10 mld euro.

Prof. Jolanta Słowikowska-Hilczer, androlog, obserwuje, że wśród jej pacjentów przybywa bardzo młodych mężczyzn, nawet nastolatków. Konsekwencje przyjmowania sterydów anaboliczno-androgennych mogą mieć wpływ na całe ich życie. – *Inna grupa to mężczyźni bez żadnych objawów niedoboru działania testosteronu i z prawidłowymi wynikami badań, którzy usiłują wymusić receptę na testosteron.* Chcą mieć poziom tego hormonu w górnych granicach normy albo je przekroczyć, bo tak doradził im trener, aby uzyskać lepsze samopoczucie i bardziej męski wygląd. – *Liczą, że skoro dostaną preparat z apteki, to będzie bezpiecznie. Ale w takich sytuacjach zawsze odmawiam* – zaznacza lekarka.

Dodaje przy tym, że w światowych analizach w ostatnich 20–40 latach opisywany jest populacyjny spadek poziomu testosteronu we krwi, także u dorastających chłopców i młodych mężczyzn. Dotyczy ok. 20 proc. z nich. A wiąże się przede wszystkim z epidemią otyłości. Pacjentom, którzy mają ten problem, w pierwszej kolejności zaleca się jednak schudnięcie i odpowiednie odżywianie, aktywność fizyczną. Testosteron podaje się dopiero wtedy, gdy organizm mimo wszystko nie wraca do równowagi.

Ale ten rodzaj restrykcyjności powoli staje się staroświecki. Od kilku lat także w Polsce przybywa specjalistycznych klinik oferujących łatwiejszy dostęp do terapii testosteronem – także pod nadzorem lekarza. Który dostrzega, że taka kuracja, nawet gdy w poziomie hormonów nie ma odstępstw od norm, może dawać świetne efekty. Poprawia pewność siebie pacjenta i jego odporność na porażki, dobrze wpływa na relacje z kobietami, ułatwia wyrwanie się „z objęć kanapy" i poprawia wizerunek w oczach przełożonych i kolegów, napędzając rozwój kariery. Testosteronowe terapie są więc oferowane osobom pracującym przy komputerze i statycznie, przedsiębiorcom i menedżerom. Koszt abonamentowych pakietów z badaniami i preparatami to ok. 1 tys. zł za miesiąc. Od przedstawicieli klinik można usłyszeć, że ich oferta jest częścią medycyny stylu życia.

Testosteronowy styl życia pozostaje więc punktem odniesienia, nawet gdy i w ludziach, i na świecie samego testosteronu zaczyna brakować.

Rozmowę z Konradem musimy kończyć. Robi się późno, a od rana trening. Przez kilka lat Konrad nie miał czasu dbać o kondycję. Wtedy nie brał. Teraz wraca do walki i na cykl. Musi dbać o higienę snu, bez tego z „testu" nie będzie pożytku. Konrad śpi spokojnie, bo ma dobre dojścia do źródeł. Robi też sobie zapasy z aptecznych środków. Na wszelki wypadek.

JOANNA CIEŚLA

© GETTY IMAGES

eprasa.pl d6bf8a6782

Lider i jego patron



Karol Nawrocki coraz wyraźniej wciela się w rolę patrona polskiej prawicy. Co na to Jarosław Kaczyński?

ANNA DĄBROWSKA

Co do ambicji prezydenta panuje pełna zgoda zarówno w Pałacu, jak i na Nowogrodzkiej. Znacznie mniej jednomyślności jest jednak w ocenie, czy ten plan ma szanse powodzenia. Prezydent otworzył listopadowy sondaż zaufania IBRiS z wynikiem 51,8 proc. To jego rekord i wzrost aż o 4,9 pkt proc. w porównaniu z październikowym pomiarem. Osoba związana z PiS, która ma sporą wiedzę na temat badań zamawianych przez centralę: – *Ludzie widzą słabość fizyczną starzejącego się Kaczyńskiego. Postrzegają go jako tego, który przegrał wybory parlamentarne, a zwycięstwo w wyborach prezydenckich utożsamiają ze świeżością, młodością i siłą Karola Nawrockiego. Jarosław chce, by Karol był superpisowcem, a Karol ma plan na bycie superprawicowcem. I tu się ich interesy rozjeżdżają.*

Osoba bliska Nowogrodzkiej przekonuje, że prezes z pobłażaniem patrzy na aspiracje Nawrockiego: – *Karol wizerunkowo może i staje się liderem prawicy, ale gdyby mu zabrać naszych ludzi z Kancelarii, to politycznie nic by nie było ogarnięte. Jarosław za dużo w życiu widział i przeżył, aby się tym jakoś bardzo przejmować.*

Nasi rozmówcy z Nowogrodzkiej, którzy są nieco zirytowani pozerstwem Nawrockiego, twierdzą, że Kaczyński już dziś steruje prezydentem. – *Prezes zauważa jego rosnącą popularność i wie, że musi się z nim regularnie spotykać. I w sumie sprawy idą w dobrym kierunku, choć często nie tak sprawnie, jak by sobie tego prezes życzył* – komentuje ważny polityk PiS.

Zluzuj zbroję

Kaczyński, wybierając w ubiegłym roku kandydata na prezydenta, człowieka całkowicie odmiennego od Andrzeja Dudy, chciał stabilizacji w Pałacu. Duda – z jednej strony przywiązany do myśli o silnym mandacie i niezależności, z drugiej mentalnie podporządkowany Kaczyńskiemu – nie był w swych zachowaniach przewidywalny. – *Prezes nauczony tym doświadczeniem zrealizował swój cel, by prezydentem został gość, który nie będzie*

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl d6bf8a6782

odstawiał nogi, tak jak Duda. Trzeba nam teraz kooperować z Nawrockim, a nie z nim rywalizować o to, kto będzie liderem na prawicy. Trzeba go wykorzystać jako nasz atut, a nie walczyć z nim o pozycję – mówi ważny poseł PiS. Dodaje, że Nawrocki jest twardy i na razie przewidywalny, wie, jakie decyzje chce podjąć, choć te nie zawsze muszą być po myśli Kaczyńskiego.

Nawrocki poczuł się na tyle mocny, że nie bardzo przejmuje się odczuciami prezesa PiS. Ci, którzy przewinęli się przez otoczenie Dudy, a dziś pracują dla Nawrockiego, zwracają uwagę na wyraźny kontrast temperamentów. O Dudzie mówiło się w Pałacu, że „ma krótki lont, denerwował się, ze złości robił się czerwony". Nawrocki wycisza emocje krótkim „zluzuj zbroję" i sprawia wrażenie, jakby mało czym się przejmował, daje do zrozumienia, że wszystko ma pod kontrolą.

Jego współpracownicy mówią, że ma jakąś fiksację na punkcie swojej siły fizycznej. Potrafi długo rozwodzić się nad swoją formą, przekonany, że krzepa zagwarantuje mu respekt na politycznej „dzielni". W ostatni piątek podczas Kongresu Młodych 2025 w Lublinie zorganizowanego za pieniądze Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim znów do tego nawiązał. Opowiadał, że na szlaku kampanijnym był na różnych siłowniach i ludzie mówili do niego: „Pan faktycznie jest silny, pan naprawdę trenuje, a nie tylko wrzuca selfie, że coś podnosi". Niektórzy w PiS, którzy czytają ambicje polityczne prezydenta, mówią, że te opowieści mają go ustawić w kontrze do prezesa: – *Że niby taki sprawny i silniejszy od 76-letniego Kaczyńskiego, ale zapomina, że na politycznym podwórku przewagę zdobywa się doświadczeniem, a prezes nie wybiera się na żadną emeryturę.*

Karol stawia się Jarosławowi

Ci z Pałacu, z zaciągu IPN-owskiego, którzy są lojalni tylko wobec Nawrockiego i jemu zawdzięczają awans, pytani o słowo, które najlepiej określa Nawrockiego, powtarzają: konsekwencja. – *Jak raz coś postanowi, to nie ma opcji, aby zmienił zdanie. Jak za chwilę wejdzie do jego gabinetu jakiś inny doradca, by go do czegoś przekonać, to Karol pozostanie niewzruszony* – słyszymy od jednego ze współpracowników przeniesionych z IPN. I ci z ulokowanych w Pałacu przez Kaczyńskiego też mówią o „tym takim uporze", jednak dla nich bywa on czasami wyzwaniem. To opinia jednego z nich: – *Dla nas lepiej jest czasem nie zamknąć tematu, kiedy widzimy, że decyzja nie jest dla naszego obozu najkorzystniejsza. Wtedy jeszcze można coś zdziałać, ale jak już prezydent zdecyduje, no to kaplica.* I dodaje, że dobrze, że raz na te dwa tygodnie prezes przyjeżdża do Karola, bo jest jedyną osobą, która może jakoś na niego wpłynąć.

Prezes PiS wie, że będąc w opozycji, musi ściśle współpracować z Pałacem Prezydenckim i tylko tak będzie mógł odzyskać władzę i znów wyznaczyć premiera. Dlatego oddelegował do Nawrockiego swoich zaufanych ludzi. Z Dudą było inaczej, bo kiedy Kaczyński rządził, nie musiał oglądać się na Duży Pałac i trafili tu słabi ludzie z trzeciego politycznego szeregu. Małgorzata Sadurska była początkowo pasem transmisyjnym z Nowogrodzką, ale Kaczyński pozwolił jej odejść i zarabiać miliony w PZU. – *Wiadomo było, że Duda jest za słaby osobowościowo, aby politycznie rozgrywać, nawet jak ma przy sobie skonfliktowanego z Kaczyńskim i żądnego osobistej zemsty Marcina Mastalerka.*

Pierwszy raz Nawrocki postawił się Kaczyńskiemu niemal dzień po tym, jak został prezydentem. Pomysł, by Przemysław Czarnek, były minister edukacji rządu PiS, został szefem Kancelarii Nawrockiego, był już dograny. Jednak, jak słyszymy od osób z otoczenia Nawrockiego, prezydent elekt zorientował się, że Czarnek, któremu też światopoglądowo blisko do narodowców, może przyćmić jego gwiazdę, i zmienił zdanie. Zdał sobie sprawę, że eksminister edukacji ma większe od niego doświadczenie polityczne, świetnie wypada na wiecach i lud pisowski go uwielbia.

– *Karol wykorzystał sytuację, że prezes chciał awansować Czarnka na wiceprezesa PiS. I dał mu wybór: albo idziesz do mnie na szefa kancelarii, albo zostajesz wiceprezesem partii – i tak dyplomatycznie pozbył się Czarnka, bo wiedział, że ten nie odmówi prezesowi* – mówi współpracownik prezydenta. Wiadomo, że Czarnek ma ambicje zostać premierem i jest przekonany, że o tym będzie decydował Kaczyński, a nie Nawrocki. Ale to wcale nie jest takie oczywiste, jak sądzą ludzie w Pałacu, i mają na to swoje argumenty.

Nowogrodzkiej cień

Prezydent ma teraz w Pałacu dwóch byłych kandydatów na prezydenta z krótkiej listy prezesa, którzy z nim w przedbiegach przegrali. I obaj są przekonani, że gdyby prezes na nich postawił, to oni siedzieliby na miejscu Nawrockiego. Pierwszy to Marcin Przydacz – szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej. Tym samym zajmował się przez jakiś czas u Andrzeja Dudy, ma dobre kontakty na świecie, zna języki. Odszedł z Pałacu na wiceministra w MSZ w rządzie Morawieckiego. Drugi, Zbigniew Bogucki – były wojewoda zachodniopomorski i poseł PiS – stanął na czele kancelarii zamiast Czarnka. Szefa gabinetu – Pawła Szefernakera – Nawrocki też wybrał sobie sam, za zgodą Nowogrodzkiej. – *Paweł był szefem sztabu prezydenckiego i złapał dobry kontakt z Karolem. Jako jedyny z najbliższego otoczenia Nawrockiego rozumie dużą politykę i jest w ciągłym kontakcie z Jarosławem. Reszta to spece od piaru. Ale on też uświadamia prezesowi, że Karolem nie da się łatwo sterować.*

Do Pałacu prezes wydelegował też Annę Plakwicz, została szefową Wydarzeń Krajowych, a od lat była nazywana dyrektorem kreatywnym kampanii PiS. Podobno pomaga pisać przemówienia Nawrockiemu i pilnuje spójności z linią partii.

Ale najbliżej prezydentowi do swoich sprawdzonych w IPN ludzi. Wielu z nich to w Pałacu zastępcy partyjnych nominatów z PiS i z tej pozycji patrzą im na ręce. To na przykład Jarosław Dębowski, który z szefa biura Nawrockiego w IPN przyszedł za nim na zastępcę Pawła Szefernakera, Marcin Marczak, były zawodowy bokser, zastępca Plakwicz, czy Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydencki, do niedawna rzecznik IPN.

Oddzielnym bytem, o którego lojalność Nawrocki może być absolutnie spokojny, jest Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, którym rządzi Sławomir Cenckiewicz. Kaczyński, jak wiadomo, zachowuje wobec niego dystans i raczej spodziewa się kłopotów. Cenckiewicz jest przekonany, że to on lata temu wykreował Nawrockiego na szefa IPN, skąd była krótka droga do prezydentury. – *Sławek uważa, że ma najwięcej do powiedzenia w otoczeniu prezydenta, i walczy z Boguckim oraz Przydaczem. Podszeptuje Nawrockiemu, że oni grają tylko na Kaczyńskiego i nie do końca może im ufać* – irytuje się polityk PiS znający kulisy Pałacu. Dodaje, że awantura wokół niepodpisania przez prezydenta awansów na pierwszy stopień oficerski w służbach, dopóki ich szefowie nie stawią się u Nawrockiego, to gra Cenckiewicza. I to powodowana osobistą wendetą. ▶

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ Szef BBN jest w konflikcie z szefami Służby Kontrwywiadu Wojskowego, bo cofnęli mu certyfikat dostępu do informacji niejawnych. Sąd pierwszej instancji uznał, że Cenckiewicz powinien odzyskać certyfikat, sprawa wciąż się toczy. – *Co teraz mamy zrobić, nie bardzo wiadomo. Jeśli szefowie służb nie przyjdą na dywanik do Nawrockiego, to nie będzie nowych powołań? Sławek myślał głównie o sobie, a nasz elektorat też widzi, że w obliczu zagrożenia wojną te służby mają wielkie znaczenie i nie powinny być tak rozgrywane* – denerwuje się polityk związany z Nowogrodzką.

Pamiętać o Lechu

Na razie emisariusze Kaczyńskiego w Pałacu nie stanęli jeszcze przed sytuacją, w której musieliby wybierać: Kaczyński czy Nawrocki. Dobrze znają prezesa i wiedzą, co robić, by czuł, że grają w jego drużynie. Czasami to drobne rzeczy, jak zaproszenie wpływowych osób z PiS do Pałacu przed jakąś wizytą zagraniczną, by o niej dokładnie opowiedzieć. Albo zanim prezydent coś ogłosi, to prezes dowiaduje się o niej pierwszy, a jego ludzie mogą na ten temat wygłosić opinię w wąskim gronie pałacowym. – *Chodzi o to, aby nie mieli poczucia, że coś się tu dzieje za ich plecami, że coś ich zaskakuje* – mówi nasz informator.

To gesty, które dla Kaczyńskiego znaczą najwięcej, bo dotyczą jego zmarłego brata. I Nawrocki o tym pamięta. Na forum ONZ mówiąc o Rosji, która nigdy nie porzuciła swoich imperialnych dążeń, dodał: co „doskonale rozumiał mój wielki poprzednik, prezydent Polski Lech Kaczyński". Mając w pamięci oburzenie prezesa, że nikt z kancelarii Andrzeja Dudy nie dołącza do obchodów miesięcznic smoleńskich na placu Piłsudskiego, wprowadzono nowy zwyczaj. Jak informuje POLITYKĘ Biuro Prasowe: „Kancelaria Prezydenta RP jest organizatorem comiesięcznych uroczystości, których celem jest godne upamiętnienie Ofiar tragedii smoleńskiej, w tym ówczesnego Prezydenta RP śp. Lecha Kaczyńskiego i jego Małżonki. Pan Minister Zbigniew Bogucki składał wieńce przed wspomnianymi pomnikami jako Szef Kancelarii Prezydenta RP". Składa je co miesiąc w obecności prezesa PiS.

Prezydencki rzecznik pytany w Radiu Zet w przeddzień święta niepodległości, czy Karol Nawrocki jest liderem polskiej prawicy, odpowiedział: „Zdecydowanie tak". – *To zostało odnotowane z dużym niezadowoleniem w PiS i jak dalej będzie tak pogrywał, to długo nie popracuje. Widać brak czujności i doświadczenia* – mówi nam poseł PiS. Prezydent tego samego dnia w TV Republika zapytany o to samo odpowiedział nieco bardziej dyplomatycznie: „Przede wszystkim widziałbym swoją rolę w byciu patronem dobrego polskiego rządu". I dodał, że „konflikt między tymi siłami konserwatywnymi w Polsce (...) nie jest dobry dla Polski".

Między Konfą a PiS

Karol Nawrocki po stu dniach prezydentury jest najpopularniejszym politykiem prawicy. Budowaniu jego pozycji pomaga ostry konflikt z rządem, ale też kłopoty w samym PiS. Prezydent do obrony polityków partii Kaczyńskiego się nie pali (choćby przy okazji afery CPK czy kłopotów Ziobry) i dzięki temu zachowuje popularność wśród elektoratu Konfederacji czy braunistów, których Kaczyński chciałby politycznie wykończyć.

Stosunek niepisowskiej prawicy do prezydenta Nawrockiego najlepiej oddaje zdanie wypowiedziane przez wicemarszałka Krzysztofa Bosaka podczas rozpoczęcia tegorocznego Marszu Niepodległości: „Jeden z nas został prezydentem". Kaczyński też maszerował, ale prawie niezauważenie. Dla środowiska narodowego udział prezydenta w ich najważniejszym święcie politycznym dużo znaczy. – *Cieszę się, że prezydent wziął udział w Marszu Niepodległości. Dołożył cegiełkę do dobrych relacji z Konfederacją* – mówi Michał Wawer, poseł Konfederacji, w rozmowie z POLITYKĄ.

Wspólnych mianowników Nawrockiego i Konfederacji jest więcej. Z pewnością jej członkowie podpisaliby się pod wypowiedziami prezydenta o „Zielonym Ładzie i ekoterrorze", „węglu czarnym złocie" i pod postulatami: niskie podatki, pamięć o bohaterach, CPK i atom, złotówka, a także pod sprzeciwem wobec aborcji, „obcych ideologii" i wspierania Ukraińców.

Przykłady sympatii widać również w drugiej odnodze Konfederacji. Po podpisaniu właśnie przez prezydenta ustawy o zwiększeniu stawki CIT dla banków Nawrockiego w obronę wziął polityk Konfederacji z wolnościowego skrzydła Przemysław Wipler. Na zarzut o złamanie tzw. deklaracji toruńskiej – porozumienia podpisanego przez Karola Nawrockiego podczas rozmowy ze Sławomirem Mentzenem – poprzez podniesienie CIT, poseł ruszył z tłumaczeniami, że to nieprawda, bo deklaracja przewiduje „obciążenia fiskalne dla Polaków", a CIT nie obciąży osób fizycznych, tylko korporacje. Poseł Wipler ma powody do sympatii – obok kontrasygnat prezydent zawetował ustawę opodatkowującą fundacje rodzinne. Przeciwko czemu była Konfederacja.

Następca?

Ważny polityk PiS trzeźwo zauważa, że przy kolejnym rozdaniu prezes będzie musiał tworzyć koalicję z Konfederacją. Wielu jest przekonanych, że wtedy Nawrocki, który ma, szczególnie z bosakowym odłamem konfederatów, dobre relacje, będzie chciał decydować o rządowych nominacjach. – *I koledzy z PiS w Pałacu, którzy mają ambicje ministerialne, liczą na jego poparcie* – twierdzi polityk z władz partii. Dodaje, że Kaczyński oczywiście zdaje sobie sprawę, że to Nawrocki może chcieć mu wyznaczać premiera w koalicyjnym rządzie i w ogóle wchodzić w rolę lidera prawicy.

– *Ale to jeszcze nieprędko. Karol powinien widzieć, że bez poparcia partii, w jakimkolwiek byłaby stanie, nie będzie miał reelekcji. Bez naszych pieniędzy i struktur, które zawsze staną za Jarosławem, może tylko pomarzyć o kolejnej kadencji, więc lepiej niech z nami nie pogrywa.*

Ważny test lojalności już w tym tygodniu. 3 grudnia mija termin na decyzję Nawrockiego w sprawie zakazu hodowli zwierząt na futra. Kaczyński od dawna zabiegał o tę nowelę. Przeciw w Sejmie byli politycy Konfederacji i część posłów PiS. Znamienne jest to, że kilka dni przed decyzją Nawrockiego w partii nie mają pewności, co zrobi. Z grona wysoko postawionych polityków PiS można usłyszeć – zarówno, że podpisze, jak i zawetuje. To może być pierwsze weto, które Sejm zdoła odrzucić przy pomocy Kaczyńskiego.

Prezes PiS, kiedy pojawiały się wzmianki o tym, że Andrzej Duda chciałby stać się liderem prawej strony, mawiał w zaufanym gronie: „Taki z niego lider, jak z parówki świder". O Nawrockim już tego nie powie. Ale nasi rozmówcy z PiS przestrzegają: jeśli Karol za szybko uwierzy w swoją wielkość, to skończy jako następca Dudy, a nie Kaczyńskiego.

ANNA DĄBROWSKA
WSPÓŁPRACA MICHAŁ TOMASIK

eprasa.pl d6bf8a6782



Od prawej: **Włodzimierz Czarzasty, Marek Siwiec, Leszek Miller i Aleksander Kwaśniewski**

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS, MARYSIA ZAWADA/REPORTER, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

Precz z komuną, czyli z czym?

Sprowokowana przez PiS awantura na okoliczność wyboru Włodzimierza Czarzastego na marszałka Sejmu była jednym z bardziej absurdalnych spektakli ostatniego czasu.

RAFAŁ KALUKIN

Było chóralnie skandowane „precz z komuną!", przywołany szynel sowieckiego „wyzwoliciela", powróciły duchy Jaruzelskiego i Kiszczaka. Niektórym łza się pewnie w oku zakręciła. Jakbyśmy nagle cofnęli się do wczesnych lat 90., kiedy solidarnościowa większość regularnie poddawała polityków SLD ostracyzmowi. Bo to w tamtym czasie „precz z komuną!" niosło się echem na Wiejskiej. Z podobnie odgrywanym oburzeniem opuszczano salę, kiedy na mównicę wchodził będący uosobieniem postkomunistycznego betonu Leszek Miller. Zabrakło chyba tylko „PZPR – płatnych zdrajców, pachołków Rosji", ale to pewnie dlatego, że autorowi ikonicznej sentencji Leszkowi Moczulskiemu już nigdy później nie było po drodze z Jarosławem Kaczyńskim.

Inna sprawa, że w dzisiejszym klubie PiS, poza samym prezesem, chyba tylko Antoni Macierewicz miał okazję na żywo poczuć tamte klimaty. Dla ich wychowanków to jedynie zapożyczona emocja, przechowana w warunkach laboratoryjnych i co jakiś czas uwalniana z probówki.

Z antykomunistyczną emocją już w latach 90. był problem. Chociaż pamięć o PRL pozostawała żywa, nie było już przecież nad Wisłą chyba ani jednego komunisty, który chciałby recydywy starego ustroju. Co najwyżej unosiła się mgiełka nostalgii za epoką Gierka, bardziej jednak będąca zjawiskiem kulturowym niż politycznym. Nowa, wolna Polska się modernizowała, przesuwaliśmy się ze Wschodu na Zachód. Pewnie większości Polaków żyło się jeszcze trudno, ale przeważał optymizm, gdyż potrafiliśmy wyobrazić sobie lepszą przyszłość.

Odwrotnie niż dzisiaj, kiedy skok cywilizacyjny już się dokonał i zgromadziliśmy wreszcie zasoby na ogół pozwalające żyć na miarę wcześniejszych aspiracji, o których utrzymanie coraz bardziej się jednak lękamy. Stąd nostalgiczne wizje powrotu do przeszłości, która po latach wydaje się zwykle dużo bardziej uporządkowana, niż w istocie była.

Lata 90. bywają więc idealizowane, po obu zresztą stronach. Liberałom ▶

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ kojarzą się z beztroską epoki „końca historii". Dla prawicy Kaczyńskiego były z kolei okresem burzy i naporu, momentem formacyjnym. To był czas analogowej polityki, która nie korzystała jeszcze z internetowych algorytmów, przy ogólnie biernej postawie mas społecznych.

Mało kto spierał się w tamtych latach o model polskiej transformacji, spychano w podświadomość jej społeczne koszty. Zamiast tego najgorętsze spory toczyły się wokół lustracji, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się niedorzeczne. Z faktu krótkiej współpracy Lecha Wałęsy z SB w latach 70. zrodził się później mit „ukradzionej" solidarnościowej rewolucji oraz zakłamana legenda „nocnej zmiany". Kiedy jednak akta bezpieki zostały wreszcie odtajnione, góra urodziła mysz. Ot, upadło parę pomniejszych autorytetów, kilka mniej istotnych nazwisk zniknęło z polityki. Z pewnością jednak nie w takiej skali, żeby przynieść wielką odnowę moralną, co obiecywali ówcześni lustratorzy.

Wbrew pozorom antykomunizm nie był oczywistą orientacją polskiej prawicy po 1989 r. Na chaotycznie kształtującej się scenie rywalizowały rozmaite oferty ideowe. Jako pierwszy wyodrębnił się z obozu solidarnościowego nawiązujący do dawnej endeckiej tradycji i tradycyjnego katolicyzmu ZChN, który potępiał komunizm w kategoriach etycznych, ale nie akcentował potrzeby politycznych rozliczeń. Skądinąd jeden z czołowych polityków tej formacji Marek Jurek znalazł się w wąskim gronie solidarnościowych posłów, którzy w lipcu 1989 r. nie wzięli udziału w głosowaniu nad wyborem Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta. Dzięki temu dawny komunistyczny dyktator mógł wygrać z przewagą jednego głosu.

Nie odwoływał się również do antykomunistycznej emocji ówczesny lider polskich konserwatystów Aleksander Hall, który uważał, że w okresie przełomu należy integrować społeczeństwo wokół wielkich reform. Dzielił to przeświadczenie z większością solidarnościowej elity, która żyła jeszcze mitem moralnej jedności po wielkim zrywie z 1980 r. Naiwnie sądząc, że można ją utrzymać w nowych realiach, wbrew naturalnym w demokracji podziałom ideowym i konfliktom interesów.

Autorzy jednej z ciekawszych analiz tego okresu określili to później mianem „polityki zaczarowanej". Czyli romantycznie uwznioślonej, moralizującej, stawiającej sobie prometejskie wyzwania, opartej na abstrakcyjnych pojęciach, zarazem ignorującej elementarne reguły funkcjonowania społeczeństwa.

Jedynym chyba politykiem z szerokiej solidarnościowy elity, który zdawał sobie z tego sprawę, był Jarosław Kaczyński. Jego intuicje były realistyczne, gorzej z intencjami. Już w okresie przełomu ujawniła się bowiem skłonność tego polityka do instrumentalizowania wartości. Biegły w politycznych rozgrywkach, potrafił wydobywać na powierzchnię autentyczne namiętności, żeby wokół nich dzielić polityczną scenę. Nie po to jednak, aby komukolwiek realnie pomóc. Kaczyńskiemu za każdym razem chodziło o rozniecenie negatywnych emocji, których używał jako politycznego paliwa do ataku na konkurencję.

Pierwszą z nich był właśnie antykomunizm, który w rękach Kaczyńskiego stał się narzędziem do zburzenia mitu jedności obozu Solidarności. Ówczesnemu prezesowi Porozumienia Centrum trudno było jeszcze odciąć się od Okrągłego Stołu i planu Balcerowicza, gdyż jedno i drugie dopiero co razem z bratem popierali. Musiał więc znaleźć inny sposób na odróżnienie od solidarnościowego establishmentu, który nie chciał uznać jego aspiracji. Uwalniając antykomunistycznego dżina, budował własną podmiotowość.

Z zaskakującą szczerością opowiadał później Teresie Torańskiej, że od samego początku uważał tę emocję za społeczną namiastkę lekarstwa na ból transformacji. Rekompensatę miały stanowić antykomunistyczne igrzyska. Pozornie zresztą wymierzone w spadkobierców komunizmu, tak naprawdę jednak wycelowane w solidarnościowych magnatów, których Kaczyński pragnął zastąpić. Wpierał im zatem uczestnictwo w zmowie elit i zamiar zbratania się z „czerwonymi", chociaż w istocie poza Adamem Michnikiem nie było w jego środowisku innych chętnych do zawierania „historycznego kompromisu".

Później jeszcze rozwijał antykomunistyczną narrację. Obudowywał ją socjologicznymi teoriami o „postkomunistycznym układzie", popierał lustrację Macierewicza (chociaż bez entuzjazmu), snuł insynuacje i teorie spiskowe. Ale nadaremno, gdyż nie miało to większego wpływu na polityczne wybory Polaków w latach 90. W większości pozostawali oni obojętni na hasło rozliczenia PRL i „walki z komuną". Co pokazał (mimo wszystko szokujący) powrót do władzy SLD raptem cztery lata po wielkim przełomie.

Pierwsze zwycięstwo postkomunistycznej lewicy było jeszcze przypadkowe. To strona solidarnościowa przegrała. Gdyby poszła do wyborów skonsolidowana, utrzymałaby w Sejmie większość. I nawet liderzy SLD sami byli zaskoczeni obrotem zdarzeń. Dopiero co uchodzili za politycznych pariasów, którym nie podaje się ręki. Walczyli o przetrwanie, mobilizując w pierwszej kolejności „sieroty" po PRL: dawny aparat partyjny i mundurowy, nie tak licznych nostalgików starego systemu. Ale korzystali też ze zmęczenia reformami, co ostatecznie umożliwiło im powrót do władzy.

Prawdziwym przełomem okazały się wybory prezydenckie w 1995 r., w których startujący pod hasłem „Wybierzmy przyszłość!" Aleksander Kwaśniewski pokonał samego Lecha Wałęsę. Był to ostateczny akt symbolicznej legitymizacji spadkobierców PRL w nowej Polsce.

Przede wszystkim dzięki cechom Kwaśniewskiego, jego talentowi i osobowości. Jako powszechnie ceniony prezydent wyprowadzał jednak cały swój obóz z postkomunistycznego zaułka, przeciągając na stronę lewicy młode pokolenie, rodzącą się klasę średnią, opiniotwórcze elity. SLD co prawda straciło władzę w 1997 r., ale wyszło z tamtych wyborów wzmocnione. I już po czterech latach Sojusz pod wodzą Leszka Millera z powrotem przejmował rządowe gabinety po przytłaczającym zwycięstwie, w którym „postkomuniści" zdobyli ponad 40 proc.

Żadna formacja nie brała wcześniej władzy w tak imponującym stylu. Po dawnym obozie solidarnościowym pozostały już tylko debiutujące w wyborach i wciąż szukające pomysłu na siebie PO i PiS. Wydawało się, że podział postkomunistyczny ostatecznie został przełamany. Zbliżało się referendum w sprawie akcesji do UE, w którym Platforma znalazła się po tej samej stronie co SLD, a po wahaniach dołączył też do proeuropejskiego frontu PiS Kaczyńskiego. Przeciwko sobie mieli rosnącą w siłę Samoobronę oraz katolickich radykałów z LPR. Nowy podział nie zdołał się jednak utrwalić,

eprasa.pl d6bf8a6782

a wszystko przez producenta filmowego Lwa Rywina, który w lipcu 2002 r. złożył Adamowi Michnikowi korupcyjną propozycję.

To afera Rywina, której bohaterem był Włodzimierz Czarzasty, zdemolowała poparcie dla SLD, zabiła „postkomunizm", przede wszystkim za sprawą masowo oglądanych posiedzeń komisji śledczej, w trakcie której odsłonięte zostały gorszące kulisy polityki. Z braku sensowniejszych wyjaśnień nastąpił nieoczekiwany renesans opowieści Kaczyńskiego z poprzedniej dekady o postkomunistycznym układzie. Podział historyczny na krótko powrócił, odnawiając popyt na antykomunistyczną moralistykę i znajdując swoje zwieńczenie w idei IV RP, z którą PiS poszedł na wybory w 2005 r. Ale paradoksalnie to właśnie wtedy polska polityka ostatecznie uwolniła się od ciężaru przeszłości. Zgruchotane SLD przestało się liczyć w rozgrywce o władzę, a scenę podzielili pomiędzy siebie Tusk z Kaczyńskim. O ile do tej pory antykomunizm można było jeszcze od biedy uznać za ideologię jakoś osadzoną w realiach, o tyle po 2005 r. stał się kategorią umowną i elastyczną, co symbolizowało słynne oskarżenie Kaczyńskiego pod adresem PO, iż „stoi tam, gdzie ZOMO".

Polityczne zepsucie nigdy jednak nie miało partyjnych barw ani związku z historycznymi rodowodami. Rządy SLD upadły nie dlatego, że Miller był niemoralnym postkomunistą, a po drugiej stronie czekały na swoją kolej anioły. Postkomunistów zgubiło ich zadufanie, brak hamulców, ogromna buta. Szczególna była rola Czarzastego, który podczas przesłuchań komisji śledczej obnosił się swoim cynizmem i pogardą, tak jakby w ogóle nie musiał się liczyć z opinią publiczną. Wysyp kolejnych afer potwierdził zresztą, że ekipa Millera traktowała Polskę jak swoją własność. „SLD mniej wolno" – napisała parę lat wcześniej komentatorka „Gazety Wyborczej" Ewa Milewicz. Będąc u władzy, Sojusz uznał, że może wszystko. A to za sprawą skali zwycięstwa, którego skutkiem był triumfalizm, złudzenie wszechmocy. Stąd już była prosta droga do kolonizacji państwa i przyzwolenia na podział łupów.

Dekadę po upadku Millera ten sam schemat znów się powtórzył, tyle że tym razem w butach właścicieli Polski znaleźli się samozwańczy spadkobiercy wszelkich narodowych cnót z PiS. Podnosząc poprzeczkę w łupieniu państwa na poziomy niebotyczne. Za Millera renta od władzy pobierana była jeszcze pod stołem jako coś wstydliwego. Za Kaczyńskiego hipokryzja stała się zbędna: zalegalizowana kradzież państwowego mienia odbywała się jawnie.



Osobliwie zresztą wypada porównanie losów Czarzastego i Zbigniewa Ziobry, który wcześniej był jednym z głównych tropicieli afery Rywina, a dzisiaj ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości. Zarządzany przez niego Fundusz Sprawiedliwości to Polska Kaczyńskiego w pigułce, która już nie potrzebowała pośredników z ich prowizjami, tylko po prostu rozdawała swoim setki milionów złotych.

Wymagało to jednak trochę wysiłku, bo instytucje kontrolne same się przecież nie pacyfikują. Również zorkiestrowanej propagandy, która musiała ubrać demoralizację w kostium wyższej moralności. Efekt przewyższał jednak dokonania poprzednich rządów, jeśli chodzi o skalę korupcyjnego procederu i sumę zagarniętych dóbr. Jeżeli postkomunizm w dawnych opisach Kaczyńskiego był systemem politycznie sterowanego rozdziału kapitału i innych dóbr materialnych, to swoje najdojrzalsze oblicze osiągnął on dopiero w latach 2015–23.

Nie byłoby to możliwe bez głębokiej rewizji standardów ustrojowych oraz kultury politycznej. Systemowa korupcja wynika wprost z natury autorytarnego populizmu, w którym trójpodział władzy ulega osłabieniu i nie ma komu kontrolować rządzących. Polska Kaczyńskiego nie stanowiła tutaj wyjątku i nie ma mowy o żadnych wypaczeniach. Pod wieloma względami inspirowała się zresztą kleptokracją Viktora Orbána.

Chociaż systemy Orbána i Kaczyńskiego bywają określane mianem nieliberalnej demokracji, tak naprawdę bliżej im do „komuny". Pod każdym względem: ustrojowym (koncentracja władzy, ograniczenie niezawisłości sądów), politycznym (represyjność państwa, wykorzystywanie służb specjalnych przeciwko opozycji), ideologicznym (kolektywizm, prymat państwa nad jednostką), ekonomicznym (interwencjonizm, etatyzm), administracyjnym (centralizacja, upartyjniona biurokracja). A jeśli do tego jeszcze dołożyć cynizm Kaczyńskiego, który ostentacyjnie sięgał po dawnych komunistycznych funkcjonariuszy pokroju Stanisława Piotrowicza, popularny slogan o rządach PiS jako grupie rekonstrukcyjnej PRL wydaje się całkiem trafiony.

W tym kontekście „precz z komuną!" pod adresem Czarzastego (zapewne także nowego szefa kancelarii Sejmu Marka Siwca) w najlepszym razie może wzbudzić politowanie. Chociaż PiS wiedział, co robi, sięgając po zgrane hasło. Trzy i pół dekady od upadku komunizmu to wystarczająco długi okres, żeby zdążyły się zatrzeć właściwe historyczne sensy. Dla prawicowej młodzieży, która na Marszu Niepodległości gardłuje „raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę", owa „komuna" jest już tylko symbolicznym emblematem, synonimem równie pojemnego „lewactwa". Do uniwersalnego wykorzystania przeciwko unijnym elitom, polityce klimatycznej, ostatnio próbom ograniczenia języka nienawiści w internecie.

Szczególna wydaje się pod tym względem sylwetka Karola Nawrockiego, w której stary antykomunizm spotyka się z nowym. Z jednej strony wychowany na lustracyjnych pracach swojego ideowego mentora (a dziś podwładnego) Sławomira Cenckiewicza, z drugiej uformowany kulturowo przez prawicowy ekstremizm grup kibicowskich. Predestynowany do objęcia w przyszłości patronatu nad prawicową koalicją, przy okazji może okazać się gwarantem ciągłości „walki z komunizmem" – prawicowej tradycji po 1989 r., którą zapoczątkował niedoceniony przez swoją epokę czterdziestolatek z inteligenckiego Żoliborza, Jarosław Kaczyński.

RAFAŁ KALUKIN

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d6bf8a6782



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl d6bf8a6782

Porozmawiajmy o telefobii

Chociaż młodzi niemal rodzą się ze smartfonem w ręku, zwykła rozmowa telefoniczna coraz częściej budzi w nich niechęć czy wręcz lęk.

JOANNA PODGÓRSKA

„To nie jest telefon” – mówi na widok starej komórki z klapką młoda dziewczyna. „Przecież dzwoni i rozmawia” – oponuje właściciel. „Ona ma rację. Prawdziwy telefon nie służy do dzwonienia i rozmawiania. To tylko taki efekt uboczny” – puentuje ich przyjaciel. Ten dialog pochodzi z miniserialu „Tylko nie piątek”, opowiadającego o młodych pracownikach warszawskiej kawiarni.

Wiele pisze się i dyskutuje o zagrożeniach związanych z nadmiernym korzystaniem ze smartfonów – uzależnienie, toksyczne relacje w mediach społecznościowych, fobia związana z brakiem zasięgu czy rozładowaną baterią. Ale coraz częściej mówi się też o telefobii – lęku przed rozmowami telefonicznymi, dzwonieniem i odbieraniem połączeń. W kilku krajach przebadano pod tym kątem pokolenia milenialsów i zetek. Z ankiety Uswitch, przeprowadzonej w 2024 r. wśród młodych Brytyjczyków, wynika, że prawie 70 proc. osób w wieku 18–34 lata woli komunikować się za pomocą esemesów, niż po prostu zadzwonić. 23 proc. zadeklarowało, że nie odbiera połączeń telefonicznych.

Podobny wynik przyniosło badanie „Generation Mute 2022 Millenials Phone Call Statistics” – 75 proc. młodych unika połączeń jako zbyt czasochłonnych. Blisko 80 proc. odczuwa niepokój i obawy, gdy mają gdzieś zadzwonić; potrzebują kilku minut na przygotowanie. Aby uniknąć niechcianych połączeń, wyciszają telefon lub ignorują sygnał połączenia – kiedy rozmówca się rozłączy, wysyłają esemes: „Dzwoniłeś do mnie?”. Wśród australijskich zetek myśl o rozmowie telefonicznej wywołuje lęk u 90 proc., a niektórzy wymieniają je jako jedną z trzech najbardziej nieprzyjemnych rzeczy w życiu. W Hiszpanii (dane jeszcze sprzed pandemii) młode pokolenie niemal jednomyślnie (97 proc.) preferuje komunikatory kosztem rozmów telefonicznych. W młodych Amerykanach lęk przed rozmową telefoniczną także jest powszechny; dotyka ponad 80 proc.

Bolesne rozmowy

W Polsce podobnych badań jeszcze nie prowadzono, ale gołym okiem widać, że problem jest.

– *Rozmawiam o tym ze studentami pierwszych lat, którzy przychodzą do nas od razu po szkole. Telefon jest dla nich narzędziem do życia, grzebania w sieci, zamawiania różnych usług przez aplikacje, pisania komunikatów. Ale nie jest czymś do rozmawiania, bo stukanie w klawiaturę jest dla nich po prostu łatwiejsze* – opisuje prof. Tomasz Szlendak, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – *A pandemia ten problem jeszcze pogłębiła. Odcięła ich od kompetencji interakcyjnych. Rozmowa telefoniczna ma swoje reguły, coś w rodzaju etykiety. A oni nie tylko de facto nigdy się ich nie uczyli, a tego, co umieli, oduczyli się w czasie pandemicznym. Rozmowa przez telefon z drugim człowiekiem jest dla nich bolesna; wręcz fizycznie.*

Prof. Szlendak podaje pierwszy z brzegu przykład: do pizzerii się nie dzwoni, tylko zamawia przez aplikację. A kiedy z dostawą coś się dzieje i trzeba na żywo skontaktować się z kurierem? Niektórzy wolą sobie tę pizzę odpuścić.

Temat telefobii rozpala fora internetowe i pokazuje, że to problem coraz powszechniejszy wśród młodych: „Rozmowa w czasie rzeczywistym to freestyle, nie każdy ma odpowiednie obycie lub umiejętności na freestylowanie”, „Wolałbym spędzić godzinę mojego życia na czacie online niż 15 minut na telefonie. Mój mózg pracuje szybciej niż usta i się denerwuję. Unikam tego jak ognia!”, „Kiedy muszę rozmawiać przez ten przeklęty telefon, chodzę w tę i z powrotem, jak naćpany chomik”, „Nie tylko z nieznajomymi, co jest już wystarczająco złe, ale nawet nie lubię rozmawiać przez telefon z przyjaciółmi czy rodziną. Nie potrafię do końca określić, dlaczego tak bardzo tego nie znoszę, po prostu uważam to za niezręczne”, „Moi znajomi i rodzina czasem dzwonią kilka razy dziennie, tylko po to, żeby pogadać. To zachowanie jest dla mnie tak obce. Co jest złego w prostej wiadomości tekstowej? Czy ludzie naprawdę potrzebują tak często być połączeni? Czy po prostu jestem aspołecznym dupkiem?”, „Zawsze odczuwam niepokój, gdy ktoś do mnie dzwoni, a jeszcze gorzej jest, gdy nie odbieram. Odkładam oddzwonienie, aż staje się zbyt niezręczne, żeby ponownie się odezwać, bo wydaje się, że minęło za dużo czasu”, „Oczekiwanie ciągłego kontaktu z innymi jest dla mnie stresujące i trochę inwazyjne. Poza tym, może po prostu nie jestem zbyt ciekawą osobą, mam problemy ze znalezieniem tematów do rozmowy. Moje życie jest trochę nudne, nie mam wielu aktualizacji do przekazania co 12 godzin”. To tylko garść z lawiny wpisów, jakie pojawiają się pod informacjami o fobii telefonicznej.

Człowiek bez maski

Skąd ten lęk w generacjach wychowanych z telefonem w ręku? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. To raczej mozaika przyczyn. Często wskazywany jest fakt, że dla pokoleń wychowanych w social mediach spontaniczna rozmowa ▶

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ telefoniczna jest czymś, co wymyka się spod kontroli. Jest – jak mówi się dziś w języku poppsychologii – wyjściem poza strefę komfortu. Unikają tej formy, jak mogą, wybierając np. nagrywanie wiadomości głosowych, które przed wysłaniem da się sprawdzić i ewentualnie skorygować.

– *Rozmową telefoniczną bywamy zaskakiwani. Nie ma czasu, żeby się zastanowić, przygotować odpowiedzi. Wiadomość tekstowa czy głosowa na to pozwala. Można coś poprawić, skasować, nagrać czy napisać jeszcze raz* – tłumaczy Damian Rogala, autor książki „Telefon do sukcesu", trener telesprzedaży. – *Epoka social mediów to czasy pozorowanej doskonałości: wystudiowane posty, retuszowane zdjęcia; tam nie ma miejsca na błędy. Rozmowa na żywo wiąże się z konfrontacją czy oceną (co będzie, jak się przejęzyczę). Telefon ujawnia, kim jesteśmy tu i teraz. Bez edycji, bez maski. I to jest niewygodne.*

Damian Rogala dodaje, że w grę wchodzi tu także bezstresowe wychowanie. Rozmowa wiąże się ze stresem, a młodzi nie potrafią sobie z nim radzić, bo do tej pory wszystko robili za nich rodzice. Brzmi przesadnie? Być może. Ale zważywszy na ilość wpisów młodych ludzi, którzy zwierzają się, że gdy mają np. umówić wizytę u lekarza, proszą o pomoc mamę lub tatę, coś może być na rzeczy.

Gdy Rogala na swoim profilu LinkedIn zamieścił wpis o tym, że lęk przed rozmową telefoniczną dotyka już 60 proc. pokolenia Z, a 23 proc. młodych nigdy nie odbiera telefonu, odzew był ogromny. Jeden z wątków dyskusji pokazuje, że telefobia może mieć także całkiem racjonalne podłoże. Od lat przez telefon atakują nas garnki, banki, ubezpieczenia czy fotowoltaika. Dodatkowo, dla całkiem sporej części młodego pokolenia, telemarketing był pierwszym zatrudnieniem. Wpis Gosi Frazer w dyskusji: „Jako osoba z pokolenia milenialsów powiem, dlaczego bardzo nie lubię odbierać telefonu (z dzwonieniem mam mniejszy problem). Głównie dlatego, że kojarzy mi się to z próbą wciśnięcia mi pożyczki, usługi, marketingiem, na który nie wyrażałam zgody, często od podmiotów, którym nie dawałam mojego numeru. Sama pracowałam na infolinii, jak byłam studentką, musiałam sprzedawać umowy na usługi telko nawet tym osobom, które miały problem z operatorem i bardzo wściekle reagowały – a byłam rozliczana z tego, czy powiedziałam o sprzedaży, czy nie. Po prostu odbieranie telefonów od firm ma złą prasę w moim życiu, jestem świadomą konsumentką, jak chcę jakiejś usługi albo towaru, to sięgam po niego sama, na pewno nie w wyniku zachęty telemarketera".

Niegrzeczne telefony

Po części telefobia bywa po prostu spamofobią i rodzajem samoobrony. Jednak młodzi jako natrętne, wręcz nachalne odbierają wszelkie próby bezpośredniego kontaktu telefonicznego. Esemesa czy maila odbiorca może odczytać wtedy, kiedy ma na to czas i przestrzeń. Rozmowa telefoniczna wymaga reakcji tu i teraz, dlatego postrzegana jest jako natrętna i egoistyczna. Głosy w dyskusji pod wpisem Rogali: „Nie ma nic mniej efektywnego niż telefon z punktu widzenia osoby, do której się z bomby dzwoni", „Niestety, rozmowa telefoniczna w większości przypadków jest wygodna tylko dla dzwoniącego. Bo ma to zaplanowane, bo akurat jedzie samochodem, bo coś mu się przypomniało. Druga strona jest za to łapana w całkowicie przypadkowej sytuacji", „Najbardziej irytująca forma kontaktu, która zakłada, że ja mam czas, bo ktoś chce coś załatwić".



Z badań wynika, że rozmawiając przez telefon z drugim człowiekiem, budujemy silniejsze więzi emocjonalne niż podczas esemesowych czy mailowych dialogów.

– *Dzwonienie kojarzy mi się z postacią zalatanej mamuśki, która właśnie odwozi dzieci do przedszkola czy na jakieś zajęcia i ma chwilę, żeby pogadać* – potwierdza telefobiczna zetka. – *Z kilkorgiem przyjaciół mam stały kontakt poprzez grupę na Messengerze. Wrzucamy tam w ciągu dnia różne rzeczy. Czasem nagrywamy wiadomości głosowe. Raczej nie dzwonimy, bo każdy ma inny tryb dnia; nie wiadomo, czy ktoś akurat nie pracuje.*

Starszym pokoleniom może się to z trudem mieścić w głowie, ale dzwonienie może być przez młodych postrzegane jako brak kultury i szacunku dla drugiego człowieka. Według prof. Tomasza Szlendaka nakłada się na to popandemiczne przyzwyczajenie do funkcjonowania w środowisku bezkontaktowym, niechęć do szerokich kręgów towarzyskich. Młodzi zamykają się w małych grupach znajomych, swoistych bańkach. W sensie statystycznym nie mają tak dużych grup przyjaciół i znajomych jak dawne pokolenia. Do tego typu kontaktów Messenger czy WhatsApp są idealne.

Kolejny fragment tej telefobicznej mozaiki to związane z rozwojem nowych form komunikacji przyzwyczajenie, że rozmówcę się widzi. Bez tego rozmowa – zwłaszcza z kimś obcym – staje się coraz trudniejsza.

– *Nie lubię rozmów telefonicznych, bo generalnie sporo milczę i często zdarza mi się zawieszać. Na żywo czy kiedy widzimy się z rozmówcą, to jest OK, ale przez telefon cisza brzmi inaczej. Staje się zakłóceniem* – opisuje telefobiczna zetka.

eprasa.pl d6bf8a6782

Psychoterapeutka poznawczo-behawioralna i terapeutka schematu Agata Muszyńska podpowiada, jak mogą układać się te kostki domina. – *Boję się zadzwonić, bo na przykład głos mi się będzie trząsł i pani to usłyszy. I jak pani to usłyszy, to może sobie o mnie pomyśleć złe rzeczy. A jak pani pomyśli o mnie złe rzeczy, to mnie pani odrzuci. Innymi słowy, może chodzić o lęk przed bezpośrednim kontaktem z drugim człowiekiem i oceną z jego strony.*

Połączenie z napięciem

Bywa, że niechęć do rozmów telefonicznych przybiera rozmiary autentycznej fobii, z jej fizycznymi objawami: skoki ciśnienia, załamania głosu, pocenie się, przyspieszone tętno, nudności i w efekcie osoba odkłada telefonowanie na później albo z niego rezygnuje. Psychoterapeutka Agata Muszyńska przyznaje, że spotyka się z tym zjawiskiem w swoim gabinecie, zastrzega jednak, że zanim zacznie się je demonizować, należy ustalić, na ile wiąże się ono z życiową dysfunkcją. Jeśli młodzi ludzie, wybierając nowe środki komunikacji, załatwiają w ten sposób swoje sprawy, zaspokajają potrzeby bliskości, miłości, akceptacji, potrafią budować relacje – nie ma problemu.

– *Dysfunkcja zaczyna się wtedy, gdy taka fobia wpływa negatywnie na życie człowieka. Gdy lęk przed rozmową telefoniczną powoduje, że nie jest w stanie zaspokajać swoich życiowych potrzeb, podtrzymywać relacji. Wówczas jako psychoterapeutka mam co robić* – deklaruje. Zaczęłaby od ustalenia, czy chodzi o fobię prostą, np. lęk przed pająkami. W pewnym momencie życia człowiekowi przytrafiła się przykra sytuacja związana z użyciem telefonu, skojarzyła mu się z napięciem w ciele i teraz czuje je za każdym razem, gdy ma podjąć słuchawkę.

– *Fobie proste spotykam w gabinecie stosunkowo rzadko i łatwiej się je leczy. Bardziej prawdopodobne, że trudność, o której tu mówimy, wiąże się z cechami osobowości, np. osobowości unikającej* – tłumaczy. – *Lęk przed rozmową telefoniczną jest tylko jednym z jej przejawów. Objawi się ona także w szeregu innych sytuacji, które mogą być dla danej osoby trudne ze względu na obawę przed kontaktem z drugim człowiekiem, oceną społeczną i doświadczeniem odrzucenia.*

Dla wielu młodych ludzi lęk przed rozmową telefoniczną stał się jednak problemem, który wpływa na ich życie codzienne, relacje międzyludzkie, ale też możliwości zawodowe. Z badań psychologicznych wynika, że rozmawiając przez telefon z drugim człowiekiem, słysząc jego głos, budujemy znacznie silniejsze więzi emocjonalne niż podczas esemesowych czy mailowych dialogów. Prośby kierowane drogą elektroniczną są spełniane rzadziej niż te, które komunikujemy bezpośrednio.

– *Nic nie zastąpi kontaktu telefonicznego, podczas którego słyszymy reakcje rozmówcy, jesteśmy w stanie dostrzec, czy nas poprawnie zrozumiał, zadać pytanie pogłębiające, coś doprecyzować. Komunikat mailowy może być różnie interpretowany. W rezultacie coś, co możemy załatwić podczas kilkuminutowej rozmowy, rozciąga się na 10 maili* – przekonuje Damian Rogala. – *W biznesie telefon to oznaka szacunku. Pokazuje: to dla mnie na tyle ważne, że poświęcam ci czas i uwagę. W zautomatyzowanym świecie głos człowieka ma coraz większą wartość, a telefon – paradoksalnie – staje się narzędziem wyróżnienia.*

Według prof. Tomasza Szlendaka młodzi ludzie są świadomi własnej niekompetencji, jeśli chodzi o znajomość telefonicznej etykiety, a umiejętność rozmowy zaczynają postrzegać jako coś, czego po prostu trzeba się nauczyć, tak jak prowadzenia samochodu.

Tylko jak przełamać ten lęk? – *Ekspozycja na bodziec i habituacja, czyli przyzwyczajanie się do niego* – podpowiada Agata Muszyńska. – *Jeśli nie będziemy ćwiczyć telefonowania, to tego lęku nie opanujemy. To jednak tylko jedna z metod pomocy. W przypadku bardziej nasilonego problemu może być potrzebna dłuższa i bardziej złożona praca nad cechami osobowości.*

Można zaczynać od najprostszych rzeczy – zamiast zamawiać nocleg czy jedzenie przez aplikację, zrobić to telefonicznie. Nie sprawdzać godzin otwarcia przychodni czy muzeum w internecie, tylko zadzwonić na recepcję. Problem w tym, że coraz częściej po drugiej stronie odpowiada nam sztuczna inteligencja.

JOANNA PODGÓRSKA

© DAVIDEANGELINI/SHUTTERSTOCK

REKLAMA

Poranna rozmowa w RMF

poniedziałek-piątek po godz. 8.00

Dołącz do rozmowy - zadaj pytanie!



Tomasz Terlikowski

eprasa.pl d6bf8a6782

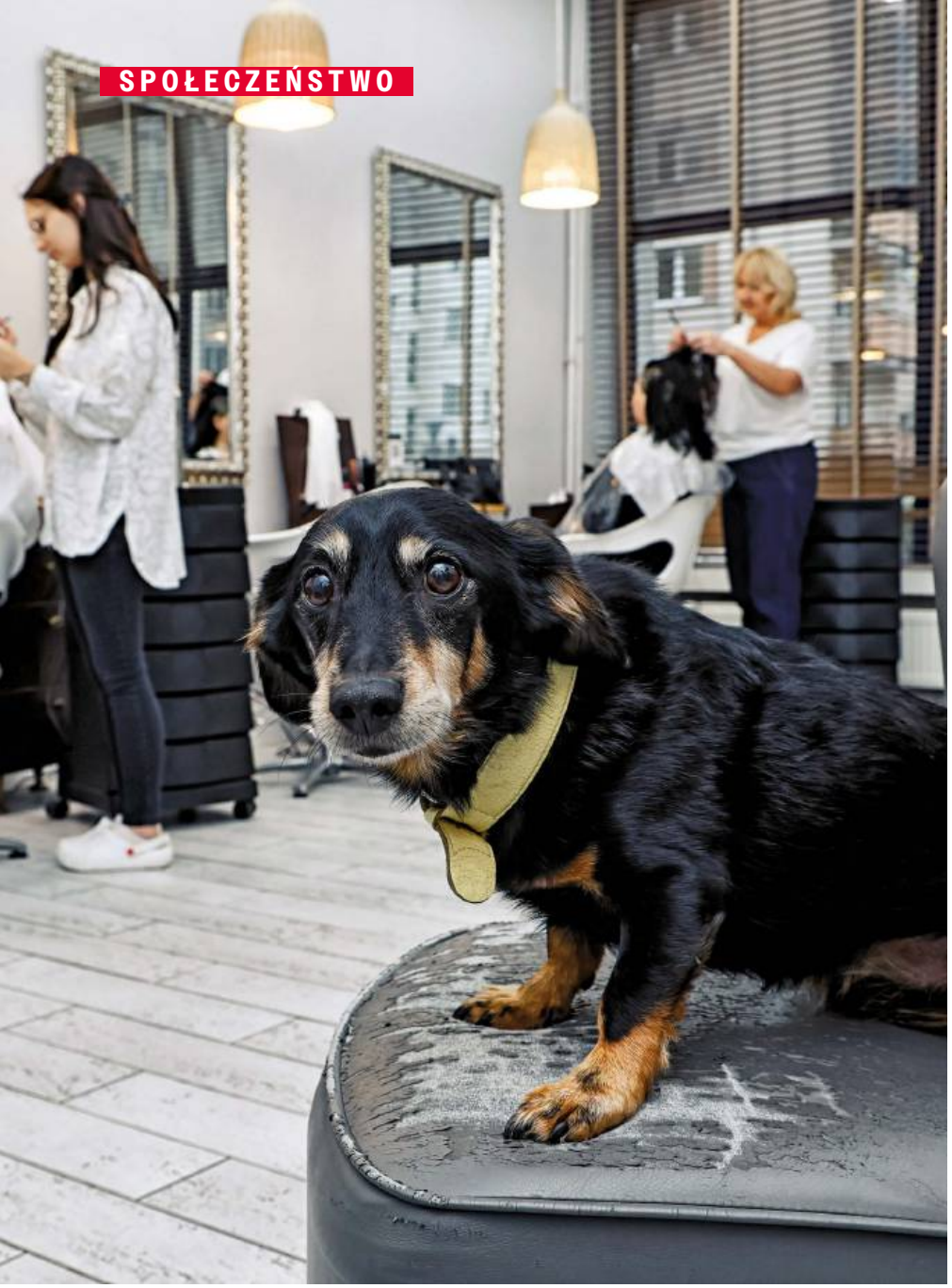

Lemon w salonie fryzjerskim na warszawskiej Ochocie

Z Burkiem pod biurkiem

KATARZYNA KACZOROWSKA

Gdy człowiek przyjdzie do pracy z psem, szefowie kładą uszy po sobie, a wrogowie zwierząt kulą ogony. Klientów też da się ugłaskać.

Lemon w psim dowodzie ma wpisane „jamnik warszawski". Czyli najprawdziwszy kundel, choć kiedy jako szczeniak trafił do Katarzyny Wagner, właścicielki salonu fryzjerskiego Le Kurnique w Warszawie, wyglądał jak jamnik prawdziwy. Dwanaście lat temu nikt nie wiedział, że urodził się w pseudohodowli i że przekona swoją właścicielkę do radykalnej zmiany poglądów.

– *Do momentu pojawienia się Lemona w moim życiu uważałam, że miejsce psa jest w budzie koło domu. Dzisiaj Lemon ma swoje miejsce nie tylko w moim mieszkaniu, ale też przychodzi ze mną do salonu, rozpracowując sprytnie naszych klientów* – śmieje się Katarzyna Wagner i od razu zdradza, jak to rozpracowywanie przebiega. Pan lub pani siada na fotelu, a wtedy Lemon powoli podchodzi i kładzie się obok. I już nie wiadomo, kiedy psia głowa oprze się o nogę człowieka. A wtedy jego ręka sama wędruje do tej głowy. I o te głaski Lemonowi chodziło...

Lemon w salonie fryzjerskim zaczął bywać po pandemii. Początkowo z pewną dozą ostrożności, bo nie wiadomo było, jak na psa zareagują klientki. – *Aż któregoś razu na fotelu usiadła bardzo wymagająca pani. I nagle, bez ostrzeżenia, Lemon wskoczył jej na kolana. Wszystkie zamarłyśmy. Każda reakcja była możliwa, a prawdę mówiąc, spodziewałyśmy się zdecydowanie negatywnej. A tymczasem Lemon rozbroił tę panią całkowicie* – wspomina właścicielka.

Dzisiaj bywa tak, że do salonu wpada pan na strzyżenie i od drzwi pyta, czy jest Lemon, bo jak nie, to przyjdzie następnym razem. Wiernych fanek doczekała się też dwuletnia Frida, która do salonu przychodzi z manikiurzystką Wiolą. Lemon wtedy czuje przypływ młodości, a klienci – pozytywnej energii płynącej z radości czworonogów.

Pełna miska w ministerstwie

Nutka też miała być rasowym psem z hodowli. Najprawdziwszym yorkiem. A okazało się, że jest krzyżówką yorka ze sznaucerem miniaturowym. Tak jak Lemon jest psią seniorką. I tak jak Lemon chodzi do pracy – na portierni Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu zwykle siedzi grzecznie za kontuarem, ale wystarczy, że na horyzoncie pojawi się Karmelek, kolejny psi „pracownik" tej uczelni, hol staje się placem zabawy.

© LESZEK ZYCH, KATARZYNA KACZOROWSKA (2)

eprasa.pl d6bf8a6782

Nutka towarzyszy Grażynie Dyjewskiej, która z psami pracowała wcześniej wiele lat w swojej kwiaciarni. Tam, obok Nutki, towarzyszył jej Amik. – *Jeździłam z nim wszędzie. Ostatni raz pojechaliśmy do Zakopanego: Amik ubrany w strój Jelonka, Nutka – Mikołajki. Kiedy odszedł starszy Amik, Nutka piszczała i płakała z tęsknoty, gdy wychodziłam z domu do pracy. Pracowałam już wtedy na uczelni i tak się szczęśliwie złożyło, że rektor wydał zarządzanie pozwalające na przychodzenie z psami na zajęcia i do pracy. Oczywiście za zgodą prowadzącego te zajęcia lub kierownika* – tłumaczy Grażyna Dyjewska, dodając, że dzisiaj widzi na uczelni studentów, którzy przychodzą na ćwiczenia ze swoimi czworonogami (bywa, że całkiem sporymi), a ona sama czuje się raźniej, kiedy rusza wieczorem na obchód dużego poniemieckiego budynku, a przed nią biegnie Nutka w kubraczku z napisem FBI. Psy przychodzą też z pracownikami uczelnianej administracji, swoistym psim królestwem jest uczelniany Dział Promocji, gdzie obok Karmelka (uratowanego dzięki interwencji w podwrocławskiej wsi Dębiny), bywają też Kumin, Fester (prawdziwy sznaucer średni), Leszek (adoptowany ze schroniska) i Link (kolejna schroniskowa bida), a gościnnie wpada Stefa na wyprężonej smyczy, za którą biegnie Paulina Zaweracz, koordynatorka projektu EU GREEN – Uniwersytety Europejskie.

W 2016 r. powstała inicjatywa Pets At Work zrzeszająca przedsiębiorstwa, które wdrożyły lub zamierzają wdrożyć system pracy biurowej z psem. Dzisiaj na liście są globalne korporacje, dla których ten rosnący trend okazał się istotny w budowaniu strategii benefitów dla pracowników, jak work-life balance. W Google psy, które towarzyszą swoim właścicielom w pracy, określa się mianem *Dooglersów*. Można je poznać na YouTube oraz Instagramie. Małe, duże, włochate, rasowe i kundle: Charlie, Herschel, Moka to tylko niektóre z nich. W Nestlé Purina z psami do pracy można przychodzić od 2003 r. Tutaj psy nazywane są *Dog-ployees*. To niejedyny producent karmy dla zwierząt, który zaakceptował przychodzenie z czworonogami do pracy. Na tej liście jest też segment Petcare firmy Mars czy Royal Canin. W 2019 r. za jedno z najlepszych miejsc do pracy uznane zostało biuro firmy Bark w Columbus w stanie Ohio. Są też firmy, które wyznaczają „psi" dzień, kiedy właściciele czworonogów mogą z nimi przyjść.

W 2023 r. zgodę na przychodzenie z psem do pracy wydano w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, a resort zdobył wyróżnienie publiczności w Konkursie WLB (work-life balance) za praktykę „Z psem do pracy". Wprowadzono jednak konkretne zasady. Nie wystarczy zgoda współpracowników i pracodawcy; pokój, w którym przebywa pies, musi być odpowiednio oznaczony, zwierzak powinien mieć przy obroży dane identyfikacyjne właściciela, wymagana jest też książeczka zdrowia i aktualne szczepienia. Za psa w ministerstwie odpowiada jego właściciel. Nie może chodzić z nim po wszystkich biurach, tylko w miejscach do tego przeznaczonych. Ma też zadbać o miskę z wodą, jedzeniem czy legowisko, by zwierzę nie przeszkadzało współpracownikom. Wszystko to ujęto w specjalnym regulaminie, bo Kodeks pracy nie reguluje tej kwestii. Wystarczą wewnętrzne ustalenia w firmie lub zapisy w układzie zbiorowym.

Świat bodźców i zapachów

Szymon Szafratowicz, zoopsycholog i behawiorysta zwierząt towarzyszących, podkreśla, że zawsze jest adwokatem psa. Tłumaczy jednak, że w pracy czworonóg nie jest terapeutą ani przenośnym reduktorem stresu. – *Jeżeli pies ma wpływać pozytywnie na ludzi, to tylko przy okazji i wyłącznie wtedy, kiedy sam czuje się komfortowo i bezpiecznie. Kluczowe nie są więc potrzeby człowieka, ten bowiem musi wiedzieć, że pies odbiera miejsce pracy jako środowisko pełne bodźców, zapachów,* ▶



Karmelek z Działu Promocji UPWr odpoczywa po lunchu...



...ale gdy wpadnie Nutka z portierni, zacznie się zabawa

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ *emocji i obcych ludzi. Jeśli ma z tego skorzystać, to super, ale nie w roli atrakcji ani ocieplacza atmosfery* – podkreśla Szafratowicz, dodając, że jeśli obecność psa w pracy ma być wartością dodaną, w centrum musi być jego dobrostan, a nie wygoda ludzi. Konieczne warunki to strefa wyciszenia, czyli legowisko (w przypadku większych psów dobrym rozwiązaniem jest klatka kennelowa), unikanie nieproszonych interakcji (nie każdy pies lubi być głaskany) i podkarmiania.

– *I żelazna zasada – spokojny spacer co dwie–trzy godziny. Psy kochają przewidywalność, więc ta praca również musi być dla nich przewidywalna* – mówi behawiorysta pracujący z psami lękowymi. Na co zwracać uwagę? Jeśli pies nie kładzie się spać, obserwuje otoczenie, reaguje na każdy dźwięk, szuka opiekuna wzrokiem, to znaczy, że wcale nie czuje się najlepiej w tym miejscu. Wtedy należy rozważyć, czy rzeczywiście dobrze mu z jego człowiekiem w pracy.

Kontrakt wart Kafla

Krzysztof Bramorski, radca prawny i konsul honorowy Luksemburga, przyznaje, że kiedy zdecydował, że w jego życiu pojawi się bokser Kafel, to było dla niego oczywiste, że pies będzie z nim wszędzie. Do dzisiaj na Facebooku można obejrzeć profil Kafla, ambasadora psich spraw, który – jak mówi Bramorski – powinien zostać uznany za pomnik przyrody, żył bowiem 16 lat.

– *W kancelarii mógł być wszędzie, ale miał swoje legowisko, miskę z wodą. Rozbroił wiele trudnych sytuacji. Pamiętam, jak podczas jakichś negocjacji biznesowych żadna ze stron nie chciała ustąpić nawet na krok i nagle w szparze szklanych drzwi pojawił się jego nos. Wszyscy usłyszeliśmy charakterystyczne sapanie. Strony wydawały z siebie okrzyki: „Ojej! Jaki cudny!" „Można pogłaskać?" „A jak ty masz na imię?" i atmosfera zmieniła się o 180 stopni. Negocjacje zakończyły się korzystnym dla wszystkich porozumieniem* – mecenas z rozbawieniem dodaje, że tajemnica zawodowa zabrania mu zdradzić, czy w kontrakcie uwzględniono stawkę dla nieoczekiwanego negocjatora.

Chętnie za to dopowiada, że prawdziwym trendsetterem przychodzenia do pracy z psem był wieloletni dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu ks. prof. Józef Pater. Jego gości od progu witało szczekanie niewielkiej suczki, która jeśli tylko uznała, że człowiek jest wart zainteresowania, natychmiast kładła się przy ścianie, odsłaniała brzuch i czekała na głaskanie. – *Miała obróżkę z różowym metalowym serduszkiem z napisem „Ma Chérie". Ksiądz Pater przekonywał, że umie liczyć i jest mądrzejsza od niejednego człowieka* – mówi wrocławska dziennikarka, a suczkę księdza dyrektora do dzisiaj pamiętają też w muzeum, w którym witała odwiedzających.

Katarzyna Wagner: – *Od kilku lat nadrabiamy to, co można nazwać swoistym zapóźnieniem, bo w całej Europie z psami od dawna można wchodzić do sklepów, restauracji, salonów fryzjerskich. Często jestem w Wiedniu i tam z psem wejdzie się nawet do apteki czy piekarni. Owszem, są miejsca, gdzie z czworonogiem nas nie wpuszczą, ale wtedy widać na szybie wyraźną naklejkę z przekreślonym psem.*

Krzysztof Bramorski: – *Z Kaflem oswajaliśmy przestrzeń. Na jego profilu na FB zamieszczaliśmy opisy ze zdjęciami miejsc, w których byliśmy serdecznie witani jako goście. I takich, gdzie nie byliśmy mile widziani. Raz byliśmy we wrocławskiej restauracji nad Odrą w towarzystwie bardzo znanej osoby. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Ale kilka dni później wpadłem tam z Kaflem, tylko już bez tej very important person. I okazało się, że jesteśmy nieproszonymi gośćmi... Bo pies, zarazki i w ogóle inni państwo w ogródku sobie nie życzą.* Wyszedł wtedy nie tylko z restauracyjnego ogródka, ale też z siebie, bo wprost powiedział właścicielce, co myśli o takim wybiórczym podejściu nawet nie tyle do niego, ile do jego czworonożnego towarzysza.

Z badania opublikowanego kilka lat temu przez portal pracuj.pl wynika, że zdaniem 68 proc. menedżerów prowadzenie firmy przyjaznej zwierzętom wpłynęło pozytywnie na kulturę firmy, czyniąc miejsce pracy bardziej przyjaznym. I aż 88 proc. uważa, że prowadzenie firmy przyjaznej zwierzętom przynosi – mimo wyzwań – korzyści wizerunkowe, strategiczne i społeczne.

Swoje badanie zleciła też Nestlé Purina w 2017 r. i do dzisiaj jest ono przywoływane przez zwolenników obecności psów w miejscu pracy: 40 proc. osób pracujących ze zwierzętami twierdzi, że poprawia to ich work-life balance, 24 proc., że to poprawia ich relacje w miejscu pracy, a 45 proc., że dzięki temu atmosfera w pracy jest bardziej swobodna. Z kolei z badania IPSOS-u można się dowiedzieć, że w pokoleniu milenialsów posiadanie psa w miejscu pracy jest uznawane za trzeci co do atrakcyjności przywilej pracowniczy. Mając do wyboru dwóch różnych pracodawców, ponad 40 proc. wybrałoby tego przyjaznego zwierzętom.

Z kim chodzi weterynarz?

– *Mieliśmy mandantów korzystających z usług kancelarii, którzy jak przyjeżdżali, to najpierw Kafel dostawał maskotkę, jakieś smaczki, a dopiero po rytualnym powitaniu i obdarowaniu prezentami przystępowaliśmy do rozmowy* – mówi mec. Bramorski.

– *Lemon jest łasy na smaczki, ale ma alergię i je tylko specjalistyczną karmę. Mam jedną klientkę, starszą panią, która kupuje mu w markecie smaczki. Nie mam serca jej zabraniać, Lemon więc ma małą dyspensę na ten grzeszek, choć potem go odchorowuje* – przyznaje Katarzyna Wagner.

– *Karmelek, jak się okazało, choć wygląda na młodego psa, jest już dojrzałym panem. Musiał dużo przejść, bo bał się wielu rzeczy: tramwaju, hałasu, mężczyzn i dzieci. Najgorsze chyba było to, że bał się podejść do miski z jedzeniem... Początkowo w biurze siedział pod biurkiem, jakby go w ogóle nie było. Dzisiaj wita się radośnie. Ma swoich fanów i występuje często w uczelnianych mediach społecznościowych, choćby na Instagramie* – uśmiecha się Isabelle Sigrist z Działu Promocji Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, gdzie po wojnie trendy wyznaczali lwowscy profesorowie. Do dzisiaj znana jest anegdota o prof. Antonim Bancie, jednym z ojców polskiej weterynarii, który na uczelnię przychodził z psem Smokiem. Bant z lekka seplenił. „Szmok, wyjdź, bo zgłupiejesz, sztudent mówi głupstwa, wyjdź, bo nawet ja nie mogę tego szłuchać" – powtarzał w czasie zaliczeń z anatomii. Co sprytniejsi studenci smarowali buty smalcem, by Smoka przekupić, a profesora przekonać, że warto dać im szansę.

– *Z jamnikiem szorstkowłosym na uczelnię przychodził też nieżyjący już wybitny kynolog prof. Jerzy Monkiewicz, uczeń Banta. Dzisiaj swoje psy przyprowadzają studenci i pracownicy. Jak widać, zalegalizowaliśmy starą tradycję, w dodatku wpisując się w światowe trendy* – mówi rektor uczelni prof. Krzysztof Kubiak, lekarz weterynarii, dodając, że gdzie jak gdzie, ale u przyrodników psy w pracy to codzienność. Niekoniecznie jako pacjenci klinik weterynaryjnych.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl d6bf8a6782

Zoś samoś

Zagubieni, nieporadni, uciekający od emocji. Tak wyobrażamy sobie starszych mężczyzn opiekujących się niesamodzielnymi żonami. Tymczasem to nie do końca prawda. Częściej to oni przełamują stereotypy, w które tak łatwo popadamy.



© MLV/AI

MARTA LAU

Teresa żyje z demencją i depresją. Pierwsza choroba zaczęła się niewinnie, od kupowania tych samych produktów i niepłacenia rachunków. Dziś już niewiele mówi, nie jest zainteresowana życiem domowym, woli godzinami wpatrywać się w telewizor. Czasem tylko uparcie chce wyjść do apteki po nowe leki, przekonując, że te, które ma, już nie działają. „Lekowe" napady wyprowadzają z równowagi jej męża Romana, który zaczyna robić wyrzuty. – *Po leki masz chęć chodzić, a po bułki i mleko na śniadanie niespecjalnie* – wypomina. Oprócz tego Roman jest opiekunem prawie idealnym.

Odkąd Teresa zaczęła chorować, Roman brał na siebie kolejne obowiązki. Najpierw rachunki, potem zakupy, w końcu sprzątanie i gotowanie. Kiedyś potrafił przyrządzić co najwyżej jajecznicę czy parówki. Teraz robi ryby w galarecie, kluski śląskie, piecze ciasta. Odkrył w sobie talent, którego nikt się po nim nie spodziewał. Katarzyna, córka Romana i Teresy, wie, że ojcu jest ciężko: – *Stara się bardzo i przeżywa, że matka tego nie zauważa, nie docenia. Tęskni za chwilami wolności, które dawały mu wyjazdy na ryby. Dziś, żeby wyjechać choć na dwa dni, musi wszystko zorganizować: opiekunkę, jedzenie. Niby jest na rybach, ale cały czas myśli o tym, co w domu. I co zastanie, jak wróci.*

Katarzyna doszła do wniosku, że potrzebna jest fachowa konsultacja. Zaprowadziła rodziców do prywatnego gabinetu wziętego psychiatry. – *Zalecił, żeby mama piła wodę, dużo spacerowała i czytała książki* – opowiada. Po takich radach już więcej do niego nie wrócili. Inna pomoc? Roman nie sięga po nią. Nie wie nawet, czy im się jakaś należy. Zresztą wyczerpało go załatwianie dofinansowania na pieluchomajtki. Roman radzi więc sobie sam. Tak jak potrafi. Jeśli zwraca się do kogoś o pomoc, to do córki.

Jest dobrze...

„Damy sobie radę, jest wszystko dobrze, niczego nam nie trzeba" – to zazwyczaj słyszał Piotr od swojego ojca, kiedy dzwonił z pytaniem, czy może w czymś pomóc. Ojciec mieszkał daleko, na drugim końcu Polski, w małym miasteczku, w mieszkaniu na drugim piętrze bloku z wielkiej płyty. Opiekował się Wandą, swoją chorą na alzheimera żoną, matką Piotra. Rodzice długo ukrywali, że ona jest chora, że już pojawiły się niepokojące objawy. Wspólnie utrzymywali, że to taka choroba, z której można wyjść. Nawet wtedy, gdy ona już była w ciężkim stanie, to on trzymał się wersji, na którą się wcześniej umówili. Wstydzili się. Przestali bywać w mieście, chodzić do kościoła, zapraszać znajomych. Niektórym krewnym nie otwierali drzwi, gdy ci przychodzili z niezapowiedzianą wizytą. Ojcu Piotra nikt nie powiedział, że przysługują im pampersy. Kiedy w końcu je dostał, prał je – bo pamiętał jeszcze czasy tetrowych pieluch. Nie wiedział też, że żona może liczyć na wózek inwalidzki. Nie chciał słyszeć o pomocy, szczególnie tej społecznej, bo z niej przecież, jak mu się wydawało, korzystają tylko nieudacznicy i patologia.

...i jest źle

Wrocław. Jesienne Forum Seniora Dolnego Śląska. Sala wypełniona w przeważającej większości kobietami. Na scenie prelegenci udzielają rad prawnych i zdrowotnych, oferują nowe produkty w sam raz na jesień życia. Jest też miejsce na opowieść o życiu z demencją i alzheimerem. Wśród publiczności zaledwie kilku mężczyzn. Jeden z nich stanie w ogonku po autograf autorki książki o tym alzheimerze. Poprosi o dedykację dla siebie i żony. Jego wygląd i zachowanie opowiadają jego historię, jeszcze zanim on sam zacznie mówić.

Twarz zmęczona, uzębienie niepełne, zarost, przetarty podkoszulek i buty z wytartymi czubkami. Powie niewiele więcej niż: – *Jest ciężko.* A w jego oczach ▶

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ pojawią się łzy. Od autorki książki dostanie jeszcze kartkę z numerem telefonu: „800 201 801". To infolinia rzecznika praw pacjenta dla osób chorych na chorobę Alzheimera lub inne zaburzenia otępienne oraz ich rodzin i opiekunów. Mężczyzna dziękuje. Stara się robić dobrą minę, ale wygląda na zagubionego i przytłoczonego sytuacją, w jakiej się znalazł.



Jako społeczeństwo wciąż nie rozumiemy, czym naprawdę jest opieka nad niesamodzielną osobą i jakiego rodzaju wsparcia potrzebują opiekunowie.

Kopiujemy kalki

Problem w tym, że pozory często mylą. Tak przynajmniej twierdzi dr hab. Rafał Iwański, gerontolog i ekonomista z Uniwersytetu Szczecińskiego. Wraz z dr hab. Beatą Bugajską podczas uruchamiania nowego programu wsparcia dla mieszkańców Szczecina: „Bonu opiekuńczego Alzheimer 75+" przeprowadził badanie na grupie opiekunów rodzinnych osób po 75. roku życia. Wynika z nich, że aż 72 proc. opiekunów stanowią kobiety, głównie córki. Tylko nieco ponad 10 proc. to mężowie, którzy opiekują się swoimi żonami – w wywiadach, które przeprowadzili naukowcy, przyznawali, że nie radzą sobie z emocjami. Opowiadali, że krzyczą w domu, ponoszą ich nerwy, nie potrafią znieść napięcia. Wybuchy biorą się z tego, że często nie rozumieją zachowania małżonki. Zapominają, że wynika ono z choroby, nie zaś ze złośliwości czy lenistwa.

– *Jak radzić sobie z emocjami i w ogóle, jak rozmawiać o emocjach, nikt tego pokolenia nie uczył. Od tego były kobiety; najpierw matki, potem żony. To one dbały o dom i opiekowały się dziećmi. Te same schematy widać w opiece nad osobami starszymi* – mówi dr hab. Rafał Iwański. Przyjmujemy jako społeczeństwo, że opiekunką powinna być kobieta: żona, córka czy synowa. Mężczyzna w roli opiekuna jest postrzegany jako wyjątek. – *Tymczasem to coraz częstsza sytuacja, zwłaszcza w starszych parach. Uznawanie, że kobieta powinna być opiekunką seniora, to stereotyp. Dokładnie taki sam jak w przypadku ojca samotnie wychowującego dzieci. Traktujemy go jak bohatera, a w przypadku samotnej matki zakładamy, że sobie na pewno poradzi* – dodaje nasz rozmówca.

Jego zdaniem jako społeczeństwo wciąż nie rozumiemy, czym naprawdę jest opieka nad niesamodzielną osobą. Myślimy o niej w kategoriach „pomocy rodzinnej", a nie fizycznej pracy, wyczerpującej emocjonalnie, w dodatku 24 godziny na dobę. To życie podporządkowane rytmowi choroby. – *Brak tego społecznego zrozumienia prowadzi właśnie do utrwalania stereotypów. Skoro uważamy, że opieka to „naturalny obowiązek kobiety" albo że „mężczyzna sobie zawsze poradzi, bo jest silny", to nie widzimy, że obie te osoby potrzebują realnego wsparcia.*

Siły na wyczerpaniu

W wielu przypadkach taka opieka nad chorym na alzheimera trwa średnio pięć i pół roku, ale u jednej szóstej badanych – ponad dekadę. – *To czas, w którym wszystko się wyczerpuje* – mówi dr Iwański. – *I siły fizyczne, i cierpliwość, i zdrowie.* Wtedy pojawia się wyczerpanie opiekuńcze, a ono – jak też wynika z badań – jest najwyższe w przypadku córek opiekujących się rodzicami. Najpewniej wynika to stąd, że oprócz tego, że pomagają seniorom, jednocześnie zajmują się własną rodziną, mężami i dziećmi. – *Z kolei u mężczyzn opiekujących się swoimi niesamodzielnymi żonami poziom wyczerpania nie jest tak wysoki. I jeżeli mają oni wsparcie rodziny, radzą sobie bardzo dobrze* – dodaje ekspert. A jeśli nie mają wsparcia, to ograniczają opiekę. Na przykład przestają sprzątać, prać, skupiają się tylko na najważniejszych czynnościach higienicznych, podawaniu jedzenia i leków.

Z badań dr. Iwańskiego wynika także, że to kobiety częściej korzystają z pomocy publicznej, opiekunek, pielęgniarek środowiskowych. Panowie „dają radę sami" albo gdy nie dają – liczą na rodzinę. Ich wiedza o tym, jaką pomoc mogą uzyskać w mieście czy gminie, jest niewielka. Dlatego oprócz klasycznego wsparcia seniorów ważne są kampanie informacyjne. – *Wiele osób nie wie, że istnieją szkolenia dla opiekunów, opieka wytchnieniowa czy wsparcie psychologiczne. Np. w Szczecinie mamy bardzo rozwinięte usługi lokalne właśnie dla seniorów i działają takie programy jak „Bon Alzheimer 75+". Ale co z tego, jeśli ci, którzy mają z nich korzystać, nie mają jak się o nich dowiedzieć?* – pyta doktor.

Ale gdy już mężczyźni dowiedzą się o wsparciu, korzystają z niego, i to aktywnie. Potwierdza to dr Aneta Banek-Tabor, biolożka, pielęgniarka i edukatorka związana z Regionalnym Ośrodkiem Polityki Społecznej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego w Szczecinie. – *Mężczyzna, który przyszedł na Jesienne Forum Seniora, mimo że obciążony opieką nad żoną, wyszedł jednak z domu. Chciał się czegoś dowiedzieć. Pewnie dlatego, żeby lepiej zająć się swoją podopieczną* – mówi. Z jej doświadczeń wynika, że mężczyznom opiekunom bardzo zależy na wiedzy: – *Dopytują, proszą o konkretne rozwiązania. A trzeba pamiętać, że to jest pokolenie mężczyzn, którzy w większości nie zajmowali się przewijaniem dzieci czy ich kąpielą. To są dla nich całkiem nowe czynności. Nawet kolejność ich wykonywania może być dla nich zaskakująca.* Dlatego szkolenia z mężczyznami prowadzi w inny sposób. Kobiety mają swoje doświadczenia, przyzwyczajenia, które nie zawsze sprawdzają się w towarzyszeniu w opiece, higienie i pielęgnacji osoby chorej. Mężczyzn często trzeba uczyć od podstaw.

Samotność w siatce

– *Kiedyś odwiedziłam pewnego wiekowego pana, który opiekował się swoją leżącą w łóżku po udarze żoną. Pan bardzo elegancki, ubrany w garnitur i koszulę, spodnie w kancik, dom też zadbany, ale już stan żony budził wątpliwości. On się starał na swój sposób, ale nie wiedział, jak ją pielęgnować. Kiedy wspólnie z opiekunką, która ich dotąd wspierała w podstawowych czynnościach higienicznych, wykąpałyśmy tę panią, przebrałyśmy i ułożyłyśmy do łóżka, postanowiłam zapytać, jak on sobie radzi w kwestii podawania leków. Wtedy wyciągnął spod ławy dwie wielkie reklamówki leków. Jedna była jego żony, druga jego. Potrzebował dłuższej chwili, by stwierdzić, która jest czyja* – opowiada dr Aneta Banek-Tabor.

Po sprawdzeniu okazało się, że większość leków była przeterminowana, a niektóre

© MLV/AI

eprasa.pl d6bf8a6782

zawierały te same substancje czynne pod innymi nazwami handlowymi. – *To było dla mnie dowodem ogromnej samotności tego człowieka i wielkiej potrzeby lepszej kontroli farmakoterapii, choćby w postaci przeglądu przez lekarza czy farmaceutę* – mówi. Zdaniem dr Banek-Tabor to samotność jest głównym problemem. Bo mężczyzn, owszem, można spotkać na szkoleniach dla opiekunów – gdzie szukają konkretnej wiedzy. Jednak rzadziej widuje się ich na spotkaniach grup wsparcia – z psychologiem lub innym specjalistą, na których można dowiedzieć się, jak poradzić sobie ze stresem, emocjami i samotnością.

Obecnie system działa tak, że po wszelkie świadczenia czy usługi realizowane przez instytucje pomocy społecznej senior czy też jego opiekun musi zwrócić się sam. Czasem zdarza się, że lokalny ośrodek pomocy dostaje sygnał od sąsiadów czy od bliskich osoby potrzebującej. Wtedy można zareagować i zaproponować konkretne wsparcie. Tylko że potrzeb zawsze będzie więcej niż możliwości.

Nie kochamy się

Niebawem w tzw. trzeci próg starości, czyli wiek zaawansowany (od 75. roku życia), wejdzie pokolenie baby boomersów, czyli osób urodzonych w okresie powojennego wyżu demograficznego. Po tym nastąpi kolejne odbicie, czyli wejście w wiek senioralny kolejnego, licznego pokolenia – echa tego powojennego skoku demograficznego. – *Szczególnie krytyczny będzie 2035 r. To nie jest odległa przyszłość. To tylko dziesięć lat* – dodaje dr Iwański. Jak ocenia, wtedy społecznym problemem stanie się multistarość, bo jeden członek rodziny będzie musiał zapewnić opiekę już nie tylko swoim rodzicom, ale też dziadkom.

Tyle że wielopokoleniowych rodzin jest coraz mniej, a statystyczna Polka rodzi przeciętnie jedno dziecko – znacznie mniej niż poziom ok. 2,1, który byłby potrzebny, żeby utrzymać liczbę ludności przy niezmienionym poziomie migracji i strukturze demograficznej (POLITYKA 47). Z kolei obecny system pomocy społecznej wciąż działa fragmentarycznie. W dużych, bogatych miastach – lepiej, w małych gminach – zdarza się, że prawie wcale.

– *Mamy 90-letniego męża opiekującego się 87-letnią żoną w drugiej fazie alzheimera. I my dziś chcemy rozwiązać to w środowisku, bez opieki instytucjonalnej? Nie da się. Musimy mieć zabezpieczone miejsca, kadrę, zaplecze. Bo jeśli nie, to zaopiekujemy się tylko w teorii* – podkreśla dr Iwański.

Pandemia niewiedzy

– *Niepełnosprawność poznawcza, która może wynikać z chorób neurodegeneracyjnych mózgu, takich jak alzheimer, wciąż budzi ogromny opór społeczny. Często obawiamy się mieszkać obok osoby, która nie zawsze zachowuje się standardowo, może mieć problemy z orientacją lub podstawowymi czynnościami dnia codziennego* – zauważa dr Aneta Banek-Tabor. – *Nie mamy jednak wyjścia, musimy nie tylko nasze najbliższe otoczenie, ale też całą przestrzeń publiczną dostosowywać i dopasowywać do coraz większej liczby osób żyjących z demencją.*

Tak jak się stało już w przypadku osób z niepełnosprawnościami fizycznymi, które mają swoje ograniczenia, ale też swoją przestrzeń w życiu publicznym, gdzie funkcjonują samodzielnie, godnie i autonomicznie. W przypadku chorych żyjących z demencją brak wiedzy społecznej trudno jest nadrobić prostym przekazem, bo objawy nie są fizyczne – dotyczą myślenia, uwagi, mowy, postrzegania czy emocji. Czegoś, czego nie widać. Zdrowym trudno zrozumieć, że ktoś jeszcze niedawno w pełni sprawny nie potrafi wykonać prostych czynności albo zaczyna, ale nie potrafi dokończyć – bo tak mogą wyglądać zaburzenia poznawcze. A to, czego nie rozumiemy, zwykle zastępujemy schematami i stereotypami. Stąd gdy u wiekowych sąsiadów słychać podniesiony męski głos, częstą reakcją jest telefon na policję – w odruchu zapobiegania przemocy domowej. Tymczasem może to być dramatyczna próba dotarcia opiekuna do chorej osoby, która nie jest w stanie zrozumieć poleceń ani odnaleźć się w codzienności. Lub wyraz jego bezsilności. I tu pomóc mogą sąsiedzi.

– *Sąsiedzi są drugim po rodzinie największym potencjałem wsparcia* – mówi dr hab. Rafał Iwański. – *Wystarczy, że przyjdą do takiej rodziny, posiedzą z chorym przy kawie i porozmawiają. Wtedy główny opiekun może pójść na zakupy czy do lekarza. Albo ochłonąć po napięciu związanym z opieką. Dlatego musimy „uspołeczniać problem", aby bardziej się wspierać. Teraz niestety zdarza się, że w jednym bloku są trzy osoby leżące. I nikt z sąsiadów o nich nie wie, czasem przez lata.*

Jak dodaje nasz rozmówca, w Szczecinie planowane jest uruchomienie programu opiekuńczych usług sąsiedzkich. To przykład inicjatywy, którą warto rozpropagować: otrzymując wynagrodzenie, a także przeszkolenie (np. z pierwszej pomocy), sąsiedzi będą wspierać opiekunów i chorych. Co pozwoli choć częściowo odciążyć lokalny system pomocy społecznej.

Niech on odpocznie, a ona ciągnie wóz

Jest i druga strona medalu. Według dr Anety Banek-Tabor, gdy przychodzi potrzeba stałej, zinstytucjonalizowanej opieki nad osobą chorą – takiej w domu opieki lub w DPS – otoczeniu: rodzinie, bliskim, znajomym, łatwiej jest zrozumieć, że mężczyzna się na nią zdecydował; uznać, że już nie jest w stanie sobie sam poradzić, nawet przy czyimś wsparciu. Wtedy wszyscy doceniają ten czas, kiedy opiekował się żoną czy partnerką, i dają mu prawo do odpoczynku od „wyzwań".

Natomiast w przypadku kobiet opiekunek już o takie zrozumienie jest trudniej. Od razu pojawiają się komentarze o obowiązku opieki względem rodzica: „Przecież to jej matka, mogłaby zająć się nią dłużej". Nawet podczas szkoleń dla opiekunów osób niesamodzielnych mężczyźni są inaczej traktowani przez uczestniczki. Od pierwszych chwil doświadczają wsparcia, bo zawsze ktoś zapyta, czy czegoś nie potrzebują do picia, czy też czegoś nie podać. Za to kobietom nie pomaga nawet demografia: jest ich więcej, żyją dłużej od mężczyzn i częściej niż oni zapadają na chorobę Alzheimera.

MARTA LAU

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie materiały, które ukazały się dotychczas w ramach cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**
Tam znajdą Państwo również nasz specjalny poradnik, jak opiekować się osobami starszymi, niesamodzielnymi i chorymi w domu.
Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi opiniami i doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**



eprasa.pl d6bf8a6782



Inni szatani



Polska jest egzorcystyczną potęgą. Mamy w kraju 120 aktywnych egzorcystów. Jak wygląda wypędzanie szatana i co podczas obrzędów przeżywają osoby egzorcyzmowane, opowiada Szymon Piegza, autor książki „Mieli nas za opętanych”.

FILIP ZAGOŃCZYK: **– Z relacji, które przytacza pan w książce, wynika, że egzorcyzmy to mroczna część kościelnej działalności, której ofiarami padają głównie młode kobiety.**

SZYMON PIEGZA: – Na takie właśnie relacje trafiłem, gdy zacząłem bliżej przyglądać się tej tematyce. W książce chciałem oddać im głos, aby wykrzyczały swój ból. Opowiedziały o tym, co przeżyły, i dały do myślenia biskupom, którzy zdają się ignorować kolejny gigantyczny problem. Zgodnie z prawem kanonicznym egzorcyzm powinien być spokojną modlitwą księdza w celu wypędzenia złego ducha, a to nie powinno zagrażać osobie egzorcyzmowanej. Praktyka kościelna nie ma z tym nic wspólnego.

O czym więc opowiadały pana bohaterki?

O wielogodzinnych seansach przemocy. Jednym z etapów egzorcyzmu jest namaszczanie ciała olejem i polewanie wodą święconą. Podczas tych praktyk księża bardzo często dotykali kobiety w miejscach intymnych, wkładali ręce w majtki, dotykali piersi. To nic innego jak zwykłe molestowanie seksualne. Trwające nieraz kilka godzin. Kiedy kobieta protestowała, ksiądz tylko nasilał praktyki, twierdząc, że to nie ona mówi, tylko szatan przez nią przemawia.

Charakterystyczny jest tu przypadek 23-letniej Natalii, która z pełnym zaufaniem do Kościoła przyszła razem ze swoją przyjaciółką na spotkanie do oazy. Animatorka grupy zaczęła wypytywać, co dziewczyny robiły wcześniej, czym się interesowały, i gdy dowiedziała się, że słuchały nieodpowiedniej muzyki, a dodatkowo interesowały się wampiryzmem, uznała, że są opętane. Wezwała egzorcystę – ks. Marcina. Ten ochoczo zabrał się do pracy. Po pewnym czasie uznał, że jego modlitwy są nieskuteczne, ponieważ one ciągle narażone są na działanie złego. Dlatego nakazał obu kobietom zamieszkać z nim na plebanii. Stopniowo przejął kontrolę nad ich życiem. Urządzał wielogodzinne egzorcyzmy, w trakcie których kobietom odcinało świadomość, budziły się podrapane, posiniaczone, a nawet zasikane, bo ksiądz nie pozwalał im wyjść do toalety. Z dnia na dzień czuły się coraz gorzej. Chciały skorzystać z pomocy lekarza. Ksiądz wysłał je do zaprzyjaźnionego psychologa, który wysłuchawszy dramatycznych zwierzeń Natalii, powiedział, że to niedobrze, iż egzorcyzmy odbywają się bez świadków, bo kobieta może wyrządzić krzywdę kapłanowi. O coś go pomówić.

Ksiądz Marcin tymczasem nie odpuszczał. Postanowił, że będzie chronił kobiety od szatana nawet w nocy i w tym celu spał z nimi w jednym łóżku. Wstrząsnęło mną całkowicie to, że o ich istnieniu wiedział doskonale abp Henryk Hoser, który raz nawet spotkał je podczas jednego z pikników. Nie zrobił jednak nic, żeby przerwać ten chory proceder. Po kilku tygodniach ks. Marcin przestraszył się świerzbu, na który zachorowały kobiety. Uznał, że to atak szatana, i kazał im się wyprowadzić. Na tym jednak dramat Natalii się nie skończył. Trafiła pod opiekę doświadczonego egzorcysty w Kielcach. Ten przywiązał ją do stołu pasami i na siłę wlewał jej do gardła wodę święconą. Gdy dziewczyna krztusiła się i walczyła o oddech, księdza

© GETTY IMAGES, TWITTER.COM/SZ_PIEGZA

eprasa.pl d6bf8a6782

to jeszcze bardziej nakręcało. Po tym wszystkim kobieta musiała podjąć leczenie psychiatryczne.

Księża egzorcyści wierzą w to, co robią?

To jest pytanie, na które próbowałem znaleźć odpowiedź podczas kilkunastomiesięcznej pracy nad książką i po wielu rozmowach jestem przekonany, że tak, wierzą, że postępują właściwie. Są przekonani, że w ten sposób ratują ludzi, walczą z szatanem i nie zdają sobie sprawy z tego, jaką krzywdę im wyrządzają.

Już po premierze książki trafiłem na historię młodej kobiety, która przez kilka tygodni mieszkała u franciszkanów w Krakowie i była tam egzorcyzmowana. Skutek był taki, że wylądowała w szpitalu psychiatrycznym, a gdy o całej historii dowiedział się metropolita kard. Dziwisz, zabronił zakonnikom egzorcyzmowania kobiety. Niestety, niewielu biskupów tak postępuje.

Więcej egzorcystów jest chyba tylko we Włoszech. A jak to się stało, że zostaliśmy egzorcystyczną potęgą?

Niebagatelną rolę odegrał tu Jan Paweł II, który podczas swojego pontyfikatu bardzo doceniał egzorcystów i mówił niezwykle często o wpływie złego ducha na życie człowieka. Jeszcze na początku lat 90. w Polsce było zaledwie czterech egzorcystów. W 1998 r. nasz papież zalecił, żeby w każdej diecezji był przynajmniej jeden. W efekcie niewielka diecezja płocka dorobiła się ośmioosobowego zespołu specjalistów od wypędzania szatana. W 2010 r. w całej Polsce ich liczba wzrosła do 150. Po pandemii jest ich trochę mniej, bo ok. 120, ale to nadal duża liczba.

Dlaczego ludzie decydują się na korzystanie z usług egzorcystów? Przytacza pan w książce historię nastolatki, która ewidentnie była w kryzysie psychicznym. Samookaleczała się, a zrozpaczeni rodzice wozili ją po całej Polsce, ale nie do lekarzy, tylko do księży…

Początkowo sam byłem tym zszokowany. Przecież jeżeli złamiemy rękę albo nogę, to idziemy do lekarza, a nie do księdza. Tutaj rodzice, którzy martwią się o dziecko i widzą jego problemy emocjonalne, nie szukają pomocy u specjalisty.

Z czasem jednak zrozumiałem, że znaczenie ma tu argument ekonomiczny. Księża za egzorcyzmy nie biorą pieniędzy, a wizyta u dobrego psychologa czy psychiatry może kosztować nawet 300, 400 zł za godzinę. Dodatkowo ciągle są miejsca w Polsce, gdzie ksiądz ma większy autorytet niż lekarz. Łatwiej jest też zrzucić winę za swoje problemy na to, że kogoś opętał demon, niż rozwiązać jakiś realny problem całej rodziny.

Kto zostaje kościelnym egzorcystą?

Zgodę na stosowanie tych praktyk kapłan uzyskuje od biskupa. Teoretycznie osoba, która spełnia pewne, przynajmniej podstawowe kryteria: egzorcysta powinien odznaczać się niezwykłą pobożnością, życiowym doświadczeniem i nieskazitelnym charakterem. Problem w tym, że te kryteria są tak nieostre, że każdego można pod nie podciągnąć. Do niedawna jednym z najmłodszych egzorcystów w Polsce był znany dziś z afery z Funduszem Sprawiedliwości ks. Michał Olszewski. Egzorcyzmował już w wieku dwudziestu kilku lat i zasłynął m.in. wypędzaniem ducha wegetarianizmu salcesonem. Nie miał też nic przeciwko egzorcyzmowaniu małych dzieci.

Żeby zostać psychologiem, psychiatrą, trzeba gruntownego wykształcenia. Psycholog sam musi przejść przez psychoterapię. W przypadku egzorcystów puszcza się to na żywioł?

Egzorcyści mają do dyspozycji tylko zapisane w kościelnych dokumentach wytyczne, które czytane ze świeckiej perspektywy brzmią niepokojąco. Zaczynając od samej definicji człowieka opętanego: wedle tzw. rytuału rzymskiego, czyli zasad sprawowania sakramentów, człowiek opętany dysponuje nadludzką siłą, mówi różnymi językami, których nie zna, wie o grzechach kapłana, których przecież nie powinien znać, i ma awersję do sacrum. Mówiąc prościej, to ktoś, kto boi się wody święconej. Większość egzorcystów interpretuje to tak, że jeśli ktoś nie chce być polewany, to jest we władzy szatana. Proponują np. współmałżonkowi „test wody święconej". Mówią: „Dolej do zupy kilka kropel wody święconej. Jeśli żona powie, że niedobra, co ty mi tu dolałeś, znaczy, że jest opętana". Kolejnym na to dowodem może być też awersja do krzyża czy duszności odczuwane na widok księdza.

Księża często podają przykłady demonicznych zachowań. Kobieta wrzeszczy, mówi niskim męskim głosem, dysponuje nadludzką siłą do tego stopnia, że kilku rosłych mężczyzn nie może sobie z nią poradzić. Nie przekonują pana te argumenty?

To dla mnie dowód, że księża nie mają żadnego przygotowania psychologicznego i nie wiedzą, czym jest np. zjawisko dysocjacji. To reakcja obronna naszego mózgu na niezwykle wysoki poziom stresu. Medycyna zbadała to już naprawdę bardzo dawno temu.

Bohaterki mojej książki, które to przeżyły, opowiadały mi, że to tak, jakby wyjść z siebie i na filmie oglądać, co się z nimi dzieje. Po prostu nie są w stanie zareagować, ponieważ ciało, które poddawane jest różnego rodzaju przemocy, po prostu drętwieje. Podobnie jest w przypadku transu opętania, które jest zaburzeniem od ponad 30 lat dokładnie rozpoznanym i opisanym przez Światową Organizację Zdrowia.

Księża jednak uważają, że to działanie szatana, a z psychologami czy psychiatrami nie warto rozmawiać. Naukowcy i medycy przecież nie rozumieją, czym jest duchowość i nie znają się na egzorcyzmach.

Czy któryś z księży odpowiedział za molestowanie lub torturowanie?

Niektóre z kobiet zgłosiły sprawy do prokuratury, ale jak do tej pory nie powstał ani jeden akt oskarżenia, nie zapadł ani jeden wyrok skazujący. Wygląda na to, że polskie prawo jest wobec egzorcystów bezradne.

Czy twoim zdaniem egzorcyzmów powinno się zakazać, tak jak np. w Niemczech?

Nie jestem przeciwnikiem Kościoła katolickiego. I nie jestem przeciwnikiem egzorcyzmów dla tych, którzy w nie wierzą. Nie zgadzam się natomiast na przemoc, poniżanie ludzi i odbieranie im praw, a w egzorcyzmach to się właśnie dzieje!

W rytuał egzorcyzmu wpisane jest przejęcie nad kimś kontroli i jeśli robi to osoba niedojrzała, nieprzygotowana czy wręcz sadystyczna, a również znam takie przypadki, może wyrządzić drugiemu człowiekowi wielką krzywdę. Historie, które opowiedziałem w książce, to doskonałe przykłady na to, że księża nie przestrzegają nie tylko polskiego prawa, lecz również permanentnie łamią kościelne wytyczne. Niektórzy egzorcyści w prywatnych rozmowach mówią wprost, że leki psychotropowe czy terapia z psychologiem nie są skuteczne i należy tego zabraniać. Oni nie zdają sobie nawet sprawy, że w ten sposób mogą doprowadzać ludzi nawet do śmierci. Bohaterki mojej książki mają za sobą próby samobójcze i są pewne, że gdyby nie wyrwały się z egzorcyzmów, to dziś już by ich nie było na świecie. Jeżeli biskupi będą udawali, że nie widzą problemu, to ta bomba wybuchnie w końcu dokładnie tak jak pedofilia. ■

eprasa.pl d6bf8a6782

Bunt zwykłych miliarderów

Jak amerykański sektor technologiczny przeszedł z lewicy na prawicę – mówi POLITYCE Jacob Silverman, autor książki „Gilded Rage".

MATEUSZ MAZZINI: **– Dzięki niedawnej decyzji walnego zgromadzenia akcjonariuszy Tesli Elon Musk ma szansę stać się pierwszym w historii ludzkości bilionerem. Najlepsze czasy dopiero przed nim?**

JACOB SILVERMAN: – Niekoniecznie. Musk otrzymał plan dojścia do nominalnej wyceny jego majątku na poziomie biliona dolarów, niemniej żeby plan się zmaterializował, firma musi osiągnąć kilka bardzo ambitnych celów sprzedażowych. A z tym może być spory problem, głównie z powodu zaangażowania Muska w politykę w różnych miejscach na świecie. On regularnie teraz występuje na konferencjach partyjnych czy demonstracjach różnych radykalnych ugrupowań – wcześniej w Niemczech poparł AfD, Ligę Matteo Salviniego we Włoszech, teraz popiera ekstremistę Tommy'ego Robinsona w Wielkiej Brytanii – zwłaszcza jego ostatnia przemowa na wiecu przeciwko imigracji na Wyspach była szczególnie brutalna. To wszystko ma swoje konsekwencje, bo sprzedaż aut Tesli na niektórych zagranicznych rynkach, np. w Niemczech, wyraźnie spada, aż o 50 proc. Zrozumiałe jest, że wielu ludzi go teraz nie znosi, co odbija się na jego biznesach.



Donald Trump i Elon Musk ogłaszający rezygnację ze stanowiska w prezydenckiej administracji, Gabinet Owalny w Białym Domu

eprasa.pl d6bf8a6782

Tylko czy te decyzje konsumenckie mają szanse wpłynąć na jego postawę, nie mówiąc o poglądach i zaangażowaniu w politykę?

Niedawne votum zaufania ze strony akcjonariuszy to jedynie dowód na to, że Musk po prostu ma tych ludzi w kieszeni. Osiągnięcie wspomnianego biliona naprawdę nie będzie łatwe, bo w praktyce oznaczałoby, że Tesla musiałaby się stać najwyżej wycenianą na świecie spółką komercyjną, i to na poziomie kilkukrotnie wyższym od tego, co obserwujemy obecnie na rynku. Nie wydaje mi się to możliwe. W którymś momencie ten spektakl musi zostać przerwany, bo firma wcale nie sprzedaje tak wielu samochodów, jak się wydaje. Notowania akcji Tesli zawsze były mocno przeszacowane, a w dodatku teraz pojawił się realny konkurent w sektorze samochodów elektrycznych – chiński BYD. Samochody z Chin są dużo tańsze i pod wieloma względami nawet lepsze od amerykańskich.

Właśnie z tego powodu Musk inaczej teraz rozkłada akcenty, więcej mówi o humanoidalnym robocie Optimus i o sztucznej inteligencji. Owszem, nadal jest w stanie uzyskać sporo pieniędzy na inne swoje firmy, ale sama Tesla jest w opałach. Moim zdaniem to główny powód przedstawienia mu perspektywy tak hojnego wynagrodzenia – akcjonariusze machają mu tym przed oczami, żeby zachęcić go do skoncentrowania się z powrotem na biznesie, nie na polityce.

Musk przez kilka miesięcy był wręcz sklejony z drugą administracją Trumpa, ale od 20 stycznia, czyli od dnia inauguracji tej prezydentury, wszyscy giganci technologiczni blisko z nią współpracują. Zaskoczyła pana tak otwarta symbioza tych dwóch światów?

Środowisko technologiczne od wielu lat zbliżało się do ośrodków władzy politycznej. Dam przykład. Jako Kalifornijczyk z pochodzenia obserwowałem, w jaki sposób w 2022 r. w San Francisco został odwołany ze stanowiska prokurator rejonowy Chesa Boudin, który trzy lata wcześniej wygrał wybory z bardzo progresywnym programem, obiecując m.in. zmniejszenie liczby osadzonych w więzieniach, nie chciał też pomagać służbie imigracyjno-celnej (ICE) w deportacjach nielegalnych imigrantów. Szefowie spółek technologicznych z siedzibami w San Francisco, w tym David Sacks, dzisiejszy doradca Trumpa do spraw sztucznej inteligencji, mocno zaangażowali się w kampanię na rzecz odwołania Boudina, co zresztą im się udało. Podobne próby podjęto względem członków stanowej komisji edukacji, a wreszcie – choć bez rezultatu – wobec gubernatora Gavina Newsoma. Jednak dwie na trzy próby im się udały i wtedy stało się oczywiste, że w kalifornijskiej polityce zaczynają krążyć ogromne pieniądze wychodzące z sektora technologicznego.

To jednak trzeba postrzegać w kategoriach zmiany, bo jeszcze kilka lat temu firmy technologiczne były w awangardzie korporacyjnego progresywizmu, a niektórzy z liderów w Dolinie Krzemowej blisko współpracowali z Partią Demokratyczną. Spekulowano nawet, że Mark Zuckerberg będzie kandydować na prezydenta. Skąd ta wolta na prawo?

Trzeba pamiętać, że szefowie tych spółek to jednak mocno niejednorodna grupa. Niektórzy z nich, jak Peter Thiel czy David Sacks, to prawdziwe zwierzęta polityczne. Byli rozpolitykowani już od czasów studenckich, pisali teksty o mocnym nacechowaniu ideologicznym, poza tym byli spójni w poglądach. Zmianę bardziej widać u kogoś takiego jak Zuckerberg, który rzeczywiście deklarował kiedyś poglądy lewicowe – u niego przejście na pozycje prawicowe to czysty oportunizm. On pójdzie w kierunku, w którym w danym momencie wieje polityczny wiatr.

Do tego dochodzi dość powszechna w Dolinie Krzemowej frustracja po wielu latach wprowadzania liberalnych regulacji w miejscach pracy. Sam Zuckerberg mówił ostatnio, że Ameryka potrzebuje więcej „zmaskulinizowanych" firm. Myślę, że ci technomiliarderzy usiedli obok siebie na inauguracji Trumpa także dlatego, że sprzeciwiają się jakimkolwiek regulacjom ze strony rządu federalnego – uznają to za ideę do cna lewicową. Jeszcze w 2020 r. wielu z nich mówiło publicznie, że Trump jest złym prezydentem, że nigdy nie powinien wrócić do Białego Domu. Ale potem zaczęła się pandemia koronawirusa, a wraz z nią powszechne kwarantanny, które negatywnie wpływały na wyniki wielu z tych spółek. W swojej książce opisałem chociażby awanturę wokół fabryki Tesli we Fremont w stanie Kalifornia, którą rząd federalny zamknął na czas pandemii. Musk się zdenerwował, nakazał jej ponowne otwarcie, ale władze znowu kazały mu ją zamknąć. Od tego czasu Musk zaczął coraz częściej wchodzić w konflikty z administracją Bidena wokół kwestii regulacyjnych i prawnych.

A tło społeczne tamtych lat miało znaczenie? Ruch protestu Black Lives Matter, krytyczna teoria ras, nawoływanie do ograniczenia wydatków na służby mundurowe?

Jak najbardziej. Przy czym konflikt pomiędzy społeczeństwem obywatelskim a korporacjami trwa nadal. Dzisiaj sporo aktywistów nawołuje np. do bojkotu spółek, które inwestują w Izraelu albo wręcz współpracują z Siłami Obrony Izraela (IDF). Takiego aktywizmu pracowniczego było w ostatnich latach bardzo wiele, prezesom on się nie podobał. W rezultacie rozdźwięk pomiędzy pracownikami a pracodawcami coraz bardziej się pogłębiał. Miliarderzy żyli w swoich bańkach, przekonani, że ich pracownicy chcą dokonać cichej rewolty, sabotować ich pracę, rozsadzając firmy od środka. Marc Andreessen, jeden z najważniejszych inwestorów w całych Stanach Zjednoczonych, powiedział nawet w rozmowie z innym technomiliarderem, że młodzi pracownicy niższego szczebla, głównie o poglądach lewicowych, zatrudniają się w tych firmach tylko po to, żeby doprowadzić do ich upadku.

Wśród prezesów spółek technologicznych zaczyna się rozwijać jakaś forma paranoi, oni wszyscy stają się coraz bardziej oderwani od rzeczywistości. W wielu przypadkach dochodzą kwestie szalenie osobiste, wręcz intymne. Wiadomo, że Elon Musk jest wrogiem społeczności osób transseksualnych, bo nigdy nie zaakceptował faktu, że jego córka do niej przynależy. Z ust technomiliarderów padały wielokrotnie słowa o „wirusie", który atakował umysły młodych ludzi w Stanach Zjednoczonych, oraz o tym, że przed tym „wirusem" trzeba za wszelką cenę obronić naród amerykański. Bill Ackman, inny znany inwestor i miliarder, narzekał w wywiadach, że jego córka, studiując na Harvardzie, stała się marksistką. Inni twierdzili, że kalifornijska oświata publiczna wmusza w dzieci homoseksualizm czy transseksualizm albo że stają się komunistami w szkołach. Stąd wzięła się powszechna wśród nich nienawiść do instytucji publicznych jako takich – do każdej formy samorządu, do szkół, uniwersytetów, centrów kultury, organizacji społecznych. Ich zdaniem to po prostu ekosystem głęboko zgniłych, skorumpowanych podmiotów, które hurtowo zamieniają młodych Amerykanów w szalonych lewicowców. ▶

© KEVIN DIETSCH/GETTY IMAGES

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ Porozmawiajmy może nieco więcej o ich motywacjach. Wielu moich rozmówców z USA, w tym osoby znające osobiście Muska czy Zuckerberga, wskazuje na bardzo różne bodźce pchające do symbiozy z Trumpem, ale wspólnym mianownikiem wydają się kwestie finansowe. Jest coś jeszcze, co ich łączy?

Na jakimś poziomie, mniej lub bardziej bezpośrednio, każdemu z nich chodzi o pieniądze. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wystarczy spojrzeć na kwoty, jakie zarabiają na kontraktach z rządem federalnym. Innym aspektem jest wolność od nadzoru państwowego, poluzowanie zasad raportowania. Trump nakazał przecież zakończenie bardzo wielu postępowań i śledztw dotyczących naruszenia zasad konkurencji w świecie technologicznym, a także w kryptowalutach. Wprowadził natomiast system patronażu, w którym bycie mu przychylnym natychmiast przekłada się na ogromne kontrakty rządowe. Dla każdego w sektorze technologicznym to bardzo pociągający układ, zwłaszcza dla oportunistów.

Znów dobrym przykładem jest tu Zuckerberg. On i cały koncern Meta chciałby być apolityczny, cokolwiek to znaczy. Oni akurat bardzo się boją postępowań antymonopolowych, a przecież Trump kiedyś publicznie zapowiadał, że Zuckerberga wrzuci do więzienia. Jeśli więc teraz jest okazja robić biznesy z rządem, to wszyscy na tym korzystają. Z Izraelem też dalej się handluje, a kiedy pracownicy zaczynają przeciwko temu protestować, to się ich po prostu zwalnia.

Spróbujmy zagłębić się jednak w kwestię ideologii: ciemne oświecenie czy plan zastąpienia demokracji korporacyjnym feudalizmem – ile jest w tym prawdy?

To zależy, kogo spytać. Sacks, Thiel czy Andreessen na pewno do działalności biznesowej dołożyli silne przekonania ideologiczne. Nie zawsze i nie we wszystkim zgadzają się z Trumpem, ale łączy ich mocny wspólny mianownik, czyli nienawiść do starych elit i establishmentu. Oczywiście można postawić argument, że zarówno prezydent, jak i wszyscy ci miliarderzy sami należą do elit, po prostu jako funkcja ich zamożności, ale ich resentyment jest inny. Jeśli spojrzeć na ich retorykę, widać w niej próby przedstawienia się światu jako zwykli ludzie. Co oczywiście jest absurdalne, bo Elon Musk jest najbogatszym człowiekiem na świecie, między jego codziennością a życiem innych nie ma żadnych punktów wspólnych. Niemniej wszyscy miliarderzy z Doliny Krzemowej przekonują, że mają więcej wspólnego ze społeczeństwem, klasą ludową niż stare liberalne elity.

A gdzie w tej całej układance sytuuje się Donald Trump?

Na pewno jest część osób, która postrzega go wyłącznie jako narzędzie, wehikuł wynoszący do głównego nurtu ich własne poglądy. Ale nie zapominajmy, że z tyłu jest też J.D. Vance, który jest idealnym amalgamatem dla Doliny Krzemowej: młody wiceprezydent, namaszczany na następcę Trumpa, bardzo konserwatywny, a jednocześnie wychowanek i uczeń Thiela, były inwestor w sektorze technologicznym. Dlatego dla miliarderów z Kalifornii symbioza z ruchem MAGA i obecną administracją jest bardzo wygodna, bo pozwala im sporo zarobić, nie oglądać się na konsekwencję ze strony rządu i dać upust swoim frustracjom z przeszłości – jednocześnie wiedząc, że w Białym Domu są ludzie, którzy ich rozumieją i podzielają ich poglądy.

Na ile pozycja Vance'a jest rzeczywiście ugruntowana? To pewne, że Dolina Krzemowa namaściła go na kolejnego prezydenta?

To trochę bardziej skomplikowane, bo nie zapominajmy, że Trump ma jedną zasadniczą zaletę – jest charyzmatyczny. Możliwe, że część technologicznego establishmentu uważa go za idiotę, ale oni też mają świadomość, że bardzo wiele zyskują dzięki jego prezydenturze. MAGA to nie jest jednorodny ruch, tylko koalicja pełna sprzeczności. A Trump trzyma ich zwartych pod jednym parasolem – nie ma żadnej pewności, że Vance byłby w tym tak samo skuteczny, bo jemu akurat charyzmy brakuje.

Nie zmienia to jednak faktu, że wszystkich tych ludzi łączy pogarda dla demokracji. Oni wszyscy są autokratami, chcą autorytaryzmu jako formy rządów. Prawo jest dla nich zbędnym detalem, przeszkadza jak insekt na ścianie – to jest widoczne nie tylko w ich deklaracjach politycznych, ale nawet w modelach biznesowych. Jeśli napotykają problem, rozwiążą go pieniędzmi. Jeśli to niemożliwe, wymuszą przychylny dla siebie rezultat w taki czy inny sposób, ale prawu podporządkowywać się nie będą. Dlatego w Waszyngtonie, zwłaszcza po stronie koncernów technologicznych, nie ma już tradycyjnych lobbystów, którzy próbowaliby wpływać na decyzje administracji. Nie ma takiej potrzeby, wszystko da się rozwiązać pieniędzmi. Prawo tylko przeszkadza, tak samo demokracja ze swoimi skomplikowanymi procedurami.

Wie pan, jednym z najgłupszych mitów na temat Ameryki jest przekonanie, że Dolina Krzemowa jest jakimś liberalnym czy lewicowym placem zabaw. To absurd. Każdy, kto pracuje w sektorze technologicznym, ma znajomych o radykalnych, głęboko prawicowych poglądach, a wielu z tych ludzi wprost mówi, że państwo jako idea jest całkowicie zbędne, a władzę nad światem powinno się oddać korporacjom.

Da się ich jeszcze zatrzymać?

Oczywiście, że tak. Może w tej chwili nie mamy w USA odpowiednich przywódców politycznych, ale możliwości są. Jeśli w 2028 r. odbędą się normalne, uczciwe wybory i do władzy dojdą Demokraci, trzeba zacząć od rozbicia niektórych z tych firm na mniejsze, żeby zwalczyć monopole. Potem ci, którzy popełnili przestępstwa, muszą za nie odpowiedzieć, stanąć przed sądem. Elon Musk płacił ludziom za ich głosy w czasie ostatnich wyborów – to tylko przykład takiego nielegalnego działania. Ameryka od wielu lat ma problem z odpowiedzialnością polityczną. Nie umiemy rozliczać naszych liderów za ich decyzje, działania w czasie sprawowania władzy. Tak było z George'em W. Bushem, którego nie rozliczyliśmy, a przecież jego osiem lat w Białym Domu było uwerturą, jakąś formą treningu wobec autorytaryzmu, który mamy teraz. I na koniec spójrzmy na wysiłki technomiliarderów, by w Białym Domu znalazł się ponownie Trump. To pokazuje, że egzekutywa w Stanach Zjednoczonych nadal bardzo wiele może zmienić, ma ogromny wpływ na rzeczywistość. Trzeba tylko wybrać odpowiednich ludzi.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI



Jacob Silverman – amerykański dziennikarz technologiczny, współpracownik „The New Republic", publikował m.in. w „Los Angeles Times", „The New York Times Magazine". Autor książek o sektorze kryptowalut, późnym kapitalizmie, amerykańskiej oligarchii. Jego ostatnia książka „Gilded Rage" dokumentuje prawicowy zwrot wśród elit technologicznych i w Dolinie Krzemowej.

© FACEBOOK JACOB SILVERMAN

eprasa.pl d6bf8a6782



© FLYPORT RADOM

FlyPort: centrum edukacyjne na lotnisku w Radomiu

Zabawa w latanie

Terminal zbudowany dla czterech milionów pasażerów rocznie obsługuje na razie sto tysięcy. Zbudowane z polecenia PiS lotnisko w Radomiu przynosi ogromne straty, jednak na razie nie zostanie zamknięte.

CEZARY KOWANDA

Końcówka listopada, zimne i ponure wtorkowe popołudnie. To jeden z dwóch dni w tygodniu, gdy lotnisko w Radomiu służy do tego, do czego powinno – czyli do latania. Na tablicach przylotów i odlotów widnieje cypryjska Larnaka, przewoźnik: węgierskie linie Wizz Air. Przylot rozkładowy 17.25 (ale samolot tego dnia ma przybyć już o 17.00), odlot o 18.00. To jedyne połączenie dostępne z portu o nazwie Warszawa-Radom w tegorocznym sezonie zimowym. Obszerny, nowoczesny terminal trzy godziny przed odlotem powoli zaczyna się zapełniać podróżnymi, którzy liczą na chwilę ucieczki od jesiennej szarugi. Prognoza pogody dla Larnaki na najbliższe dni: 23–25 stopni i mnóstwo słońca.

Jako pierwsze pojawiają się dwie uśmiechnięte siostry – Agata i Nina. Właściwie o tej porze miały już być na Cyprze, bo planowały wylot z Warszawy – o siódmej rano, tego samego dnia, razem z tatą. Niestety, spóźniły się. Były przy bramce w porcie Chopina 15 minut przed odlotem, ale już nie wpuszczono ich na pokład. Dziewczyny jednak nie poddały się – szybko kupiły nowe bilety, tyle że z Radomia. Ze stolicy przywiózł je samochodem tata, który stwierdził, że to za dużo emocji jak na jeden dzień i on zostanie w Polsce. Agata i Nina podróżują spontanicznie, bez planu – nie mają nawet jeszcze zarezerwowanego noclegu. W radomskim terminalu są pierwszy raz, ale podoba im się. Nie ma tłoku, jest przestronnie, pierwsze wrażenia świetne. – *Jeśli nie wiecie, gdzie polecieć, jedźcie do Radomia. Tu podejmą decyzję za was* – żartują dziewczyny, patrząc na tablicę lotów z jednym dostępnym kierunkiem.

Także inni pasażerowie oceniają lotnisko bardzo dobrze. – *Pachnie nowością* – stwierdza pan Andrzej, który z żoną ▶

eprasa.pl d6bf8a6782



▶ był już na Cyprze w tym roku. Tak im się spodobało, że lecą znowu – do tego zabierają swoje mamy. Wszyscy mieszkają w okolicach Warszawy, ale wybrali Radom, bo stąd znaleźli tańsze bilety. Dojazd samochodem zajął niecałe dwie godziny. Anna i Bogdan też są na tym lotnisku pierwszy raz – oni z kolei wykupili wycieczkę na pięć dni w biurze podróży. Mieszkają w województwie lubelskim, ale konieczność wylotu z Radomia ich nie zniechęciła. Dojazd zajął im półtorej godziny. Po terminalu, w oczekiwaniu na otwarcie odprawy bagażowej biega dwójka małych dzieci. – *Fajne to lotnisko, bo puste. Dzieciaki nam się nie zgubią* – śmieją się Maciej i Marta, którzy przyjechali z Ożarowa Mazowieckiego koło Warszawy. Pasowały im terminy lotów i cena, niższa od tej przy wylocie z lotniska Chopina.

Co do tego, że radomski terminal, otwarty w 2023 r., jest nowoczesny i przestronny, zgadzają się chyba wszyscy. Tyle że dzisiaj to raczej problem niż atut lotniska. Taki terminal oznacza bowiem duże koszty – ogrzewania, oświetlenia, sprzątania czy ochrony. Samoloty latają z Radomia przez niemal pół roku tylko dwa razy w tygodniu, ale port i tak jest otwarty codziennie, od wczesnego ranka do późnego wieczora. W zeszłym roku przyniósł niemal 50 mln zł strat. Już wiadomo, że w tym roku będzie jeszcze gorzej. Radom nie zbankrutuje, bo należy do państwowej spółki Polskie Porty Lotnicze (PPL). Zarządza ona również stołecznym lotniskiem Chopina, które przynosi duże zyski. I to właśnie z nich pokrywana jest strata Radomia.

Tyle że PPL ma przed sobą ogromne inwestycje – chce do 2029 r. nieco powiększyć port Chopina, aby nie zatkał się zupełnie, a równocześnie będzie współfinansować budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego, którego otwarcie ma nastąpić za siedem lat. W takiej sytuacji marnowanie co roku kilkudziesięciu milionów złotych w Radomiu to spory problem. Aby ograniczyć straty, władze PPL zamierzają zmniejszyć zatrudnienie na pustym lotnisku – część pracowników otrzyma ofertę przejścia do portu Chopina. Ci, którzy zostaną, będą w czasie jednej zmiany wykonywać różne obowiązki, w zależności od potrzeb. Jednak bilans lotniska znacząco poprawić mogą tylko nowe połączenia.

A tych zamiast coraz więcej jest coraz mniej. W 2024 r., czyli pierwszym pełnym roku działalności, Radom odprawił ok. 112 tys. pasażerów (dla porównania z Modlina skorzystało 2,7 mln osób, a z lotniska Chopina ponad 21 mln). W tym roku wynik w Radomiu będzie jeszcze gorszy – zapewne nie przekroczy 100 tys. podróżnych. Oznacza to, że w klasyfikacji polskich lotnisk pod względem liczby pasażerów Radom zdoła pochwalić się zapewne tylko wyprzedzeniem portu w podolsztyńskich Szymanach. Znajdzie się nawet za lotniskiem w Zielonej Górze (przez lata najmniejszym w naszym kraju), gdzie wyniki się poprawiają, bo liniom obficie dopłaca lubuski samorząd. Wiosną w Radomiu wróci kilka połączeń czarterowych (na przykład do Turcji czy Albanii) oraz rejsy Lot do Rzymu, zawieszone na zimę. – *Niestety, w Radomiu powstał terminal na cztery miliony pasażerów, wielokrotnie za duży w stosunku do realnych potrzeb. Tymczasem oceniamy, że maksimum możliwości tego lotniska to 400–500 tys. pasażerów rocznie, a na razie naszym realistycznym celem jest dojście do 250 tys.* – wyjaśnia Marcin Daniłł, wiceprezes PPL, odpowiedzialny za radomski port.

Władze PPL zapewniają, że cały czas negocjują z liniami lotniczymi i zachęcają je do otwierania nowych połączeń. Przewoźnicy mogą liczyć nie tylko na niskie opłaty, ale też na dopłaty – 120 zł do każdego odlatującego pasażera. Jednak kolejki chętnych nie ma, bo linie lotnicze wolą port Chopina, a nawet Modlin. Radom traktują jako lotnisko dla tego miasta i okolicy, a nie dla warszawskiej aglomeracji. Mimo że dojazd do portu ze stolicy nie jest wcale najgorszy. Samochodem, zwłaszcza z południowych dzielnic Warszawy, można dotrzeć w nieco ponad godzinę dzięki drodze ekspresowej S7. Pociąg PKP Intercity z centrum Warszawy do Radomia jedzie godzinę, chociaż trzeba jeszcze doliczyć kilkanaście minut autobusem miejskim. Niedawno otwarto przystanek kolejowy Radom Wschód, z którego autobus dojeżdża do terminala w około pięć minut. Niestety, na tej stacji zatrzymują się na razie tylko składy Kolei Mazowieckich, którymi z Warszawy jedzie się do Radomia niemal dwie godziny. Nie ma planów zbudowania stacji kolejowej przy samym terminalu, a to właśnie mogłoby zachęcić część podróżnych z Warszawy.

A przecież miało być zupełnie inaczej. Nowy radomski terminal to efekt lobbingu polityków PiS, z Markiem Suskim na czele, który zasłynął stwierdzeniem, że z Radomia jest bliżej do Afryki niż z Warszawy. Dziś marzeniem lotniska pozostaje całoroczny, a nie tylko sezonowy czarter do Egiptu. Wciąż tylko w planach, chociaż podobno negocjacje z przewoźnikami trwają. Plan PiS, realizowany na zlecenie partii przez państwowy PPL, był prosty. Lotnisko Chopina nie będzie rozbudowywane do momentu otwarcia CPK, a jakiekolwiek inwestycje w porcie modlińskim mają być zablokowane z powodu sporu między udziałowcami (PPL kontra władze Mazowsza z PSL), więc też nie znajdzie się tam miejsce na nowe połączenia. Oznacza to, że zwłaszcza linie niskokosztowe i czarterowe nie będą mieć wyboru. Chcą nowych połączeń z okolic Warszawy? Muszą je otwierać tylko z Radomia.

eprasa.pl d6bf8a6782



© IGOR JAKUBOWSKI/REPORTER

Taki właśnie plan zaowocował przestronnym terminalem, dziś zdecydowanie za dużym wobec skromnych potrzeb. Najpierw radomskie lotnisko w wersji PiS miało kosztować 400 mln zł. Później ta kwota wzrosła do ponad 800 mln zł. Niedawno obecny zarząd PPL doniósł do prokuratury na poprzednich prezesów spółki z czasów PiS – Mariusza Szpikowskiego, którzy zaczął inwestycje w Radomiu i Stanisława Wojterę, który je dokończył. Zarzuca im działania na szkodę PPL i narażenie firmy na ogromne straty. Cała strategia poprzedniej władzy na zapełnianie Radomia legła w gruzach. – *Lotnisko Chopina ma zostać nieco rozbudowane do 2029 r., a dodatkowo udało się wreszcie zakończyć spór w Modlinie. Tam również będą inwestycje, więc Radom nie jest już dla linii lotniczych jedyną możliwością rozwoju na Mazowszu. Przez to zupełnie stracił na znaczeniu* – podkreśla Marek Serafin, ekspert rynku lotniczego, były menedżer w LOT.

Chociaż radomskie lotnisko jest puste, PPL na razie się nie poddaje. Mimo bardzo pesymistycznych wniosków z audytu (lotnisko ma przynosić przez wiele lat duże straty) spółka nie planuje jego zamknięcia. – *Dajemy sobie kilka lat na to, żeby liczba pasażerów wzrosła do ok. 250 tys. rocznie. Łatwiej idą rozmowy z biurami podróży, dotyczące połączeń czarterowych. Linie regularne na razie wolą się rozwijać w większych portach regionalnych, ale liczymy na to, że gdy tam zacznie brakować miejsca, przychylnym okiem spojrzą na Radom* – mówi Marcin Daniłł, wiceprezes PPL. Właściciel lotniska liczy też na pomoc samorządów, na czele z miastem Radom. Miasto jednak i tak przelewa PPL niemal 20 mln zł rocznie, na mocy umowy z 2018 r. Nie jest gotowe, aby zacząć dodatkowo dopłacać liniom, by liczba połączeń z Radomia wzrosła.

Rozwiązaniem korzystnym dla Radomia byłby administracyjny podział ruchu w aglomeracji warszawskiej. To formuła bardzo kontrowersyjna, która mogłaby zmusić część linii do zainteresowania się Radomiem. Nie wolno oczywiście wskazywać, jaki przewoźnik może latać na przykład z Chopina, a jaki ma się wynieść do Modlina czy Radomia. Można za to określić obiektywne kryteria – na przykład połączenia realizowane codziennie miałyby priorytet w porcie Chopina, a kto lata w określonym kierunku tylko raz czy dwa razy w tygodniu (to głównie czartery), musiałby korzystać z Radomia. Jednak uzyskanie zgody Komisji Europejskiej na taki podział ruchu byłoby bardzo trudne. – *Uważam, że nawet niemożliwe, bo musi chodzić o lotniska obsługujące tę samą konurbację. A oddalony sto kilometrów od Warszawy Radom takich kryteriów nie spełnia. Nawet jeśli nazwiemy port Warszawa-Radom, jak zrobił to PPL* – przekonuje Marek Serafin.

Zamiast liczyć na zapełnianie Radomia siłą, jak chciała to robić poprzednia władza, trzeba szukać innych metod. – *Teraz obserwujemy początek ostrej rywalizacji linii Ryanair i Wizz Air w Modlinie. Ten drugi przewoźnik zakłada tam bazę, a ten pierwszy kontratakuje i uruchamia te same połączenia, co Węgrzy. Być może efektem tej wojny cenowej będzie decyzja Wizz Air o ograniczeniu działalności w Modlinie i rozwoju w Radomiu. Wówczas do jedynej obecnej trasy na Cypr mogłoby dołączyć kilka innych* – przewiduje Mariusz Piotrowski, redaktor portalu Fly4free.pl.

Najbliższe lata dla Radomia na pewno będą ciężkie. Ale na horyzoncie maja czy jeszcze jedna nadzieja na poprawę. To 2032 r., czyli planowany moment otwarcia CPK, a równocześnie zamknięcia lotniska Chopina. Linie tanie i czarterowe staną wówczas przed sporym problemem – stracą dotychczasowe stołeczne lotnisko (bardzo lubiane przez pasażerów), a stawki za obsługę w nowym CPK będą prawdopodobnie bardzo wysokie – wstępne założenia sugerują, że sama opłata pasażerska wyniesie ponad cztery razy tyle co na Okęciu. Pozostaną Modlin i właśnie pusty Radom. Kto będzie chciał oferować tanie połączenia z Mazowsza, zapewne skorzysta właśnie z tych dwóch portów. Można wyobrazić sobie sytuację, w której zapchany, nawet po rozbudowie, Modlin nie pomieści wszystkich chętnych, a część linii zdecyduje się na Radom. Zwłaszcza gdy będzie on nadal oferował atrakcyjny cennik.

Na razie jednak radomski terminal, choć efektowny, pozostaje symbolem gigantycznej niegospodarności oraz ilustracją, do czego prowadzą strategie oparte na polityce zamiast na ekonomii i zdrowym rozsądku. Radomskie lotnisko pochwalić może się tylko jednym. Część terminala zajmuje FlyPort, do którego mogą wejść – po kupieniu biletu – także ci, którzy z Radomia nie lecą, bo znajduje się on w strefie ogólnodostępnej. FlyPort to chyba najlepiej pomyślany element inwestycji w Radomiu, bo dzięki niemu udało się sensownie wykorzystać przynajmniej część przewymiarowanej infrastruktury.

FlyPort reklamuje się jako centrum edukacyjno-rozrywkowe, świetne zwłaszcza dla najmłodszych, choć nie brakuje tu też starszych, zainteresowanych lataniem. Natalia Soból, kierowniczka ds. operacyjnych, z dumą oprowadza po miejscu, które, jak sama podkreśla, jest prawdziwym unikatem. Nie tylko w skali polskiej, ale i europejskiej, bo żadne inne lotnisko na naszym kontynencie nie może pochwalić się taką przestrzenią.

FlyPort działa dopiero nieco ponad rok, ale już jest świetnie oceniany. – *Korzystają z niego często oczekujący na odlot, ale sporo osób przyjeżdża do nas specjalnie po to, by odwiedzić FlyPort. Są to zarówno grupy szkolne, jak i pasjonaci lotnictwa. Mamy gości nie tylko z Radomia i okolic, ale z całego Mazowsza. Szczególnym zainteresowaniem cieszy się możliwość zorganizowania u nas urodzin* – podkreśla Natalia Soból.

FlyPort podzielony jest na trzy strefy wiedzy i zabawy. Pierwsza „Od marzeń do chmur" to historia latania, od mitycznych Dedala i Ikara po czasy współczesne. W drugiej strefie poznajemy, jak działa lotnisko, a do tego możemy skorzystać z symulatora lotów i przetestować swoją wiedzę przy kontroli bagażu. Największą atrakcją trzeciej strefy o nazwie Kosmos jest żyroskop – tylko dla odważnych, którzy nie boją się przeciążeń i chcą poczuć się jak piloci wojskowi. FlyPort to dowód na to, że w Radomiu naprawdę można odlecieć – tyle że na razie głównie w wyobraźni.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl d6bf8a6782



Na czele buntu przeciw soborowym reformom stanął ekskomunikowany abp Carlo Maria Viganò, były nuncjusz w USA. Poniżej: **Nick Fuentes, gwiazdor nacjonalistyczno-katolickiego show „America First”.**

Krucjata z Ameryki



ADAM SZOSTKIEWICZ

60 lat po Soborze Watykańskim II Kościół rzymskokatolicki zalewa fala chrześcijańskiego nacjonalizmu rodem z USA Donalda Trumpa.

eprasa.pl d6bf8a6782

Najlepiej zrozumieć współczesny chrześcijański nacjonalizm w Stanach Zjednoczonych za pomocą Nicka Fuentesa. To jedna z najbardziej krzykliwych twarzy tego amorficznego, ale energicznego ruchu. I jednocześnie przykład kluczowej roli internetu jako skutecznego narzędzia propagowania ultrakonserwatywnych treści. Jego show „America First" – ulubione hasło Donalda Trumpa – ma pół miliona odbiorców i milion obserwujących na platformie X.

27-letni dziś Fuentes zaczynał karierę jako świeżo upieczony student Uniwersytetu Bostońskiego. W swoich audycjach od początku atakował „zorganizowane żydostwo w Ameryce", orędował za antyimigrancką polityką Trumpa, ostrzegał przed rzekomym „ludobójstwem na białych", wychwalał „rządy katolickich talibów". Odwoływał się do rasistowskich teorii biologicznych, wyrażał podziw dla Adolfa Hitlera, szydził z praw kobiet. Wyśmiewał swoich krytyków: „Powiedz coś o kwestii rasowej, a już jesteś rasistą; albo o feminizmie, już jesteś seksistą".

Przy tym wszystkim Fuentes okrasza swoje internetowe występy cytatami z Credo Apostolskiego (wyznania wiary) i Pisma Świętego oraz królewskimi wizerunkami Jezusa. Dla jego fanów występy Nicka są wołaniem o powrót do „wartości chrześcijańskich" i „chrześcijańskiego ładu moralnego". W istocie są jednak próbą połączenia programu amerykańskiej altprawicy z tradycjonalistycznym katolicyzmem. To antypody programu przyjętego przez Kościół dokładnie 60 lat temu po Soborze Watykańskim II – odnowy Kościoła w dialogu z światem, jaki jest. Mimo to instytucje i media katolickie w USA, nawet episkopat, nie mają przekonującej odpowiedzi na to wyzwanie. Nawet Leon XIV, pierwszy w historii amerykański papież, przestaje być autorytetem dla tej części swoich katolickich rodaków.

A ponieważ rzeczywistość nie znosi pustki, wypełniają ją ruchy i liderzy antysystemowi. Klikalność audycji Fuentesa i innych katolickich influencerów tego typu dorównuje wypowiedziom Leona XIV, a nawet je przewyższa. W ten sposób tworzą oni jakby Kościół równoległy.

Udzisiejszenie

Co za przewrotny obrót spraw! Gdy w 1958 r. Angelo Giuseppe Roncalli został papieżem Janem XXIII, natychmiast oznajmił kardynałom, że zamierza zwołać w Rzymie sobór powszechny. W celu odnowy (po włosku *aggiornamento*, udzisiejszenie) Kościoła we współczesnym świecie i starań na rzecz przywrócenia jedności chrześcijaństwa. Te ogólne cele zabrzmiały niemal rewolucyjnie, choć nie taka była intencja papieża.

Zaskoczenie kardynałów wynikało z tego, że co najmniej od przełomu XIX i XX w. kolejni papieże przymierzali się do zwołania soboru, ale bezskutecznie. Poprzedni został przerwany, gdy w 1870 r. wojska piemonckie zajęły Rzym opuszczony przez garnizon francuski chroniący wówczas papiestwo. Sobór zwołany przez Jana XXIII nie był jednak jego kontynuacją, lecz kolejnym, 21. w numeracji przyjętej w Rzymie. Właśnie mija okrągłe sześć dekad od jego zakończenia.

Sobory powszechne w nowszych czasach są rzadkie i trwają zwykle kilka lat i więcej. To daje czas na żarliwe dyskusje o kondycji Kościoła. Przed I Watykańskim był sobór trydencki w połowie XVI w., a więc między jednym i drugim upłynęły trzy wieki burzliwej historii. W tle soborów są zawsze przełomowe wydarzenia polityczne, zmuszające Kościół do reakcji doktrynalnej, zwarcia szeregów, wypracowania stanowiska czytelnego zarówno dla kościelnych elit, jak i „Ludu Bożego".

Na soborze we włoskim Trydencie Kościół zainicjował program kontrreformacji w odpowiedzi na reformację zainicjowaną przez Marcina Lutra. Na Soborze Watykańskim I mimo protestów części biskupów uchwalono dwa dogmaty, które wywołały ostre podziały – o prymacie papieża nad Kościołami narodowymi i o jego nieomylności w sprawach wiary i moralności, gdy wypowiada się ex cathedra. Krytycy pytali, czy Kościół nie staje się aby Kościołem papieskim zamiast Chrystusowym.

Wkrótce po tym absolutystycznym przewrocie upadło państwo kościelne w dawnej postaci. Protestanci i prawosławni dogmaty odrzucili, powstał Kościół starokatolicki kontynuujący tradycję katolicyzmu, lecz w oderwaniu od rzymskiej centrali. Pogłębił się podział w świecie chrześcijańskim. Jednocześnie rósł w siłę ruch komunistyczny, którego biblią stał się „Manifest komunistyczny" Marksa i Engelsa opublikowany w 1848 r. Świat się zmieniał.

Wyzwanie

Rozpoczęty ponad pół wieku później Sobór Watykański II działał w jeszcze bardziej skomplikowanej sytuacji. Świat był podzielony na dwa rywalizujące z sobą bloki: demokratyczny zachodni i autorytarny komunistyczny. W Europie część katolików wraz z ich lokalnymi Kościołami znalazło się za żelazną kurtyną. Walka z religią była częścią doktryny komunistycznej.

Większość z ponad 2,5 tys. biskupów zgromadzonych w październiku 1962 r. w Watykanie nie miała doświadczenia życia i pracy w systemie demokratycznym. A biskupi z Niemiec i samych Włoch otrząsali się z doświadczenia nazizmu i faszyzmu. Nie wszyscy, mówiąc oględnie, byli gotowi na czekające ich wyzwanie. Dla wszystkich jednak w takiej sytuacji soborowe przesłanie pokoju i nadziei, godności człowieka i wolności religijnej mogło być atrakcyjne. Ale niekoniecznie dla katolików ultrakonserwatywnych. System kościelny ukształtował się przecież w epoce przeddemokratycznej i przedoświeceniowej i postrzegał demokrację jako zagrożenie dla siebie.

Rok przed rozpoczęciem obrad stanął mur berliński. Już w trakcie soboru wybuchł kryzys kubański, a nad światem zawisła groźba wojny atomowej. Z soborem zbiegł się też szok wywołany zamordowaniem pierwszego katolickiego prezydenta USA Johna Kennedy'ego. Zarazem w części Kościoła, szczególnie w krajach najuboższych, funkcjonował mit wspaniałego Związku Sowieckiego, ojczyzny pokoju i socjalizmu, nadziei biednych i wykluczonych w całym świecie.

Źle się z tym musieli czuć biskupi w bloku sowieckim, tacy jak prymas Stefan Wyszyński, zaledwie kilka lat wcześniej zwolniony z internowania, czy metropolita krakowski Karol Wojtyła, aktywny uczestnik soborowych dyskusji, któremu władze niechętnie wydawały zgodę na wyjazd do Rzymu. Mimo to rozumieli, że reforma Kościoła jest konieczna. Podczas debaty dotyczącej wpisania potępienia komunizmu do oficjalnych dokumentów soborowych Wojtyła nie poparł jednak tego pomysłu. Zapewne z obawy przed politycznymi konsekwencjami dla Kościoła w Polsce komunistycznej. Jego zadaniem było dbać, aby przetrwał w konkretnych lokalnych warunkach.

Ten cel – przetrwanie systemu kościelnego w zupełnie zmienionej rzeczywistości świata – przyświecał zresztą całemu ▶

© GREGORY A SHEMITZ/REUTERS/FORUM, STEPHANIE KEITH/GETTY IMAGES

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ soborowi. Tym razem jednak uznano, że to „człowiek jest drogą Kościoła", a nie na odwrót, i to była wielka nowość. Oznaczała bowiem, że pluralizm wewnątrz Kościoła i poza nim to jest dobra rzecz, podobnie jak wolność religijna, nie tylko katolików, i dialog z innymi religiami.

Nowości było więcej. Świeccy katolicy mieli wziąć większy udział w życiu kościelnym i zarządzaniu Kościołem, papież miał się konsultować z biskupami. Uznano, że nic nie szkodzi zamiana łaciny na języki narodowe w kościelnej liturgii i studiowanie Biblii w domowych kręgach. Że dobry jest ekumenizm i nic nie stoi na przeszkodzie, by katolicy spotykali się z protestantami i prawosławnymi na co dzień i od święta. Symbolem tej linii było wzajemne zniesienie średniowiecznej klątwy między Kościołem zachodnim i wschodnim. Wielkie zainteresowanie wzbudziła deklaracja „Nostra aetate" odrzucająca antysemityzm, nienawiść na tle rasowym i religijnym, zbiorowe obciążanie Żydów za „bogobójstwo" na Chrystusie. Takim językiem oficjalny Kościół dotąd nie mówił.

Odwrócenie

Do tej ostatniej deklaracji odwołuje się obecny papież Leon XIV. Ale co z tego, skoro świat ponad pół wieku od Vaticanum II znów przechodzi turbulencje, które uderzają w jego przesłanie? Liderem tego buntu jest abp Carlo Maria Viganò, za pontyfikatu Franciszka ekskomunikowany za schizmę, który odrzuca reformy soborowe w całości, bo uważa je za źródło kryzysu w Kościele. To supertradycjonalistyczna reakcja na soborowe *aggiornamento*. Wołanie o powrót do przeszłości, gdy to „Kościół był drogą człowieka".



Viganò był nuncjuszem w USA, gdzie prawicowych krytyków soboru nie brakowało od samego jego zakończenia. A dziś, za prezydentury Trumpa (jego zastępcą jest nawrócony na katolicyzm J.D. Vance), coraz większe wpływy zdobywa – z poparciem trumpistów i części miliarderów – wspomniany chrześcijański nacjonalizm w wersji Fuentesa, zyskujący na popularności również w Europie.

Sprzyjają temu prawicowe wiatry wiejące dziś w polityce w wielu państwach zachodnich. I religia – przede wszystkim katolicka w wersji ultrakonserwatywnej – ma w tym udział. Od dłuższego czasu rosnąca liczba katolików widzi w niej odtrutkę na wszelkiego rodzaju progresywizm społeczny i kulturowy. W sensie politycznym kojarzą go z lewicą i liberalizmem, więc sami głosują na partie prawicowe.

Kościół katolicki znalazł się w ten sposób w centrum debaty publicznej, także u nas. Kryzys pedofilski w jego szeregach, prawa kobiet, celibat księży to w tych kręgach tematy zastępcze mające przykryć to, co naprawdę ważne: kryzys wspólnoty, rozmycie tożsamości narodowej, religijnej i jednostkowej, ekspansja multi-kulti, wyzwanie migracyjne, nietrwałość rodzin, malejąca liczba urodzin, niepewność przyszłości, obniżona stopa życiowa. Oczywiście nie są to lęki wyssane tylko z ideologicznego palca. Jednak mniej emocjonalne odpowiedzi na nie ze strony nieprawicowej nie przebijają się do prawicy.

Z tej właśnie perspektywy warto spojrzeć na odżywanie katolicyzmu. Nie na masową skalę, ale zauważalne. W Wielkiej Brytanii i we Francji szczególnie w młodym pokoleniu. Na Wyspach liczba osób w grupie wiekowej 18–34 lata identyfikujących się jako katolicy wzrosła z 23 proc. w 2018 r. do 31 w 2024 r. Uczestnictwo w życiu kościelnym wzrosło o 50 proc. We Francji młodzi ludzie stanowią prawie połowę dorosłych przystępujących do chrztu. W USA milenialsi i przedstawiciele pokolenia Z przewyższają starsze roczniki pod względem udziału w mszach niedzielnych.

Sprzeniewierzenie

Ta odnowa wiary często wiąże się jednak z odrzuceniem ducha Soboru Watykańskiego II. A jego obrońcy stopniowo tracą moc oddziaływania na umysły i serca wierzących. Każdy może dziś, w erze cyfrowej, podpinać się pod chrześcijaństwo. Może szerzyć swoje idee i pozyskiwać rzesze odbiorców, niekoniecznie praktykujących, a nawet wierzących, za to kontestujących – w sprzeczności z oficjalną nauką Kościoła.

Gdy papież Amerykanin broni deklaracji „Nostra aetate", Nick Fuentes, czyli jego znacznie młodszy rodak i współwyznawca, wyciąga przeciw niej zarzuty rodem z dawnej antysemickiej i antyjudaistycznej tradycji kościelnej. To widomy znak zmiany pokoleniowej, jaką obserwujemy również w Polsce. I pomyśleć, że pod tą deklaracją podpisał się nasz polski papież. Nazywał Żydów „starszymi braćmi" w monoteistycznej wierze. Ta zmiana paradygmatu musi niepokoić nie tylko soborowych katolików. Na rozniecaniu nienawiści do Żydów przecież się nie kończy. Na celowniku skrajnej prawicy znalazły się też inne społeczności, działacze polityczni i społeczni nieodnajdujący się w nacjonalizmie pod znakiem krzyża.

W USA skrajna prawica wykorzystuje w supernowoczesnej odsłonie głęboko zakorzenione tam hasła Bożej misji powierzonej Amerykanom.

W odpowiedzi na zmiany kulturowe czy ekonomiczne (globalizacja, demografia, 50 mln mieszkańców ma latynoskie korzenie) zyskują na popularności rozmaite teorie spiskowe, np. o rzekomym planie zastąpienia białej chrześcijańskiej większości imigrantami napływającymi z biednych krajów.

Jedną z tych prawicowych odpowiedzi ma być właśnie chrześcijański nacjonalizm, czyli ruch dążący do zmiany ustroju z republikańskiego na rodzaj amerykańskiej teokracji. Religia chrześcijańska ma być fundamentem narodu i państwa. Ma definiować narodową tożsamość Amerykanów i ich najważniejsze instytucje, np. szkolnictwo. Dlatego chrześcijańskie symbole powinny wrócić do przestrzeni publicznej. W szkołach publicznych zajęcia należy zaczynać od modlitwy, w programach nauczania mają się znaleźć odwołania do chrześcijańskiej interpretacji historii. Aborcja powinna być zakazana, imigracja zredukowana, a społeczność LGBT+ zepchnięta na margines.

Tej ideologii naturalnie nie da się pogodzić z pluralistycznym, demokratycznym państwem prawa. Szokującym dowodem był szturm zwolenników Trumpa na Kapitol, świątynię demokracji amerykańskiej, po jego przegranej w wyborach prezydenckich. W tłumie widać było banery „Christ is King". Nie takiego chrześcijaństwa chcieli ojcowie Vaticanum Secundum.

ADAM SZOSTKIEWICZ

© TOM WILLIAMS/CQ-ROLL CALL, INC/GETTY IMAGES

eprasa.pl d6bf8a6782

POLITYKA



BLACK FRIDAY

RABATY DO -40%

Tylko raz w roku subskrypcja serwisu Polityka.pl taniej o 40%!

polityka.pl/BF25

Oferta obejmuje dostęp do:

- Polityki - Tygodnika, portalu, aplikacji
- audio – 15 tekstów z numeru
- aplikacji Fiszki Polityki
- wydań w formie .pdf, .epub Kindle
- serwisu popularnonaukowego Pulsar

Kontrahent

Kirił Dmitrijew, sprawca obecnego zamieszania wokół pokoju w Ukrainie, stał się w ostatnich miesiącach nieformalnym kierownikiem rosyjskiej polityki zagranicznej.



© SERGEI BULKIN/ZUMA PRESS/FORUM

ŁUKASZ WÓJCIK

Jurij Uszakow rozmawia z Kiriłłem Dmitrijewem. I melduje: „Wysłałem tam wszystko” („tam”, czyli do Waszyngtonu). Ale ma wątpliwości. Pyta, czy to na pewno był dobry pomysł, aby przekazywać tak maksymalistyczne oczekiwania. Dmitrijew takich rozterek nie ma. Proponuje sporządzenie „naszego stanowiska”, obiecuje udostępnić je Amerykanom jako „nieoficjalne” i dodaje: „Nie sądzę, żeby przyjęli dokładnie naszą wersję, ale jest szansa, że ta ich będzie zbliżona”.

To relacja z rozmowy ujawnionej w niejasnych okolicznościach przez agencję Bloomberg 25 listopada. Uszakow był dotychczas najważniejszym doradcą Władimira Putina w sprawach zagranicznych. A Dmitrijew... No cóż, niektórzy eksperci od Rosji, m.in. Aleksandr Gabujew, uważają, że zastąpił już nie tylko samego Uszakowa, ale też odsuniętego ostatnio na boczny tor szefa rosyjskiego MSZ Siergieja Ławrowa i w praktyce kieruje dziś rosyjską polityką zagraniczną, a szczególnie tą wobec Stanów Zjednoczonych.

Ujawniona rozmowa dotyczyła kontrowersyjnego planu w sprawie zakończenia działań wojennych w Ukrainie, przedstawionego Kijowowi przez Amerykanów 20 listopada. I tego samego dnia „wyciekniętego” do mediów przez Dmitrijewa, co przypadkowo przyznał Steve Witkoff, naczelny negocjator Donalda Trumpa. Plan ten w pierwotnej wersji był niemal kopią tego, co Rosjanie wysłali do Waszyngtonu. Nadzieje Dmitrijewa okazały się zbyt skromne. Amerykanie nie przedstawili planu zbliżonego do tego, co dostali od Rosjan – oni go w zasadzie tylko przetłumaczyli, co sugerują niezgrabne konstrukcje strony biernej w wersji angielskiej, przywołujące formy znane z języka rosyjskiego.

Lustro Witkoffa

John Bolton, były doradca Trumpa, ciągany dziś po aresztach przez prokuraturę podległą prezydentowi USA, tłumaczy, że Putin ma „wybitną zdolność” doboru odpowiednich interlokutorów dla kolejnych amerykańskich posłańców. W tym sensie Dmitrijew jest lustrzanym odbiciem Witkoffa – obaj nie mają doświadczenia w formalnej dyplomacji, wyróżniają się umiejętnościami komunikacyjnymi, a przede wszystkim mają „biznesowy zmysł”: są bardziej kontrahentami, nie dyplomatami.

Kirił Aleksandrowicz Dmitrijew urodził się w 1975 r. w Kijowie. Rodzice byli ukraińskimi naukowcami. Młody Kirił brał nawet udział w antyradzieckich demonstracjach u schyłku ZSRR – z jego upadku podobno się cieszył. Tak przynajmniej twierdzą jego koledzy ze szkoły, z którymi rozmawiał niezależny rosyjski portal Meduza. Żaden z nich nie utrzymuje z Dmitrijewem kontaktu, kilku zginęło na froncie, walcząc z Rosjanami.

Uczył się w elitarnym kijowskim liceum nr 145, skąd trafił na wymianę do szkoły średniej w amerykańskim New Hampshire. Tam zdobył stypendium rządu USA, dzięki któremu obronił licencjat na Uniwersytecie Stanforda, a potem MBA na Harvardzie. Po studiach najpierw był gigant konsultingowy McKinsey, potem Goldman Sachs. Na początku XXI w. wrócił jednak do Kijowa, dokąd ściągnął go Wiktor Pińczuk, jeden z najbogatszych wówczas Ukraińców, prywatnie zięć prezydenta Leonida Kuczmy. Powierzył on 30-latkowi zarządzanie własnym

eprasa.pl d6bf8a6782

funduszem inwestycyjnym Interpipe. Młodego Dmitrijewa ciągnęło jednak do polityki. Brylował w ukraińskich mediach, gdzie m.in. krytykował rządy Putina, a szczególnie jego brutalną rozprawę z rosyjskimi oligarchami.

Przełomem, jak sam dziś wspomina, była pomarańczowa rewolucja w Kijowie (2004–05), którą ocenia bardzo krytycznie. Wówczas też poznał przyszłą żonę, Natalię Popową, modelkę, a potem prezenterkę jednej z rosyjskich telewizji. Ona z kolei znała Katierinę Tichonową, drugą córkę Putina, która już wtedy robiła zawrotną karierę naukową w Rosji. Tak Dmitrijew trafił na moskiewskie salony, w końcu przedstawiono go samemu Putinowi.

Rzutki menedżer szybko zyskał zaufanie prezydenta i przedstawił mu pomysł państwowego funduszu inwestycyjnego. W Skandynawii tego typu fundusze inwestują zarobione przez państwo pieniądze (np. z sektora wydobywczego) na międzynarodowych giełdach. Jednak w funduszu, którym Dmitrijew zarządza od 2011 r., wszystko jest na odwrót. RDIF, bo pod takim skrótem znana jest ta instytucja, zanim została objęta sankcjami, zajmowała się kojarzeniem zachodnich, głównie amerykańskich inwestorów (tu pomogły kontakty z McKinseya i Goldman Sachsa) z rosyjskim biznesem, za co pobierała stosowny procent. A ten trafiał głównie do znajomych Putina, którzy często „przechowują" pieniądze, w praktyce będące utajonym majątkiem prezydenta.

Tak umocowany towarzysko prezes RDIF zaczął brylować na międzynarodowych konferencjach finansowych. Był regularnym gościem w Davos. Wszędzie miał jedno zadanie – używając niewątpliwego uroku osobistego, odziany w doskonale skrojone garnitury, płynnym angielskim miał przekonywać, że Rosja to całkiem normalne państwo. I wielu się nabrało.

Dmitrijew nawiązał kontakty z ludźmi z otoczenia Trumpa, gdy ten rozważał pierwszy start w wyborach. Zaprzyjaźnił się m.in. z Erikiem Prince'em, założycielem słynnej agencji najemników Blackwater i późniejszym doradcą prezydenta Trumpa ds. bezpieczeństwa. Zakolegował się również z Anthonym Scaramuccim, wówczas specem od komunikacji w sztabie Trumpa, a dziś słynnym podkasterem. Nie przypadkiem więc w raporcie Roberta Muellera o rosyjskich ingerencjach w kampanię prezydencką 2016 r. Dmitrijew pojawia się ponad 100 razy. Podczas pandemii jego fundusz znów błysnął, gdy wziął na siebie finansowanie produkcji Sputnika V, czyli rosyjskiej szczepionki antycovidowej. Sprzedawał też respiratory do USA. Ale tam wkrótce zapanował Joe Biden, a nowa administracja objęła Dmitrijewa sankcjami i zakazem wjazdu do kraju – jako wspólnika Putina, który właśnie najechał Ukrainę.

Oficer łącznikowy

Najważniejszy okres kariery Dmitrijewa rozpoczął się, gdy Trump wrócił do Białego Domu. To wtedy Putin uczynił go „oficerem łącznikowym" odpowiedzialnym za kontakty z nową administracją, w której znalazło się wielu dawnych partnerów biznesowych Dmitrijewa. Już w lutym tego roku zorganizował pierwsze spotkanie Rosjan z nową amerykańską ekipą w Rijadzie. Wiąże się z tym pewna anegdota, którą opowiedział szef saudyjskiej dyplomacji Fajsal bin Farhan. Otóż tradycyjnie rosyjskiej delegacji przewodził tam Ławrow, który nie znosi Dmitrijewa. Szef rosyjskiego MSZ ponoć kilka minut przed spotkaniem z Amerykanami przy wielkim stole prezydialnym dosłownie schował Dmitrijewowi krzesło.

Ale to nie wystarczyło. Z niezachwianym poparciem Putina Dmitrijew zaczął odsuwać Ławrowa na boczną ławkę i budować osobiste relacje z Witkoffem – działał jak kontrahent: a to załatwił mu zwolnienie amerykańskiego obywatela z rosyjskiego więzienia, a to namówił Putina do wyjazdu na Alaskę, dokąd zaprosił go Trump. Przy okazji tego sierpniowego spotkania Dmitrijew zaproponował wielki wspólny projekt, czyli budowę tunelu pod cieśniną Beringa, czym miałaby się zająć jedna z firm Elona Muska.

Gdy w październiku Trump, rozczarowany brakiem postępów w sprawie pokoju w Ukrainie, zapowiedział sankcje na Rosnieft i Łukoil, cztery dni później Dmitrijew był już w Stanach. Oficjalnie tylko spotkał się z kilkoma kongresmenami. Rozdawał im czekoladki z podobizną Putina i przekonywał, jak wiele Ameryka traci, nie robiąc biznesów z Rosją, oraz że nowe sankcje wywołają inflację w USA, czym wyprowadził z równowagi sekretarza skarbu Scotta Bessenta. Nieoficjalnie jednak Dmitrijew trzy dni rozmawiał z Witkoffem na Florydzie, głównie o Ukrainie. I to tam musiał mu zaprezentować rosyjskie warunki pokoju, które potem – po ich wycieku do prasy 20 listopada – stały się warunkami amerykańskimi.

W co gra Dmitrijew? Przecież musiał być świadomy, że Ukraina nigdy nie zaakceptuje planu, który przewidywał m.in. oddanie Rosji terytoriów przez nią nieokupowanych, zmniejszenie o prawie połowę liczebności armii ukraińskiej czy amnestię obejmującą wszystkie działania Rosjan w Ukrainie. Chodziło raczej o odwrócenie uwagi Trumpa. Po fiasku rozmów na Alasce prezydent USA był coraz bardziej rozczarowany postawą Kremla. Zezwolił Ukraińcom na wykorzystywanie kolejnych rodzajów amerykańskiej broni do uderzeń w głąb Rosji, przymierzał się do udostępnienia im potężnych pocisków Tomahawk, a w końcu zapowiedział sankcje przeciw rosyjskim gigantom energetycznym.

Po zamieszaniu związanym z wyciekiem „planu pokojowego" Dmitrijew wywrócił ten stolik. Ze wszystkich korzystnych dla Ukrainy zapowiedzi Trumpa zostało niewiele. I nagle to Kijów znów stał się odpowiedzialny za brak pokoju. Trumpowi było to o tyle na rękę, że pomogło mu w polityce wewnętrznej – odciągnął uwagę Amerykanów choćby od sprawy Epsteina i jego pedofilskich przestępstw, choć temat niebezpiecznie zbliżał się do niego.

Uwaga Trumpa

Dmitrijew odniósł podwójny sukces. Po pierwsze, forsując tak prorosyjską wizję zakończenia działań zbrojnych w Ukrainie, sprawił, że tego zakończenia w przewidywalnej przyszłości nie będzie. A to znów wywoła u Trumpa frustrację i odciągnie jego uwagę od wojny, którą Rosja – w swoim mniemaniu – powoli, ale wygrywa. Nie ma więc interesu, żeby ją szybko zakończyć.

A po drugie, Dmitrijew również powoli, ale wytrwale uświadamia Trumpowi, jak wiele może zarobić, jeśli dogada się z Rosją. W „wycieknętym" planie jest zapis, że 100 mld dol. z rosyjskich rezerw zamrożonych dziś na Zachodzie ma zostać zainwestowanych w odbudowę Ukrainy, przy czym 50 proc. zysków z tych inwestycji ma trafić do Ameryki, mimo że ta nie wyłoży ani centa. A przecież to może być tylko ta jawna część oferty. Putin dobrze wiedział, kogo wystawić do rozmów z administracją Trumpa – specjalistę od politycznego „opodatkowania" zagranicznych inwestycji i ukrywania majątku władców tego świata. ■

eprasa.pl d6bf8a6782



Narendra Modi u Władimira Putina na Kremlu w lipcu 2024 r. To Indie mają przewagę w stosunkach z Rosją.

Brzydka przyjaciółka

Dlaczego dla Indii Rosja jest dużo ważniejsza od Ukrainy. I dlaczego trudno zaufać Zachodowi – w przededniu wizyty Władimira Putina w New Delhi rozmawiamy z politolożką Sriparną Pathak.

JĘDRZEJ WINIECKI: **– Rosja to najlepsza przyjaciółka Indii?**

SRIPARNA PATHAK: – Tak. To niefortunne, że stała się agresorem w Ukrainie, ale to nie jest nasza wojna, toczy się zbyt daleko. Z drugiej strony, to właśnie premier Narendra Modi publicznie wezwał Władimira Putina, by przestał zabijać dzieci i nie bombardował szpitali. Żaden inny światowy przywódca tego nie zrobił. Równolegle wywiera się presję na Indie, by przestały się przyjaźnić z Rosją, bo Zachód ma z nią problem. A co z nami? Co z naszym problemem z Chinami? Z sięgającym po terroryzm Pakistanem? Czy kogoś to obchodzi?

Skąd te rozbieżności?

W przeciwieństwie do Zachodu Rosja nigdy nas nie zastraszała, nie widzimy w niej źródła zagrożenia. Niestety Zachód, zwłaszcza Stany Zjednoczone, wielokrotnie Indie zdradzał. Jesteśmy wdzięczni Związkowi Radzieckiemu za pomoc w czasach zimnej wojny. Czy Zachód kiedykolwiek nam tak pomógł? My, Indusi, bywamy dość emocjonalni i taka jest też indyjska polityka zagraniczna. Paradoksalnie, drugą naszą najlepszą przyjaciółką jest Japonia, mocno poróżniona z Rosją. Tyle że Japonia nie żąda, byśmy rozluźnili stosunki z Rosją. Tak postępowali z nami kiedyś kolonizatorzy. Zachód zgłasza oczekiwania wobec Indii i nie próbuje nawet zrozumieć, że Indie mogą mieć własne.

Indyjski premier lubi Putina?

Są w serdecznych stosunkach, znają się od lat. Podczas niedawnego szczytu w Tiencinie (Szanghajskiej Organizacji Współpracy – przyp. red.) wiecznie spóźniający się Putin przyszedł punktualnie i to on czekał na Modiego 10 minut. Później wsiedli do limuzyny Putina, jechali i rozmawiali wspólnie przez około godzinę. Publicznie trzymali się za ręce, co wzbudziło szczególne poruszenie w chińskich mediach społecznościowych. Z kolei w Indiach ogromną popularność zdobył filmik, na którym Modi mówił w hindi, a Putin zachował się tak, jakby bez tłumacza zrozumiał, o co chodziło. Zresztą wielu Rosjan swobodnie rozmawia w hindi – to coś, czego Zachód mógłby się od nich nauczyć.

W Europie dość zgodnie uważa się Putina za zbrodniarza wojennego.

A kim w takim razie jest dyktator wojskowy Pakistanu Asim Munir? Premier Izraela Beniamin Netanjahu też jest ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny. A Donald Trump zaprosił Putina na Alaskę. Trudno zrozumieć stanowisko Zachodu i mu zaufać, skoro dzisiejszy zbrodniarz wojenny jutro może już być w porządku.

Kto ma silniejszą pozycję w tym związku? Modi? Jako kupiec rosyjskiej ropy i uzbrojenia?

Jak to się mówi w biznesie, kupujący jest królem. Indie mają przewagę w stosunkach z Rosją także za sprawą wojny w Ukrainie. Naciskają na zawarcie pokoju, są w stałym kontakcie z Zachodem, ta wojna je

© GETTY IMAGES, AN

eprasa.pl d6bf8a6782

niepokoi. To wszystko nie podważa jednak roli Rosji jako indyjskiej przyjaciółki. Putin nie wymaga od Indii, żeby zerwały z USA albo przestały handlować z Europejczykami. W listopadzie na targach wojskowych w Dubaju rozbił się indyjski myśliwiec. Tylko Rosjanie urządzili przelot w formacji upamiętniającej zmarłego pilota.

A może chcą wam sprzedać samoloty bojowe?

Indie chętnie kupowałyby też na Zachodzie, o ile byłoby taniej, a umówione dostawy nie byłyby zrywane.

Indie sprowadziły znaczne ilości przecenionej rosyjskiej ropy, pośrednio kupując naboje wystrzeliwane w Ukrainie.

Taka opinia dowodzi zachodniej hipokryzji. Trump nałożył 25-procentowe cła na indyjskie towary za kupowanie rosyjskiej ropy. Ale nie miał już odwagi zrobić tego w przypadku Chin, a to one są przecież największym nabywcą ropy z Rosji. Indie pomagają Rosji, ale przecież Stany robią to samo, kupując ogromne ilości rosyjskich nawozów. W 2024 r. obroty handlowe między Rosją a Unią Europejską sięgnęły 67,5 mld euro. Unia kupiła m.in. 16,5 mln ton skroplonego gazu ziemnego. Jak się chce kogoś pouczać, to warto się upewnić, czy samemu nie jest się hipokrytą.

Mimo tych różnic powinniśmy trzymać się razem, zwłaszcza z Europą. Wiele indyjskich towarów, które mogły zostać dotknięte amerykańskimi cłami, trafiło na rynek UE. W Indiach mówimy, że nigdy nie będziemy częścią żadnych sojuszy. Widzimy, co Amerykanie robią ze swoimi sprzymierzeńcami z Europy, Japonii, Korei Południowej czy Australii. My też chcemy międzynarodowego porządku opartego na zasadach, a nie amerykańsko-chińskiego duumwiratu. Powinniśmy więc ograniczać hipokryzję i rozumieć swoje czerwone linie.

Którędy biegną indyjskie?

Po pierwsze, terroryzm. Niestety Zachód nadal wspiera Pakistan, co robią też Chiny. Punkt drugi to zero kompromisów w kwestii suwerenności terytorialnej, jej koncepcję wzięliśmy od Europejczyków. Będziemy się bronić przed zakusami Chińczyków. Po trzecie, partnerstwo bez moralnych nagan. Nie narzucamy innym krajom żadnych moralnych nakazów, nie chcemy nowej kolonizacji.

O co chodzi w trójkącie Indie-USA-Pakistan? Trump wydaje się zachwycony Modim.

Po nawiązaniu stosunków Waszyngton-Pekin za Richarda Nixona Stany musiały zaakceptować bliskie związki Chin z Pakistanem, wymierzone przeciw Indiom. Teraz Amerykanie wykorzystują Pakistan do szachowania szybko rosnących Indii, bo żaden hegemon nie chce, żeby inny kraj go zastąpił. Nie chcą pozwolić na to Chinom i jednocześnie się obawiają, że któregoś dnia tę rolę przejmą Indie.

Mamy swoje doświadczenia z Amerykanami. Trump mówi, że Indie powinny importować amerykańskie produkty rolne. Dlaczego tego nie zrobimy? Bo gdy w latach 70. premier Indira Gandhi pojechała do USA, by prosić o pomoc w związku z kryzysem żywnościowym, USA powiedziały „nie". W rezultacie Gandhi uruchomiła tzw. zieloną i białą rewolucję, dzięki czemu w rolnictwie i mleczarstwie jesteśmy samowystarczalni.

A skąd tak bliskie związki z Japonią? Wielu Indusów wcielonych do armii brytyjskiej walczyło z Japończykami.

Ale z drugiej strony indyjski sędzia, który brał udział w międzynarodowych postępowaniach karnych po wojnie, uznał zarzuty wobec Japończyków za wprowadzone retroaktywnie. I oni o tym pamiętają. Później, w przeciwieństwie do Chińczyków, Japończycy inwestowali w całych Indiach, a nie tylko w najłatwiejszych dla inwestorów regionach. Japonia stoi też przed podobnymi do naszych problemami związanymi z Chinami. W tym roku Modi pojechał do Chin po siedmiu latach przerwy, ale po drodze najpierw odwiedził Tokio. Nie wziął też udziału w paradzie wojskowej w Pekinie, zorganizowanej zaraz po szczycie. Dał znać, że nie godzi się na odczłowieczanie i poniżanie naszego japońskiego przyjaciela. Druga światowa – to nie była nasza wojna i nie nasze zwycięstwo. Nasi żołnierze zostali zmuszeni do udziału w niej przez Brytyjczyków – trzeba pamiętać, że brytyjscy koloniści nas gwałcili, rabowali i zabijali.

Co pomyśli Xi Jinping, gdy zobaczy Putina w New Delhi?

Na pewno nie będzie zachwycony. Niestety dla naszej przyjaciółki Rosji w stosunkach z Chinami to ona jest młodszym partnerem, Chiny mają nad nią kontrolę. Poza tym Rosja i Chiny w Zachodzie widzą wspólnego wroga. Indie tak na Zachód nie patrzą, mamy co najwyżej kryzys zaufania.

Czy tak bliskie związki z Rosją nie zaszkodzą waszej reputacji?

Kulturowa atrakcyjność Indii wydaje się znacznie silniejsza niż w przypadku Chin.

Indie nigdy nie promowały się w taki sposób jak Chiny. Ich Instytuty Konfucjusza podejmowały wiele nieprzyjaznych działań propagandowych. A np. filmy Bollywood przynoszą duże przychody, mimo że nigdy nie były szczególnie promowane. To też trochę utrudnione, bo my, Indusi, mówimy w tylu językach. Mandaryński można łatwo wypromować, a czy da się wypromować sanskryt? Sama w nim nie mówię.

Poza tym nie mamy tak głębokich kieszeni jak Chińczycy. Nie budujemy np. w Afryce, przywożąc własnych pracowników. Nie wpędzamy tych krajów w spiralę zadłużenia. Jednocześnie Chiny aktywnie rozpowszechniają dezinformację wymierzoną we wszystko, co działa na korzyść Indii. Tak było podczas pandemii: zamiast zachwalać własne szczepionki, starały się uderzać w indyjskie.

Czy możliwy jest wspólny front Rosji, Indii i Chin przeciw Zachodowi?

Nie sądzę. Putinowi nie udała się próba pogodzenia Indii z Chinami. Trzymamy się stanowiska, że Chiny nie są naszym przyjacielem. A poza tym, dlaczego mielibyśmy zrywać np. z Europą, w której wciąż drzemie siła gospodarcza? Unikamy relacji, które stałyby w sprzeczności z naszymi interesami narodowymi.

Jaka będzie międzynarodowa przyszłość Indii?

Zapewne USA pozostaną główną potęgą jeszcze co najmniej przez najbliższą dekadę. Niestety dla wolnego świata – w tym Indii – Chiny będą numerem drugim. Indie wkrótce będą trzecie. Nie unikniemy chińskiego zagrożenia, Pekin w najbliższych latach stanie się coraz bardziej agresywny, co będzie skutkiem wewnętrznych problemów – chińska gospodarka jest w kryzysie, społeczeństwo się starzeje. A jeśli chodzi o Rosję – ona nam nie zagraża, ale będzie słabnąć gospodarczo i jeszcze bardziej uzależni się od Chin. To dla nas, mimo wszystko, scenariusz optymistyczny. ■



Dr **Sriparna Pathak** – indyjska politolożka i sinolożka, dyrektorka i założycielka Centrum Studiów Azji Północno-Wschodniej na Jindal Global University w indyjskim stanie Hariana.

eprasa.pl d6bf8a6782



Inwazja maszyn

Czy Jannik Sinner, gigant współczesnego tenisa, jest robotem? A nawet jeśli nie, to czy na pewno jest Włochem? I co to wszystko mówi o przyszłości tego pięknego sportu?

MARIUSZ ZAWADZKI

Prawie każdy, kto jest kibicem tenisa, miał w ostatnich latach „momenty Alcaraza". Zdarzają się wtedy, gdy oglądasz młodego Hiszpana Carlosa Alcaraza (chwilowo nr 1 w ATP) i nagle szczęka ci opada, oczy wychodzą z orbit i wydajesz niekontrolowane okrzyki. Te momenty są jeszcze intensywniejsze, jeśli choć trochę grałaś/grałeś w tenisa. I dlatego rozumiesz, że to, co przed chwilą wydarzyło się na ekranie, jest w zasadzie niemożliwe.

Oczywiście wytrawni kibice tenisa już wykryli podstęp – cały poprzedni akapit jest parafrazą ze słynnego eseju Davida Fostera Wallace'a pod tytułem „Roger Federer jako przeżycie religijne", opublikowanego w 2006 r. w „New York Timesie". Tyle że nazwisko „Federer" zostało zamienione na „Alcaraz". Ale po tej zamianie akapit pozostaje prawdziwy i trafia w samo sedno, mimo że styl gry obydwu jest trochę inny.

W uderzeniach Federera i w jego poruszaniu się po korcie była niesamowita lekkość; miało się wrażenie, że ogląda się balet. Dla odmiany, kiedy Alcaraz bije swoje soczyste forhendy, to widać i słychać, jakie są potężne. Ale za chwilę zaskakuje subtelnym skrótem, chyba nawet lepszym niż skróty Federera. Obydwu cechuje kreatywność i nieprzewidywalność, do których ich najwięksi rywale nigdy się nawet nie zbliżyli.

Kiedy Wallace pisał swój esej, Federer wydawał się władcą absolutnym. Dopiero później się okazało, że królów tenisa jest trzech. I że finezja często nie wystarczy w starciu ze zwierzęcą energią Rafaela Nadala i nieludzką siłą woli Novaka Djokovicia. O jakże nienawidziliśmy tych dwóch oprawców i dręczycieli naszego bohatera! I było to dobre, bo przecież każdy kibic potrzebuje wroga i emocjonalnego zaangażowania.

Teraz wrogiem jest rudowłosy tyrolski robot, który bombarduje naszego Alcaraza swoimi monotonnymi forhendami i bekhendami.

Pierwszym, który postawił hipotezę, że Jannik Sinner (chwilowo nr 2 w ATP) jest tenisową maszyną, był Rosjanin, a obecnie Kazach, Aleksander Bublik. Ma on szczególne uprawnienia, żeby wydawać takie osądy, bo sam jest bodaj najmniej maszynowy ze wszystkich znaczących tenisistów. Geniuszem i kreatywnością nie ustępuje Federerowi czy Alcarazowi, ale niestety nie ma takiej jak oni regularności ani solidności. Jest nonszalancki i nadużywa sztuczek tenisowych, dlatego często przegrywa ze znacznie mniej interesującymi zawodnikami.

„Fakty są takie, że on nie jest człowiekiem" – ogłosił Bublik w kwietniu 2021 r., po ćwierćfinale turnieju w Miami, w którym 19-letni Sinner pokonał go 7:6, 6:4. „Już podczas meczu pytałem go kilka razy, czy jest robotem, ale to tylko z szacunku i podziwu, bo on jest naprawdę fantastycznym zawodnikiem!".

Bublik próbował różnych sztuczek: osławionych serwów z wysokości kolana, potężnych forhendów bitych na przemian z subtelnymi skrótami o nietypowych rotacjach boczno-wstecznych, biegów do siatki jeszcze przed serwem przeciwnika (żeby wytrącić serwującego z równowagi) – wszystko nadaremno.

Sinner był niewzruszony i po prostu robił swoje. Jego uderzenia nie są specjalnie finezyjne, ale zawsze bardzo silne – tak na 90 proc. mocy – i długie, tzn. piłka odbija się od kortu tuż przed końcową

© VALERIO PENNICINO/GETTY IMAGES

eprasa.pl d6bf8a6782

linią. Niektórzy nazywają jego styl gry „kontrolowaną agresją", inni porównują go do gracza PlayStation.

Od tamtego meczu w Miami robot został jeszcze ulepszony, o czym Bublik boleśnie przekonał się w tegorocznym US Open. Grał w Nowym Jorku znakomicie, ale w czwartej rundzie wpadł na Sinnera. Przed meczem dziennikarze pytali Bublika: „Co sprawia, że tak trudno z nim grać?". Odpowiedział: „Wszystko. Sinner to jest tenisista idealny, wygenerowany przez sztuczną inteligencję". Bublik przegrał 1:6, 1:6, 1:6. Schodził z kortu z szyderczym śmiechem, a niedługo potem napisał na Instagramie dwie litery: „AI".

Gdybyśmy zapytali Sinnera o dzieciństwo, powiedziałby, że urodził się i wychował w południowym Tyrolu, który od końca pierwszej wojny światowej należy do Włoch, ale wcześniej był częścią Austro-Węgier. Do dziś mówi się tam po niemiecku i w tym języku Jannik rozmawiał z rodzicami. Jego ojciec jest kucharzem, a matka kelnerką, oboje pracują w restauracji w górskim schronisku. Włoskiego nauczył się dopiero w szkole i do dziś mówi z lekkim tyrolskim/niemieckim akcentem.

Oczywiście wszystko to nie jest żadnym niezbitym dowodem człowieczeństwa, bo np. niektórzy mechaniczni bohaterowie filmu „Łowca androidów" byli przekonani, że są ludźmi, i mieli wgrane do pamięci drobiazgowe wspomnienia z dzieciństwa.

Tyrolskie korzenie bywają dla Sinnera kłopotliwe. Niektórzy Włosi uważają, że jest za mało włoski, a niektórzy Tyrolczycy – że za bardzo. Kiedy miesiąc temu oświadczył, że „jest dumny z tego, że jest Włochem", działacze tyrolskiej autonomii napisali do niego otwarty list: „Takie oświadczenia mają reperkusje znacznie wykraczające poza sport. Jest nam przykro, że prominentna osoba z naszego regionu wypowiada tak pochopne słowa i stwarza wrażenie, że nasze historyczne więzy z Austrią i z trudem wywalczona autonomia straciły znaczenie".

Dwa tygodnie temu zaskakująco chłodno potraktował Sinnera jego rodak Adriano Panatta, który w 1976 r. wygrał Rolanda Garrosa, pokonując legendarnego Szweda Björna Borga. Tak komentował wynik finału rozgrywek ATP: „Alcaraz jest bardziej utalentowany, ma znacznie bujniejszą wyobraźnię i więcej spontaniczności na korcie, ale dziś to nie wystarczyło na pragmatyczny i nieco robotyczny styl gry Sinnera".

Wielu ludzi, szczególnie we Włoszech, uznało ten komentarz za rażąco niesprawiedliwy. Być może Panatta, który urodził się w Rzymie i w swoich czasach uchodził za tenisistę eleganckiego i wyrafinowanego, czuje się emocjonalnie bardziej związany z Alcarazem. Ale to jeszcze nie powód, żeby tak postponować rodaka! Odżyła odwieczna dyskusja: jak zdefiniować talent w tenisie? Przecież zdolność do regularnego uderzania piłki z każdej pozycji na korcie, zawsze na 90 proc. mocy, przez kilka godzin bez przerwy i niemal bez błędów, to również jest unikatowy talent! Nikt inny nie gra tak jak Sinner.

Gill Gross, świetny komentator tenisowy na YouTube, często jest pytany przez internautów, kogo ceni bardziej: Sinnera czy Alcaraza? I zawsze uchyla się od odpowiedzi. Tłumaczy się tak: „Wyobraźmy sobie, że krytyk kulinarny pisze w recenzji jakiejś konkretnej tajskiej restauracji, że ocenia ją źle, bo generalnie nie lubi tajskiej kuchni. Ale za to bardzo dobrze ocenia restaurację włoską dwie ulice dalej, bo zasadniczo lubi włoskie jedzenie. Taki krytyk powinien zostać zwolniony z pracy... Żeby pisać recenzje kulinarne, trzeba cenić kuchnie wszystkich krajów i potrafić się delektować każdą z nich".

Jeśli za miarę talentu uznamy skuteczność, to Sinner jest na topie. Przegrywa niezwykle rzadko, i tylko z magikami. W tym roku pokonali go tylko Alcaraz (czterokrotnie) i Bublik (na korcie trawiastym w Halle, który pasuje zawodnikom grającym urozmaicony tenis). Gdyby nie przymusowa trzymiesięczna przerwa wiosną, Sinner zakończyłby sezon nie na drugim miejscu, zaraz za Alcarazem, tylko na pierwszym – tak jak rok temu.

Przerwa była karą za sterydy, które wiosną 2024 r. wykryto w śladowych ilościach w organizmie (?) Sinnera. Były w składzie maści, którą wcierał mu masażysta. Po wielomiesięcznym śledztwie ustalono, że zawodnik ani o nich nie wiedział, ani – w tak minimalnej ilości – nie mogły poprawić jego wydolności.

Niemniej jednak Światowa Agencja Antydopingowa uznała, że nieświadomość nie zwalnia tenisisty od odpowiedzialności. Stąd trzymiesięczny zakaz startów. Relatywnie niewielka, wręcz symboliczna kara wywołała ogromne kontrowersje, m.in. Djoković komentował, że gdyby podobna sytuacja przytrafiła się mniej znanemu tenisiście, to zostałby zawieszony na rok albo dłużej.

Bublik uważa, że Sinner to tylko najbardziej widoczny przypadek mechanizacji tenisa, jego zdaniem całe rozgrywki ATP to inwazja maszyn. „Jeszcze kilka lat temu, kiedy zaczynałem karierę, w top 50 było sporo przypadkowych kolesi, którzy ledwo ruszali się po korcie... Z nimi grało się łatwo i przyjemnie. Teraz wszyscy są fantastycznie przygotowani fizycznie. To jest wariactwo, młodzi zawodnicy są dzisiaj robotami zaprogramowanymi na maksymalizację swojego talentu".

Czy Bublik ma rację? Każdy kibic tenisa musi sam odpowiedzieć sobie na to pytanie. Sinner odniósł się do niego dwukrotnie. W zeszłorocznej reklamie ekskluzywnej odzieży Gucci stwierdził wymijająco: „Nazywają mnie robotem, maszyną, nadczłowiekiem, tymczasem ja po prostu chcę być Jannikiem Sinnerem". Ale po jednym z meczów w tegorocznym US Open, w którym przegrał seta, apelował do dziennikarzy: „Uwierzcie mi: nie jestem maszyną i też czasami zmagam się ze słabościami".

Bez względu na to, kim jest naprawdę, jego rywalizacja z Alcarazem – artysta kontra robot, człowiek kontra maszyna – jest najlepszym, co zdarzyło się w męskim tenisie po odejściu wielkiej trójki. Poza kortem obydwaj są odświeżająco naturalni i bezpretensjonalni. Ojciec Sinnera nie był na finale Rolanda Garrosa, czyli na najlepszym meczu tenisowym ostatnich kilku lat, bo miał tamtego dnia dyżur w kuchni i nie dostał od szefa wolnego.

Z kolei Alcaraz nadal mieszka z rodzicami; ostatnio wrzucił do internetu zdjęcie swojego pokoju – na ścianie kilka dziadowskich półek, na których stoją puchary z Wimbledonu, US Open i Rolanda Garrosa, poupychane losowo między rodzinnymi fotografiami, pod nimi stół przykryty zgrzebną plastikową ceratą, plus kilka opartych o ścianę rozkładanych plastikowych krzesełek. Okno zasłania jakaś straszna firanka.

W sumie klimaty jak z polskiego bloku z czasów schyłkowego komunizmu, co – wziąwszy pod uwagę ok. 100 mln dol. na koncie lokatora – jest jeszcze bardziej zaskakujące niż jego dropszoty. ■

eprasa.pl d6bf8a6782

Nie spoczniemy, aż znikniemy

Zmierzch ludzkości będzie jak śmierć gwiazdy, która powoli ochładza się, degeneruje, aż w końcu wygasa – przewiduje brytyjski paleontolog Henry Gee.

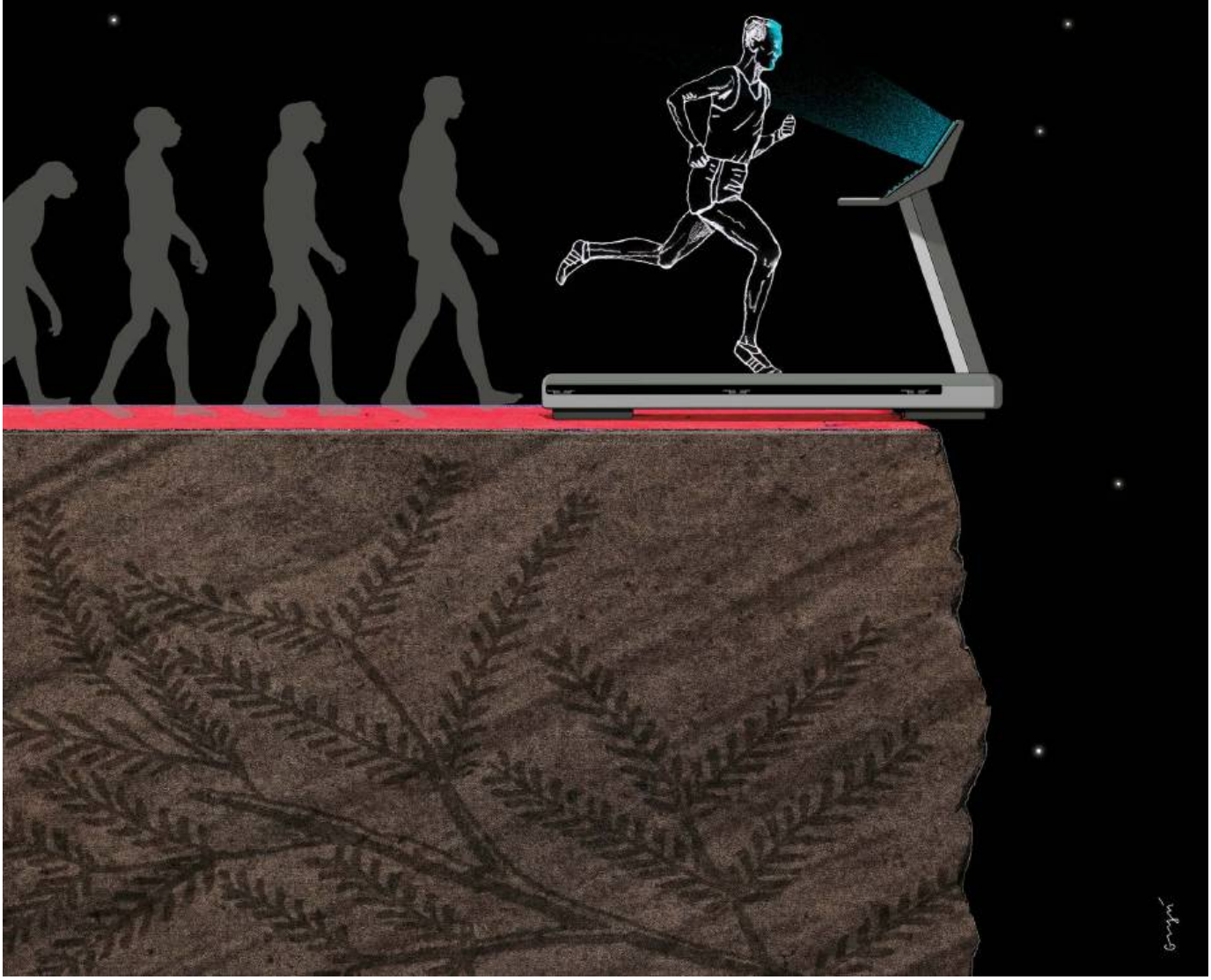

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

eprasa.pl d6bf8a6782

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Wyginiemy?**

HENRY GEE: – Tak.

Dlaczego?

Bo taka jest naturalna, biologiczna kolej rzeczy. Każdy gatunek prędzej czy później zniknie z powierzchni Ziemi. *Homo sapiens* nie jest tu wyjątkiem.

Kiedy to nastąpi?

Najbezpieczniej byłoby powiedzieć: prędzej czy później. Ale jeśli musiałbym podać liczbę, to sądzę, że *Homo sapiens* wyginie w ciągu kolejnych 10 tys. lat. Rozumiem przez to, że do tego czasu na Ziemi nie będzie już ani jednego człowieka. Jest też możliwe, że *Homo sapiens* wyginie praktycznie, co znaczy, że na Ziemi będą jeszcze istnieć przedstawiciele naszego gatunku, ale zbyt rozproszeni, żyjący w zbyt małych populacjach i ze względu na chów wsobny zbyt chorzy, by przetrwać. Zmierzch ludzkości będzie jak śmierć gwiazdy, która powoli ochładza się, degeneruje, aż w końcu wygasa.

Skąd pewność, że tak będzie?

Ponieważ tak działa biologia. Ludzie – podobnie jak dinozaury i wszelkie inne istoty, które żyły na tej planecie – są istotami biologicznymi i nie mogą rościć sobie prawa do żadnego szczególnego odstępstwa od reguł. Fakt, że ok. 99,9 proc. wszystkich gatunków, które kiedykolwiek żyły, już nie istnieje, jest dobrą wskazówką, jak to działa. Oczywiście są wyjątki, np. istnieje rodzaj wodorostów, które wyglądają niemal identycznie jak ich przodkowie sprzed prawie 2 mld lat. Ale czy ludzie powtórzą ten sukces? Nie sądzę.

Co nas zabije?

Nasz ewolucyjny sukces. Staliśmy się gatunkiem tak dominującym, że zagrażamy ekosystemowi, od którego zależymy. Inną równie poważną przyczyną może być brak różnorodności genetycznej. Gatunki pojawiają się na Ziemi z wielu powodów, ale ich życie jest napędzane koniecznością rywalizacji i „zderzania się" z innymi w procesie ewolucji. Innymi słowy, muszą wciąż rozwijać nowe mechanizmy obronne lub reprodukcyjne, aby nie dać się prześcignąć lub przystosować się do nowych wyzwań środowiskowych.

Można powiedzieć, że pierwszy krok ku upadkowi postawiliśmy ok. 25–50 tys. lat temu, gdy *Homo sapiens* pozostał jedynym żyjącym gatunkiem człowieka. Kiedy ostatni nasi krewniacy, jak neandertalczycy czy denisowianie, wyginęli (lub pomogliśmy im wyginąć), po raz pierwszy od prawie 7 mln lat zostaliśmy sami, bez konkurencji. A cechą wszystkich gatunków zwierząt jest to, że gdy już dotrą na szczyt, stają w obliczu długiej i z góry przegranej walki z bezlitosnym wrogiem, który nigdy się nie poddaje, czyli z samą Ziemią. Innym ubocznym skutkiem naszego sukcesu jest bardzo mała różnorodność genetyczna. U stada szympansów w Afryce jest ona większa niż u wszystkich ludzi na świecie. To czyni nas bardzo podatnymi na nieoczekiwane wstrząsy, jak epidemie.

W książce „The Decline and Fall of Human Empire" (ang. Zmierzch i upadek cesarstwa ludzkiego) pisze pan, że aby zrozumieć, kiedy i dlaczego gatunki wymierają, trzeba zobaczyć, co robiły, gdy znajdowały się u szczytu swoich możliwości.

Zauważmy, że w swoim ponadczasowym dziele „Zmierzch i upadek Cesarstwa Rzymskiego" Edward Gibbon nie rozpoczyna opowieści od złupienia Rzymu przez Gotów. Zamiast tego opisuje imperium i jego bolączki za rządów Trajana na początku II w. n.e., czyli w chwili największej potęgi. Gibbon instynktownie rozumiał to, co kilka lat temu stwierdzili naukowcy z uniwersytetu w Helsinkach. Potwierdzili oni prawdziwość hipotezy „czerwonej królowej". Nazwa wzięła się od bohaterki książki Lewisa Carrolla „Po drugiej stronie lustra". Czerwona królowa radzi Alicji z Krainy Czarów, że „trzeba biec, ile sił, żeby zostać w tym samym miejscu", a żeby się znaleźć w innym miejscu, „trzeba biec co najmniej dwa razy szybciej". W kontekście biologicznym oznacza to, że aby uniknąć wymierania życie musi ciągle ewoluować.

Ich badania nad kilkunastoma grupami ssaków wykazały, że wszystkie one przechodzą swoisty cykl życia. Najpierw się rozwijają, osiągając maksymalną możliwą liczbę gatunków i różnorodność. W pewnym momencie jednak, kiedy ekosystem nie jest w stanie utrzymać tej różnorodności, tempo powstawania nowych gatunków spada, co prowadzi do wymierania. Oznacza to, że w dalszej perspektywie dominacja jednego gatunku jest nie do utrzymania. Aby utrzymać się przy życiu, gatunki muszą zatem ciągle „biec". Ten „wyścig zbrojeń" nigdy się nie kończy, kształtując zmienność biologiczną w różnych skalach przestrzennych i czasowych. A ludzie jako gatunek przestali „biec" ok. 25–50 tys. lat temu. Odtąd już tylko upadamy.

Czy wizja życia gatunków jako cyklu, który ma swój naturalny początek i koniec, nie jest sprzeczna z ewolucją, która przecież z zasady nie ma żadnego kierunku?

Tylko pozornie. W tym momencie dochodzimy do ortogenezy, popularnej szczególnie w XIX w. koncepcji „starzenia się" gatunków. Przez bardzo długi czas uważano, że był to ślepy zaułek nauki, ponieważ ortogeneza sugeruje jednokierunkowy charakter ewolucji. Jednak od jakiegoś czasu paleontolodzy dowodzą, że życie gatunków porusza się po pewnej trajektorii: pojawiają się, różnicują, a gdy stają się dominujące, stopniowo wymierają. Jeśli ortogeneza nie miałaby sensu, to jak wytłumaczyć ten cykl?

Przejdźmy do przyczyn, dla których ludzie prędzej czy później wymrą. Które są najważniejsze?

W XXI w. w dobie katastrofy klimatycznej dowody widać jak na dłoni. Ziemski ekosystem nie jest w stanie utrzymać zaawansowanej cywilizacji liczącej 8 mld ludzi. Wszyscy żyjemy na kredyt, którego nie jesteśmy w stanie spłacić. Spowodowane przez człowieka zmiany klimatu, zanieczyszczenie środowiska i przeludnienie doprowadzą do gospodarczej stagnacji, pogorszenia perspektyw życiowych, skurczenia się przyrostu naturalnego i ostatecznie katastrofy demograficznej.

Prognozy mówią, że już w połowie XXI w. populacja świata zacznie maleć. Może to dobra wiadomość, bo odciążymy ekosystem?

Nie. Spadająca dzietność oraz starzenie się społeczeństwa nałożą niewyobrażalny ciężar na gospodarkę i systemy emerytalne. Dość powiedzieć, że dziś na świecie żyje ok. 1,7 mld ludzi powyżej 65. roku życia. W 2100 r. będzie to 2,3 mld. A ponieważ istnieje silny związek między liczbą ludności w wieku reprodukcyjnym a PKB, perspektywy dostatniej, spokojnej starości w wielu krajach bogatego Zachodu stoją pod wielkim znakiem zapytania. To zaś będzie zarzewiem ogromnej niestabilności politycznej. Dlatego tak bardzo dziwi mnie popularność haseł antyimigranckich w Europie i Stanach Zjednoczonych. Nie trzeba być geniuszem, aby wiedzieć, że imigracja to szybki i stosunkowo łatwy sposób utrzymania PKB na zadowalającym poziomie. Liberalizacja polityki imigracyjnej to w dalszej perspektywie kwestia być albo nie być. ▶

eprasa.pl d6bf8a6782


© KIRSTINE BOWEN

Henry Gee – brytyjski paleontolog, biolog, wieloletni redaktor naukowego pisma „Nature". Autor książek „(Bardzo) krótka historia życia na Ziemi" i „The Decline and Fall of Human Empire" (ang. Zmierzch i upadek cesarstwa ludzkiego).

▶ Zaludnienie świata konsekwentnie rosło od początku cywilizacji. Dlaczego akurat teraz ten trend „zawraca"?

Spadek dzietności to miks wielu czynników środowiskowych i ekonomicznych. W skali makro jest to skutek reprodukcyjnych wyborów kobiet, wydłużającego się okresu edukacji, która jest negatywnie skorelowana z przyrostem naturalnym, oraz spadającej jakości męskiego nasienia w ujęciu globalnym. Ten ostatni czynnik dotyczy nie tylko bogatych społeczeństw Zachodu, jest zauważalny również w krajach Azji czy Afryki. Wciąż nie mamy satysfakcjonującej odpowiedzi, dlaczego tak jest. Może to być skutek zanieczyszczenia środowiska, zmian klimatu, uzależnienia od leków itd. Skoro problem jest globalny, to i przyczyna musi być powszechna.

Niektóre badania wskazują, że powodem może być urbanizacja. Historycznie bowiem *Homo sapiens* nie jest przyzwyczajony do życia w takim zagęszczeniu. Już dziś ponad połowa ludności świata mieszka w miastach, a ten współczynnik będzie tylko wzrastać. Tak czy inaczej, globalny spadek liczby ludności doprowadzi do cywilizacyjnego regresu, a w najlepszym wypadku do zastoju.

Dlaczego?

Jest takie powiedzenie, że wychowanie dziecka wymaga wysiłku całej wioski. Tak samo potrzeba było cywilizacji liczącej miliardy ludzi, aby wydać na świat Einsteina. Duże populacje mogą przekazywać tradycje i wynalazki jednego pokolenia następnym, bez ryzyka, że znikną one wraz z ludźmi. Przełomowe idee rodzą się w głowach jednostek, ale wprowadzenie ich w życie wymaga liczącej miliony ludzi „infrastruktury": troskliwych rodziców, inspirujących nauczycieli, naukowców, inżynierów, wsparcia technicznego, elektryków, hydraulików itd. Miliardy ludzi to również miliardy mózgów, więcej rozmów, więcej idei, szybszy ich obieg, a co za tym idzie – więcej innowacji.

Czy nie są to obawy na wyrost? Może mniejszą liczbę mózgów zrównoważy ich „jakość", czyli poziom wykształcenia i technologiczna biegłość.

Kiedy populacja zaczyna się kurczyć, w pierwszej kolejności traci wiedzę specjalistyczną. W społeczeństwie, którego członkowie rywalizują o kurczące się zasoby albo zmagają się ze skutkami katastrofy klimatycznej, eksperci od komputerów kwantowych albo neurochirurdzy są niepotrzebni. A nawet jeśli się uchowają, to nie będzie dość ludzi, by utrzymać tę bardzo specjalistyczną wiedzę w obiegu i przekazać ją dalej. Wedle niektórych prognoz do 2300 r. na Ziemi będzie żyć zaledwie 1 mld ludzi, tyle co w czasach Napoleona. Uważam, że przy tak niskiej populacji specjalistyczna wiedza niezbędna do produkcji samochodów, przetwarzania ropy naftowej, utrzymania sieci energetycznych, o internecie nie wspominając, zostanie utracona. Wrócimy do koni i wozów.

Przygnębiająca wizja. Jak temu zapobiec?

Długookresowe trendy nie pozostawiają wątpliwości, że populacja – szybciej bądź wolniej – będzie spadać. Jeszcze jedna ciekawa korelacja: przyrost liczby ludności w ujęciu globalnym zaczął wyhamowywać, gdy negatywne skutki zielonej rewolucji w rolnictwie (upowszechnienie nowych odmian pszenicy, ryżu, kukurydzy oraz intensywne metody upraw) zaczęły brać górę nad pozytywnymi. Zielona rewolucja z jednej strony pomogła wyżywić miliardy ludzi, lecz z drugiej nałożyła na ziemski ekosystem niewyobrażalne brzemię, choćby przez monokultury czy zużycie chemikaliów. Być może zapowiadana od dawna druga zielona rewolucja – oparta w dużej mierze na najnowszych osiągnięciach genetyki – znów podniesie populacyjny „sufit". Nie zapominajmy jednak o prostym fakcie, że powierzchnia Ziemi jest skończona i żadna technologia nie pozwoli liczbie ludności rosnąć w nieskończoność.

A więc?

W tych warunkach jakimś sposobem na przedłużenie istnienia gatunku ludzkiego byłaby kosmiczna ekspansja. Zdaję sobie sprawę, że w obliczu bieżących wyzwań brzmi to jak fantazja. Przeszkody, jakie ludzkość musiałaby pokonać, aby stworzyć i utrzymać trwałe siedliska, nawet na Księżycu, nie mówiąc już o innych planetach, są monstrualne – zaczynając od tego, że nikt nie wie, czy zajście w ciążę i urodzenie dziecka w warunkach kosmicznych jest w ogóle możliwe. Zgadzam się również z poglądem, że być może mądrzej byłoby przeznaczyć te siły i środki na zrównoważony rozwój i konserwację ekosystemów na Ziemi. Ale rozważmy to teoretycznie.

Gdyby udało się nam założyć i utrzymać poza Ziemią siedliska, które liczyłyby co najmniej 1 tys. mieszkańców, dałoby to szansę na biologiczne przetrwanie rodzaju ludzkiego przez bardzo długi okres. W dalszej perspektywie takie społeczności zaczęłyby się różnicować genetycznie, zachowując gatunkową solidarność. *Homo sapiens* miałby podobną strukturę populacji jak nasi praprzodkowie setki tysięcy lat przed migracją z Afryki.

Rozproszone w kosmosie małe kolonie walczących o przetrwanie ludzi to nie jest wizja świetlanej przyszłości.

Nie rozmawiamy o krainie wiecznej szczęśliwości, lecz o przetrwaniu w sensie biologicznym. Tak czy inaczej, kolonizacja kosmosu musiałaby ruszyć w ciągu najbliższego stulecia lub dwóch. Zanim populacja skurczy się do tego stopnia, że nie będzie już w stanie podtrzymać technologicznych innowacji i kreatywności niezbędnych do eksploracji kosmosu.

Ostatnia kwestia. Czy świadomość, że rodzaj ludzki przestanie istnieć, jest symbolicznym końcem przekonania o wyjątkowości człowieka?

I tak, i nie. Nie jesteśmy wyjątkowi, ponieważ tak jak inne gatunki zwierząt prędzej czy później wymrzemy. Co nas wyróżnia? To, że jesteśmy jedynym gatunkiem świadomym swojego miejsca we wszechświecie, a zatem możemy do pewnego stopnia decydować o swoim losie.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI



KUP TERAZ

Więcej o globalnych zagrożeniach w Niezbędniku Inteligenta **„CZAS APOKALIPSY"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl d6bf8a6782





Na każdy temat
z każdej strony
tokfm

eprasa.pl d6bf8a6782

Odcieki pod kontrolą

Czym grozi deszcz nad składowiskiem odpadów i jak temu tanio i skutecznie zaradzić, mówi dr inż. Aleksandra Wdowczyk, laureatka Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii nauki ścisłe.

KATARZYNA CZARNECKA: **– Ilość odpadów komunalnych z roku na rok wzrasta. Dlaczego?**

ALEKSANDRA WDOWCZYK: – Bo wraz ze wzrostem zamożności i urbanizacji zwiększa się intensywność konsumpcji. Poza tym stale rośnie liczba ludności na świecie. Jednocześnie ulega zmianie struktura odpadów – spory jest udział opakowań jednorazowych, tekstyliów i drobnej elektroniki, czyli produktów o bardzo krótkim cyklu życia. A systemy gospodarki odpadami nie rozwijają się w takim tempie, by sprostać skali problemu. W rezultacie luka między tym, co produkujemy, a tym, co jesteśmy w stanie przetworzyć, systematycznie się powiększa.

Czy wiele niebezpiecznych związków znajduje się na składowiskach?

Wcześniej w strumieniu odpadów komunalnych pojawiały się substancje niebezpieczne powstające w gospodarstwach domowych, np. farby, produkty do konserwacji pojazdów, baterie, leki, pozostałości zawierające rtęć i wiele innych. A to właśnie one stanowią potencjalne źródło bardzo różnorodnych zanieczyszczeń. Ogólnie się przyjmuje, że ilości te były niewielkie, a zatem ryzyko ich składowania powinno być znikome. Brakuje jednak dokładnych informacji na ten temat, a te, które posiadamy, są niejednoznaczne i nie pozwalają ocenić skali zjawiska. W przeciwieństwie do odpadów przemysłowych te z gospodarstw domowych dawniej nie były odpowiednio kontrolowane. Teraz są, i to dość ściśle.



Dr inż. **Aleksandra Wdowczyk** pracuje na Wydziale Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Przedmiotem jej badań są efektywne, tanie i przyjazne środowisku technologie oczyszczania odcieków ze składowisk odpadów komunalnych.

Zanieczyszczenia wciąż w nich jednak są. Także w odciekach składowiskowych, którymi pani się zajmuje.

Odcieki powstają w wyniku przesiąkania wody deszczowej przez warstwy odpadów. To złożona mieszanina substancji o różnych stężeniach. Skład zależy od wielu czynników, m.in. od rodzaju odpadów i stopnia ich stabilizacji, systemu gromadzenia, mechanizmów rozkładu, lokalizacji składowiska czy jego wieku. W wielu krajach, zwłaszcza rozwijających się, odcieki zawierają wysokie stężenia związków organicznych, co jest związane z wysokim udziałem tego typu odpadów. Są w nich też zanieczyszczenia nieorganiczne, zawiesiny, niekiedy substancje niebezpieczne. Do najczęstszych zwykle zalicza się azot amonowy, chlorki oraz siarczany. Rzadziej spotykane są metale ciężkie, kwasy huminowe, dioksyny, furany, pestycydy, ftalany czy związki stosowane w produkcji leków.

Mimo stosowanych zabezpieczeń odcieki powstają nie tylko w trakcie eksploatacji składowiska, lecz również przez wiele lat po jego zamknięciu. Dlatego gospodarka odciekami jest uważana za jeden z najważniejszych problemów technologicznych. Szczególnym zagrożeniem są wycieki, głównie z nielegalnych składowisk. Może jednak dojść do wycieku również z obiektów, np. w wyniku niewłaściwej eksploatacji, awarii systemów zbierania czy klęski żywiołowej. Mogą one spowodować zanieczyszczenie wód gruntowych, powierzchniowych i gleb.

Czy w tej chwili odcieki są w jakiś sposób oczyszczane?

Zgodnie z obowiązującymi w Polsce przepisami są zaliczane do ścieków przemysłowych, więc muszą zostać oczyszczone. Mogą być w tym celu transportowane do komunalnych oczyszczalni,

©TOMASZ LEWANDOWSKI/UPWR

eprasa.pl d6bf8a6782

oczyszczane w całości lub częściowo na miejscu albo zawracane na złoże odpadów (np. poprzez system rurociągów, a następnie zostaną rozprowadzone za pomocą zraszaczy lub linii kroplujących na hałdzie odpadów). Do oczyszczania odcieków stosuje się różne metody biologiczne, fizyczne, chemiczne i hybrydowe.

Chociaż oczyszczanie odcieków w miejscu ich powstawania jest uznawane za rozwiązanie najbardziej racjonalne technologicznie, w praktyce większość składowisk nadal kieruje je do komunalnych oczyszczalni ścieków, gdzie są oczyszczane ze ściekami bytowymi. Jest to rozwiązanie powszechne, ale kosztowne, i w dodatku energochłonne. Dlatego poszukuje się nowych, bardziej niezawodnych, ekonomicznych i bezpiecznych rozwiązań.

Jaki system pani proponuje?

Opiera się on na układzie hybrydowym. Kluczowym elementem jest tu podłoże. Testowaliśmy wiele materiałów, m.in. zeolit, biowęgiel, unieruchamiających zanieczyszczenia, sprzyjających rozwojowi biofilmu i wspomagających wzrost systemu korzeniowego roślin porastających składowiska. Po drugie, istotne są owe rośliny, które wspierają redukcję zanieczyszczeń, m.in. trzcina pospolita, pałka drobna, kosaćce. Ich korzenie zapewniają zaś naturalne środowisko do wzrostu i zatrzymywania mikroorganizmów.

Sugeruje pani, że odcieki mają także pozytywne oddziaływanie. Jakie?

Przeprowadzone przez nas testy fitotoksyczności wykazały, że mogą – ale tylko w niskich stężeniach – stymulować wzrost roślin. W każdym z analizowanych przypadków obserwowaliśmy lepszy (w porównaniu z próbką kontrolną) wzrost korzeni. Można to wyjaśnić wysokim stężeniem azotu w odciekach i obecnością innych składników odżywczych. Niektórzy badacze zwracali też uwagę na działanie hormonów i stymulację reakcji obronnych u roślin. Odcieki w wyższych stężeniach wpływały jednak na zahamowanie przyrostów długości korzeni i pędów badanych roślin.

Do dobroczynnych skutków zalicza pani także poprawę stanu błon komórkowych osadu czynnego. Co to konkretnie znaczy?

To dosyć ciekawe spostrzeżenie, ale wymaga dalszych, pogłębionych badań. Dotychczas wykonano niewiele analiz wpływu odcieków na skład bakterii w osadzie czynnym (czyli strukturze biologicznej, w której dominują bakterie, a uzupełniają ją pierwotniaki, wrotki, grzyby, glony, wirusy itd.). My nie tylko analizowaliśmy skład biocenozy bakteryjnej, lecz także przyjrzeliśmy się – za pomocą barwienia fluorescencyjnego – ciągłości błon cytoplazmatycznych bakterii osadu czynnego. Okazało się, że dodatek odcieków (nawet tych przed oczyszczaniem) nie wpłynął negatywnie na stan błon komórek bakterii. Wręcz przeciwnie – zaobserwowaliśmy niewielką poprawę. Są to jednak na razie wyniki wstępne, uzyskane w warunkach laboratoryjnych.

Jak problem z odciekami wygląda na świecie?

Istnieje wiele metod przetwarzania odpadów, ale ich składowanie, choć najmniej pożądane, wciąż pozostaje jedną z najczęściej stosowanych. Jest stosunkowo prosta, a w wielu krajach wymagania dotyczące bezpieczeństwa są bardzo niskie. Nieunikniona konsekwencja, czyli odcieki, staje się więc problemem globalnym.

Mówiła pani, że składowiska rosną, bo część odpadów nie jest poddawana recyklingowi. Czy powodem jest także to, że ludzie nie segregują odpadów albo robią to źle?

W 2024 r. szeroką kampanię edukacyjną przeprowadził Wrocław. Z udostępnionych przez miasto danych wynika, że ok. 60 proc. tego, co jest wyrzucane, stanowią odpady zmieszane, a jednocześnie aż 68 proc. tego, co trafiało do czarnego pojemnika, nie powinno się tam znaleźć. Wciąż tracimy ogromną ilość surowców, które mogłyby zostać ponownie wykorzystane. Warto więc rozważyć rozwiązania stosowane w krajach osiągających najwyższe poziomy recyklingu. W Korei Południowej mieszkańcy płacą nie za samą usługę odbioru, lecz za rzeczywistą ilość odpadów zmieszanych, jaką wytwarzają: im staranniej segregujesz, tym niższe ponosisz koszty. Jednak nawet najlepsza segregacja nie rozwiąże wszystkich problemów. Nadal część produktów i opakowań jest zaprojektowana w sposób utrudniający lub uniemożliwiający recykling.

Podwyższenie świadomości ekologicznej Polaków wymaga więc bardziej energicznych lub sensowniejszych działań?

Polacy dużo częściej niż kilkanaście lat temu deklarują, że segregują odpady. Kiedy jednak przyglądamy się twardym wskaźnikom, obraz jest bardziej złożony. W wielu gminach system jest mało intuicyjny albo zbyt obciążający. Po wprowadzeniu obowiązku wyodrębniania odpadów tekstylnych w wielu miejscach nie pojawiły się nowe pojemniki, a mieszkańcom zalecono dostarczanie tekstyliów do PSZOK-ów (punktów selektywnego zbierania odpadów komunalnych). Z braku realnego wyboru ci pozostawiali niepotrzebną odzież w kontenerach organizacji charytatywnych. Wciąż zatem brakuje codziennych nawyków – nie zawsze dlatego, że brakuje chęci, lecz dlatego, że system zbyt często utrudnia podejmowanie właściwych decyzji. Potrzebujemy więc takich rozwiązań, żeby właściwe postępowanie było najłatwiejszym i najbardziej oczywistym wyborem. ■

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2025
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2025
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
za KS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
TVP info
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl d6bf8a6782



Powstanie dekabrystów, obraz Georga Wilhelma Timma, XIX w.

Razem, ale osobno

Polacy porozumieli się z Rosjanami w sprawie obalenia władzy Romanowów. Niestety 200 lat temu nie skoordynowali swoich akcji zbrojnych.

VIOLETTA WIERNICKA

Płaszczyzną porozumienia pomiędzy Polakami i Rosjanami było rozczarowanie rządami Aleksandra I Romanowa. Był on wówczas także królem polskim (nie koronował się w Warszawie, bo uznał ceremonię za zbyteczną). Nadał utworzonemu na kongresie wiedeńskim Królestwu Polskiemu szeroką autonomię i liberalną konstytucję. Czynił aluzje, że przyłączy do niego Litwę, część ziem białoruskich, a może nawet Wołyń i Podole. Obietnicy nie spełnił, a konstytucję kilkakrotnie złamał, m.in. wprowadzając cenzurę prasy.

Jednym z zawiedzionych Polaków był mjr Walerian Łukasiński z 4. pułku piechoty, uczestnik insurekcji kościuszkowskiej i wojny 1812 r. Założył w Warszawie w 1821 r. Towarzystwo Patriotyczne, mające na celu odzyskanie niepodległości i połączenie ziem polskich z trzech zaborów. Zamierzał współdziałać z Rosjanami o opozycyjnych poglądach. Dowiedział się o nich od członków Towarzystwa z terenu obecnej Ukrainy.

Rzeczywiście, w cesarstwie wzrastało wówczas niezadowolenie wśród oficerów ze znamienitych rodzin szlacheckich – uczestników wojny 1812 r. i kampanii europejskiej w dwóch kolejnych latach, które zakończyły się klęską Napoleona i opanowaniem Paryża w marcu 1814 r. przez armię rosyjską i wojska sprzymierzone.

Dzięki pobytowi za granicą Rosjanie – jak napisał w swoim dzienniku dekabrysta Nikołaj Turgieniew – zrozumieli,

© AKG/EAST NEWS, POLONA, DP, ALAMY/BE&W (2)

eprasa.pl d6bf8a6782





Od lewej: **wjazd cesarza Aleksandra I do Warszawy. Portret Seweryna Krzyżanowskiego, jednego z przywódców Towarzystwa Patriotycznego.**

że „ustrój obywatelski może istnieć i królestwa mogą rozkwitać bez niewoli". Oficerowie spodziewali się, że Aleksander I uwolni chłopów z poddaństwa, bo bez udziału ludu niemożliwy byłby jego europejski triumf w latach 1812–15. Ale chłopi zostali z powrotem zapędzeni do niewolniczej pracy.

Rozczarowani wojskowi założyli dwa stowarzyszenia (nazwane później od nazwy miesiąca grudnia dekabrystami): bardziej umiarkowane Północne Towarzystwo i radykalne Południowe. Siedziba pierwszego znajdowała się w Petersburgu, a na jego czele stali poeta Kondratij Rylejew oraz oficerowie Siergiej Trubieckoj, Piotr Kachowski i Aleksander Bestużew. Program organizacji określała konstytucja autorstwa Nikity Murawjowa. Zakładała przewrót wojskowy, ustanowienie monarchii konstytucyjnej, powołanie dwuizbowego parlamentu i zniesienie poddaństwa.



Aleksander Bestużew

Siedziba Południowego Towarzystwa mieściła się w Tulczynie (wtedy gubernia podolska, dziś obwód winnicki w Ukrainie). Na jego czele stał płk Paweł Pestel, dowódca Wiackiego Pułku Piechoty. Był on też autorem dokumentu programowego „Prawda rosyjska" przewidującego dokonanie przewrotu wojskowego, zabójstwo Aleksandra I oraz członków jego rodziny, zniesienie stanów społecznych i pańszczyzny, uczynienie ziemi własnością wszystkich obywateli.



Nikita Murawjow

Właśnie do Południowego Towarzystwa Dekabrystów zamierzał wysłać emisariusza Łukasiński. Ale plany zniweczył jego areszt w 1822 r. (powodem były działalność niepodległościowa i odmówienie podpisania przez niego wyroku sądu wojskowego w Zamościu, co doprowadziło do konfliktu z wielkim księciem Konstantym, ówczesnym dowódcą armii polskiej). Wtedy na czele organizacji stanęli: płk Seweryn Krzyżanowski (uczestnik kampanii napoleońskiej w Hiszpanii w latach 1809–11 i wojny 1812 r.), Andrzej Plichta i Wojciech Grzymała (urzędnicy Rady Stanu Królestwa Polskiego), książę Antoni Jabłonowski i gen. Roman Sołtyk, także uczestnik kampanii rosyjskiej 1812 r.

Z nieznanych powodów Polacy nie nawiązali kontaktu z Rosjanami. Pierwszy krok zrobili dekabryści. Gdy w styczniu 1823 r., na corocznym zebraniu Południowego Towarzystwa, Bestużew-Riumin poinformował kolegów o istnieniu tajnej organizacji w Królestwie, upoważnili go do nawiązania kontaktu z jej członkami. Jako że rosyjscy oficerowie utrzymywali serdeczne kontakty z polską szlachtą w guberniach podolskiej i kijowskiej, ustalili, że do tajnego towarzystwa należy ich znajomy – hrabia Aleksander Chodkiewicz. Miał on zorganizować spotkanie ze swoim warszawskim kierownictwem.

Pierwsze negocjacje odbyły się w styczniu 1824 r. Polaków reprezentował płk Krzyżanowski, a Rosjan – Bestużew-Riumin i Murawjow-Apostoł. Jak twierdzi Leon Baumgarten, autor książki „Dekabryści a Polska", nasi rodacy byli nieszczerzy wobec potencjalnego partnera. To Rosjanie wykazali się gotowością do współpracy. Zadeklarowali, że nadadzą Królestwu Polskiemu niepodległość i przyłączą do niego gubernię grodzieńską, obwód białostocki, część guberni wileńskiej, mińskiej i wołyńskiej. W zamian Polacy mieli znieść pańszczyznę i ustanowić ustrój republikański. Na to Krzyżanowski odparł, że nie ma pełnomocnictw do decydowania o kształcie państwa polskiego. W rzeczywistości, jak utrzymuje Baumgarten, w Towarzystwie Patriotycznym „obawiali się programu reform społecznych dekabrystów". Przede wszystkim chodziło o zniesienie poddaństwa, bo wielu członków Towarzystwa, m.in. Ludwik Sobański i Aleksander Chodkiewicz, było właścicielami tysięcy chłopów pańszczyźnianych.

Poza tym Polacy zamierzali ustanowić monarchię konstytucyjną i osadzić na tronie wielkiego księcia Konstantego związanego z Królestwem poprzez małżeństwo z hrabianką Joanną Grudzińską. Dlatego Krzyżanowski nie zaakceptował kolejnego żądania dekabrystów – uniemożliwienia Konstantemu powrotu do Rosji, a w skrajnym przypadku zamordowania go. Ukrył jednak prawdziwy powód odmowy, oświadczając: „Polacy nigdy nie splamili się krwią swoich panujących".

Krzyżanowski przyrzekł, że zarząd Towarzystwa Patriotycznego rozpatrzy rosyjskie postulaty. Ale odpowiedź z Warszawy nie nadeszła. Wówczas Paweł Pestel zaczął podejrzewać Polaków o chęć wykorzystania Rosjan do realizacji własnych celów. Dlatego osobiście wziął udział w kolejnych negocjacjach w styczniu 1825 r. Warszawę reprezentował Jabłonowski. Aby ▶

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ przełamać opór Polaka, Pestel zapewnił, że celem dekabrystów jest wskrzeszenie Rzeczpospolitej. Zgodził się na granice sprzed drugiego rozbioru oraz zadeklarował pomoc w odzyskaniu Galicji i Księstwa Poznańskiego.

Wówczas – jak podczas późniejszego śledztwa zeznawali dekabryści – Jabłonowski zaczął kruszeć. Zgodził się na jednoczesne wzniecenie powstania wraz z Rosjanami, wprowadzenie ustroju republikańskiego na jeden rok i niedopuszczenie do powrotu księcia Konstantego do Rosji.

Wyniki rokowań zadowoliły dekabrystów. Szczegóły polsko-rosyjskiej współpracy miały być uzgodnione na spotkaniu w styczniu 1826 r., ostatnim przed powstaniem zaplanowanym na lato 1826 r.

Do tych rozmów nie doszło. Powodem była nagła śmierć Aleksandra I 1 grudnia (daty podajemy według nowego kalendarza gregoriańskiego) 1825 r. w Taganrogu nad Morzem Azowskim. Jego następcą był Konstanty, ale ten wcześniej zrzekł się tronu, aby otrzymać zgodę na ślub z Grudzińską. Dlatego kolejnym władcą miał zostać młodszy brat Mikołaj. Jednak zmianę kolejności sukcesji utrzymywano w tajemnicy, więc po zgonie Aleksandra I w Rosji zapanowało trzytygodniowe bezkrólewie: Konstanty nie chciał panować, a Mikołaj nie mógł włożyć korony, obawiając się oskarżeń o uzurpację władzy. Aby rozwikłać tę patową sytuację, w grudniu Mikołaj wystosował manifest do narodu rosyjskiego, w którym ogłosił przejęcie władzy i wytłumaczył zawiłości. Członkowie Północnego Towarzystwa Dekabrystów postanowili wykorzystać zamieszanie wokół tronu. 26 grudnia wzniecili powstanie. Nieudane. Jeszcze tego samego dnia wieczorem rozpoczęły się aresztowania spiskowców, których osadzono w Twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu.



Paweł Pestel



Walerian Łukasiński

Wieści o stłumieniu rewolty dotarły do Tulczyna. Mimo to południowi dekabryści postanowili działać. Liczyli na wsparcie Polaków, więc wysłali list do kierownictwa Towarzystwa Patriotycznego. Odpowiedzi nie dostali.

Na przełomie 1825 i 1826 r. wyruszyli w kierunku Kijowa z zamiarem przejęcia władzy. Pięć dni później ich pochód zatrzymało wojsko. Liderzy organizacji Paweł Pestel, Siergiej Wołkoński, Michaił Bestużew-Riumin, Wasilij Dawydow i Siergiej Murawjow-Apostoł zostali aresztowani i osadzeni w petersburskiej Twierdzy Pietropawłowskiej. Jednym z głównych zarzutów, jakie usłyszeli, była współpraca z polskim Towarzystwem Patriotycznym.

Bestużew-Riumin złożył zeznania w tej sprawie: „Rosja, ceniąc wyżej posiadanie szlachetnych sojuszników niż skrytych wrogów, po zakończeniu swojego przeobrażenia ofiaruje Polsce niepodległość. Zostaną wytyczone nowe granice, przy czym obwody słabo zrusyfikowane, które jeszcze nie są duchowo związane z Rosją, zostaną zwrócone Polsce”.

Przewiezieni do Petersburga członkowie Południowego Towarzystwa zaczęli składać zeznania także na temat współpracy z Polakami. Gdy wielkiego księcia Konstantego poinformowano o tych kontaktach, nie uwierzył. Utrzymywał, że Rosjanie wysuwają bezpodstawne oskarżenia wobec mieszkańców Królestwa, aby odwrócić uwagę od własnych przewinień. Musiał jednak podporządkować się Mikołajowi I. Aresztował 128 członków Towarzystwa Patriotycznego i powołał sąd sejmowy.

Sędziowie usiłowali zredukować winę spiskowców do minimum, przedstawiając pertraktacje z Rosjanami jako niezobowiązujące rozmowy i podkreślając, że idee wyznawane przez Polaków były zgodne z poglądami Aleksandra I. 22 maja 1828 r. wydano wyrok: „Towarzystwo Patriotyczne nie było konspiracją mającą na celu spełnienie zbrodni stanu”. Dlatego większość spiskowców uniewinniono, a przywódców organizacji, m.in. Grzymałę i Plichtę, skazano na trzy miesiące pozbawienia wolności. Najsurowszy wyrok – trzy lata i trzy miesiące więzienia – otrzymał płk Krzyżanowski.

Znacznie surowsze kary spotkały dekabrystów. Pestel, Kachowski, Bestużew-Riumin. Murawjow-Apostoł i Rylejew zostali powieszeni. 118 osób skazano na katorgę lub zesłano na Syberię, w tym 16 dożywotnio.

Tragiczne losy rosyjskich spiskowców wpłynęły na umysły młodych ludzi ze Szkoły Podchorążych, którzy zawiązali spisek, przygotowując powstanie. Wybuchło 30 listopada 1830 r. Żywili nadzieję, że rewolta w Królestwie doprowadzi do rewolucji w imperium. O popularności, jaką cieszyła się idea polsko-rosyjskiej współpracy, świadczyła zorganizowana przez Towarzystwo Patriotyczne manifestacja żałobna na cześć straconych dekabrystów. Jej datę – 25 stycznia 1831 r. – wybrano z rozmysłem, w tym dniu bowiem na Zamku Królewskim sejm obradował nad detronizacją Mikołaja I jako króla polskiego. Spodziewano się, że parlamentarzyści ugną się pod presją liczącej kilkadziesiąt tysięcy osób demonstracji, która wyruszyła spod pałacu Kazimierzowskiego, siedziby Uniwersytetu Warszawskiego.

Na jej czele szli studenci niosący na złożonych na krzyż karabinach czarną trumnę. Na niej leżał wieniec laurowy, na żałobnych tarczach widniały nazwiska straconych dekabrystów. Powiewały dwie białe chorągwie z czerwonymi napisami po polsku i rosyjsku „Za waszą i naszą wolność”. Gdy manifestacja dotarła do Zamku, sejm szybko podjął decyzję o detronizacji Mikołaja I i wydał następujące oświadczenie: „Naród polski jest niepodległym ludem i ma prawo temu koronę polską oddać, którego godnym jej uzna”. Litera „M” na sali sejmowej została odwrócona do góry nogami, co można interpretować dwojako: celowe znieważenie monarchy i „W” jak wolność. Zdjęto też dwugłowego orła rosyjskiego, a w jego miejscu powieszono Orła i Pogoń.

VIOLETTA WIERNICKA



KUP TERAZ

Więcej o skomplikowanych relacjach z Rosją przeczytasz w Pomocniku Historycznym **„POLACY I ROSJANIE. DZIEJE SĄSIEDZTWA”**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

© ALAMY/BE&W, POLONA

eprasa.pl d6bf8a6782

Prawdziwe bękarty wojny

Dziś Lubliniec jest miejscem stacjonowania Jednostki Wojskowej Komandosów. A w czasie drugiej wojny w jego okolicach wspólnie działali akowcy, sowieccy partyzanci i... niemieccy antyfaszyści.

PIOTR KORCZYŃSKI



© DP

Spadochroniarze sowieccy instruowani przez polskich chłopów

Kiedy w lipcu 1943 r. na froncie wschodnim trwała tytaniczna bitwa pancerna na Łuku Kurskim, na zapleczu frontu doszło do ważkiego wydarzenia. W Krasnogorsku z inicjatywy niemieckich komunistów, którzy przetrwali czystki Stalina i jego sojusz z Hitlerem, powstał Komitet Narodowy Wolne Niemcy. Dołączył do niego Związek Oficerów Niemieckich z takimi osobistościami jak wzięci do niewoli po bitwie stalingradzkiej feldmarszałek Friedrich Paulus i gen. Walther von Seydlitz-Kurzbach. W większości związek tworzyli jeńcy, którzy zdecydowali się na współpracę z Sowietami, ale byli też tacy, którzy przeszli na stronę nieprzyjaciela dobrowolnie.

Sowieci wysyłali ich, by siali dywersję i szykowali polityczny grunt w chylącej się ku upadkowi III Rzeszy, a ich droga często wiodła przez terytorium okupowanej Polski.

Czerwone spadochrony

Choć III Rzesza od końca sierpnia 1939 r. była oficjalnie sojusznikiem ZSRS, Stalin już w 1940 r. polecił przygotowywać wybranych niemieckich komunistów do przyszłych akcji w Niemczech. Mieli być forpocztą systemu niesionego na bagnetach Armii Czerwonej.

Agresja dotychczasowego sojusznika na Związek Sowiecki oddaliła te plany w czasie, a niemieckim komunistom, często będącym na służbie NKWD czy wywiadu wojskowego, przysporzyła dodatkowych obowiązków. Po zatrzymaniu blitzkriegu III Rzeszy pod Moskwą zimą 1941 r., a następnie klęsce pod Stalingradem na przełomie 1942 i 1943 r., Sowieci wzięli do niewoli tysiące niemieckich ▶

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ jeńców. Antyfaszyści z Niemiec otrzymali zadanie agitacji w obozach jenieckich. Marny to jednak przynosiło skutek, jak sami przyznawali – żołnierze wciąż byli przekonani, że gwiazda führera świeci mocno.

Wraz z kolejnymi klęskami i przesuwaniem się frontu na zachód sowiecki wywiad wojskowy, jak też NKWD zaczęły formować z Niemców deklarujących walkę przeciw nazistom grupy dywersyjne, które po przeszkoleniu spadochronowym rzucano za linię frontu z zadaniem dywersji, a przede wszystkim agitacji wśród żołnierzy Wehrmachtu. Niektóre z nich dostawały ambitniejsze zadanie dotarcia do Berlina i innych miast niemieckich, by tam przygotowywać grunt pod nadejście Armii Czerwonej. Jedne i drugie były przedsięwzięciami śmiertelnie niebezpiecznymi, a nawet samobójczymi.

Jaka była skala tych akcji? Trudno dokładnie powiedzieć bez dostępu do kremlowskich archiwów. Życie spadochroniarzy-dywersantów było często krótkie – zrzucani bez odpowiedniego rozpoznania, bez kontaktów, ginęli od razu w obławach lub wydawani przez wrogą im ludność. W 1944 r. i na początku 1945, kiedy takich desantów było najwięcej, dochodziło do nich najczęściej na ziemiach polskich w Generalnym Gubernatorstwie i obszarach wcielonych bezpośrednio do III Rzeszy. Niemieccy antyfaszyści czy komuniści by przetrwać, musieli nawiązać kontakty z operującymi na polskim terytorium oddziałami partyzanckimi – głównie sowieckimi i Armii Ludowej. Często jednak okazywało się, że jedyną siłą, dzięki której mogli przeżyć i mieć cień szansy na wykonanie zadania, była obca im ideowo Armia Krajowa.

Dowództwo Związku Walki Zbrojnej (później AK) odnosiło się do komunistycznych spadochroniarzy z rezerwą. W jednym z raportów do Londynu komendant główny AK gen. Stefan Rowecki „Grot" napisał: „Teren nasz jest coraz intensywniej zarzucany spadochroniarzami sowieckimi. W poszukiwaniu żywności dokonują oni napadów na wsie i drobne posterunki niemieckie. W odpowiedzi Niemcy wysyłają ekspedycje karne, paląc wsie podejrzane o pomoc Rosjanom i wycinając w pień ich ludność".

Meldunek pochodził z kwietnia 1942 r., kiedy Sowieci dopiero rozkręcali swoje akcje dywersyjne. Dwa lata później w Polsce to już było właściwie zjawisko masowe. Wysyłano tu również grupy złożone z Polaków – desantowanych przez Sowietów w celach wywiadowczych, dywersyjnych i coraz częściej – politycznych. Wojenna skomplikowana rzeczywistość, a przede wszystkim działania antypartyzanckie Niemców wymuszały lokalne sojusze. Bywało, że spadochroniarze sowieccy zasilali oddziały AK albo akowcy stawali się ich przewodnikami. Do takich sytuacji często dochodziło na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy: Wielkopolsce, Pomorzu czy Śląsku.

Pod przewodem tyrolskiego patrioty

Grupa dywersyjno-wywiadowcza Andreas Hofer w nocy z 22 na 23 sierpnia 1944 r. została zrzucona na spadochronach pod Radomskiem. Tworzyło ją pięciu niemieckich komunistów, którzy obrali sobie na patrona Andreasa Hofera – tyrolskiego separatystę pragnącego niepodległości Tyrolu i rozstrzelanego w 1810 r. Dowódcą grupy był Joseph Gieffer „André", najstarszy i najbardziej doświadczony „zawodowy rewolucjonista", który zagrożony aresztowaniem w Nadrenii za organizację strajków przeciw francuskiej okupacji uciekł w 1923 r. do Związku Sowieckiego. Po przeszkoleniu został wysłany do... Stanów Zjednoczonych ogarniętych wielkim kryzysem, by agitować robotników, a stamtąd wrócił do Rosji.

Pozostali czterej – Ferdinand Greiner „Willi", hamburczyk Rudolf Gyptner „Max", Arthur Hoffman „Ernst" i Bawarczyk Josef Kiefel „Fritz" – również jako ideowi komuniści po perypetiach z policją Republiki Weimarskiej wylądowali ostatecznie w Związku Sowieckim. Spośród nich Greiner miał doświadczenie wojskowe, gdyż był weteranem brygad międzynarodowych w wojnie domowej w Hiszpanii, a Hoffman – więzienne, gdyż przesiedział 11 miesięcy w areszcie moskiewskiego NKWD, nim uznano, że nie jest szpiegiem i pozwolono mu działać w Komunistycznej Partii Niemiec w Moskwie.

Zadanie mieli ambitne: po zrzucie na terytorium Generalnego Gubernatorstwa, z pomocą polskich partyzantów i sowieckich zwiadowców, mieli się przedrzeć przez granicę na ziemie wcielone do Rzeszy i zorganizować bazę dla łączności radiowej i kolejnych grup dywersyjnych. Ponadto prowadzić w miarę możliwości agitację antyhitlerowską pośród niemieckich żołnierzy. A w dalszym etapie „André" i „Max" mieli wyruszyć do Berlina, by tam organizować siatkę wywiadowczą, a „Ernst" dostał rozkaz dotarcia do Królewca z podobnym zadaniem.

Jeśli przeżyć, to z AK

Zrzutowisko dla grupy pięciu Niemców przygotowali i obstawili żołnierze AL pod dowództwem Bolesława Boruty „Hanicza", szefa Częstochowsko-Piotrkowskiego Okręgu AL wespół z sowieckimi zwiadowcami z grupy rozpoznawczo-dywersyjnej Armii Czerwonej kpt. Anatolija Niewojta „Anatola". Na polskich partyzantach i sowieckich zwiadowcach piątka Niemców nie zrobiła najlepszego wrażenia: w sowieckich mundurach jak spod igły, bez znajomości języka polskiego i doświadczenia partyzanckiego chcieli przedostać się w rejon Tarnowskich Gór, bo według informacji, jakie otrzymali w Moskwie, w tych okolicach miało ukrywać się ok. 200 dezerterów z Wehrmachtu. Liczyli na to, że dzięki owym dezerterom łatwiej im będzie wykonać zadania, a może nawet stworzą z nich oddział partyzancki.

Wiadomości o dezerterach okazały się prowokacją agenta Abwehry i Gestapo, Karola Seemanna „Janka", któremu udało się przeniknąć do AL i zostać dowódcą jej Obwodu V Śląskiego. W wyniku jego działań w ręce Gestapo dostał się cały Komitet Obwodowy i wielu członków z komitetów okręgowych PPR, razem 250 ludzi. Okazało się, że na zachód od rzeki Warty nie ma żadnych oddziałów AL. Postanowiono jednak, że grupa Andreas Hofer wyruszy w kierunku Tarnowskich Gór, a wraz z nią pójdzie kapitan Niewojt ze swymi zwiadowcami. Uchwycono się nadziei, że znajdą pomoc ze strony AK, która na terenach wcielonych do Rzeszy była jedyną realną siłą. Nie pomylono się.

Pięciu niemieckich antyfaszystów miało w swej na poły samobójczej misji szczęście, że los zetknął ich z wyjątkowym dowódcą AK. Józef Karpe „Tadeusz", były powstaniec śląski i starszy sierżant Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r., był dla władz niemieckich w Lublińcu wrogiem numer jeden. Z ludzi takich jak on, byłych powstańców śląskich, uchylających się od służby w Wehrmachcie i dezerterów zorganizował grupę, która w 1942 r. podporządkowała się dowództwu śląskiego AK. Szybko rozrosła się w oddział (weszli doń też zbiegli jeńcy sowieccy) liczący 39 ludzi, który stał się

eprasa.pl d6bf8a6782



© AKG/FORUM

Członek Partii Komunistycznej Walter Ulbricht przemawia do niemieckich żołnierzy w rosyjskim obozie jenieckim, 1943 r.

częścią Kedywu Inspektoratu AK Tarnowskie Góry.

„Tadeusz" okazał się znakomitym dowódcą, a swą pozycję ugruntował brawurową akcją na koszary w Lublińcu. Jak wspominała jego żona Hildegarda Karpe, także konspiratorka AK pod pseudonimem „Hilda": „W koszarach w Lublińcu w latach 1943–44 była kompania ozdrowieńców, wśród których znajdowali się również Polacy (...). Przychodzili do nas w niemieckich mundurach, byli przymusowo wcieleni do służby w wojsku niemieckim. Współpracowali z mężem, donosząc mu o różnych wydarzeniach i sprawach. Te wiadomości pozwoliły oddziałowi na dokonanie głośnego napadu na koszary". 15 maja 1944 r. żołnierze oddziału „Tadeusza" w niemieckich mundurach przedostali się na teren koszar, w których stacjonowało niemal dwa tysiące wojska, i na dziedzińcu otworzyli ogień z peemów oraz obrzucili granatami baraki, wywołując panikę. Nim ją opanowano i zorganizowano obławę, rozpłynęli się w okolicznych lasach. Na tym „Tadeusz" nie poprzestał. Były akcje wymierzone w transporty kolejowe, potyczki z żandarmerią i wojskiem oraz wyroki na konfidentach i agentach Gestapo.

Zwiadowcy kpt. Niewojta po przekroczeniu kordonu odgraniczającego Generalne Gubernatorstwo od ziem wcielonych do Rzeszy pod Lublińcem natknęli się na akowców i pięciu niemieckich antyfaszystów trafiło pod opiekę „Tadeusza". Umieścił ich – jak to się wtedy mówiło – na melinie w Lublińcu. Oprócz schronienia zapewnił im dystrybucję wśród żołnierzy niemieckich ich ulotek Komitetu Wolne Niemcy.

Po latach Josef Kiefel wyrażał się o „Tadeuszu" w superlatywach: „On nam naprawdę ogromnie dużo pomógł. Był szczery, uczciwy... Polubiliśmy się po prostu, zwyczajnie, po ludzku".

Tam i z powrotem

Okupanci zaalarmowani wzmożoną aktywnością polskiego podziemia i niepokojącymi wieściami o niemieckich komunistach nasilili akcje antypartyzanckie i represje. W nocy z 17 na 18 października Niemcy otoczyli oddział „Anatola" pod Janią Górą nieopodal Droniowiczek. Po nierównej walce zginęło 10 zwiadowców wraz z dowódcą kpt. Niewojtem. Ostatnia zginęła radiotelegrafistka Rozalia Majorowa „Natasza", wysadzając się granatem wraz z radiostacją. Niemcom udało się pojmać jedynie dwóch ciężko rannych zwiadowców, którzy nie zdradzili nikogo i zostali rozstrzelani. Po rozprawie z grupą „Anatola" Niemcy rzucili siły przeciw „Tadeuszowi". Jego oddział poszedł w rozsypkę, ale sam „Tadeusz" pozostał nieuchwytny.

Pięciu niemieckich antyfaszystów znalazło się w krytycznej sytuacji, lecz nadal mogli liczyć na miejscowych konspiratorów AK, którym „Tadeusz" nakazał pomoc „niemieckim bratankom". Ci o swym tragicznym położeniu powiadomili przez radiostację Moskwę. Centrala początkowo nie chciała słuchać o zakończeniu misji – otrzymali surrealistyczny rozkaz przedarcia się do Berlina i tam dalszego prowadzenia misji. W końcu wysłuchano ich monitów – mieli się rozdzielić, śledzić przez pewien czas poczynania i ruchy nieprzyjaciela, a następnie wrócić do Generalnego Gubernatorstwa, by przejść linię frontu. Niestety nie udało się przeżyć Josephowi Giefferowi i Rudolfowi Gyptnerowi, którzy ukrywali się w gospodarstwie żołnierza „Tadeusza" – Rocha Kurpierza. Wszyscy trzej zginęli w walce z niemiecką obławą. Pozostali Niemcy po wielu perypetiach zdołali przedrzeć się przez kordon i ukrywani przez Polaków doczekali sowieckiej ofensywy w styczniu 1945 r.

Najdłuższą odyseję przeżył Josef Kiefel. Zgubiwszy swych towarzyszy broni, postrzelony przez żandarma, przeżył dzięki pomocy mieszkańców wsi Kuźniaki w Świętokrzyskiem, gdzie 15 stycznia 1945 r. doczekał oddziałów Armii Czerwonej. Jak wspominał po latach, nikt go nie wydał, choć wszyscy wiedzieli, że jest sowieckim partyzantem. Jakie było zdumienie chłopów, kiedy dowiedzieli się, że prawda jest bardziej skomplikowana, gdyż „ich partyzant", jak go nazywali, to rodowity Niemiec.

Kiefel wrócił do Związku Sowieckiego. Z dwoma ocalałymi towarzyszami – Arthurem Hoffmanem i Ferdinandem Greinerem spotkał się dopiero w 1946 r. już w Niemczech. A wszyscy trzej odwiedzali w Lublińcu swego dobroczyńcę – Józefa Karpego „Tadeusza".

PIOTR KORCZYŃSKI

Korzystałem z: „Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945", tom II: „Czerwiec 1941 – kwiecień 1943"; Ewa Ziegler-Brodnicka, Wojciech Brodnicki „Sprzymierzeni z nocą. Kulisy działalności grupy dywersyjno-wywiadowczej »Andreas Hofer« w latach 1944–1945"; Piotr Korczyński „Dzika dywizja. Historia czerwonych beretów".



Więcej historii z czasów drugiej wojny światowej znajdziesz w pakiecie naszych Pomocników Historycznych. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl d6bf8a6782



scena

The best of Klata 4/6

Tadeusz Miciński, **Termopile polskie**, reż. Jan Klata, Teatr Narodowy w Warszawie

Jerzy Grzegorzewski działalność Teatru Narodowego w odbudowanej siedzibie rozpoczął premierą „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego dokładnie 232 lata od pierwszego spektaklu założonego przez króla Stanisława Augusta Teatru Narodowego. Jan Klata swoją dyrekcję zainaugurował premierą „Termopil polskich" Micińskiego w 260. rocznicę. I znów jest podniośle, z lekcją polskiej historii, z wykorzystaniem całej maszynerii Narodowego – a tym razem nawet całego teatru, którego ściany zdobią nasprejowane cytaty ze sztuki oraz hasła wsparcia dla Ukrainy, a wchodząc po schodach, depczemy wizerunki Putina – i ze swoistym „the best of" reżysera – dyrektora. Sztuka Micińskiego, którą Klata zrealizował po raz pierwszy tuż po rosyjskiej aneksji Krymu (w Teatrze Polskim we Wrocławiu), to wizja upadającej ojczyzny, jakiej doświadcza przed śmiercią (dla jednych bohaterską, dla innych bezsensowną, bo odmówił ewakuacji) w bitwie pod Lipskiem książę Józef Poniatowski. W Narodowym książę (**Karol Pocheć**) w wojskowej zieleni umiera na zaoranym polu – masowym grobie, ścigany przez drona z kamerą, a widowiskowy, świetnie grany i za długi spektakl rozpoczyna scena z Polską/Witą (**Anna Grycewicz**) i Małym powstańcem (**Arkadiusz Pyć**). W tle gra metalowy zespół Gruzja. Klata inscenizuje cykl wydarzeń, które doprowadziły do upadku Polski – ku przestrodze. Targowiczanie śpiewają „Żeby Polska była Polską" Jana Pietrzaka, król Stanisław August (Jan Frycz w dublurze z Jerzym Radziwiłowiczem) kluczy i zwleka niczym dzisiejsi liberałowie, a gdy jest już za późno, intonuje hymn; w rozmowie z prymasem zastanawiają się, dokąd wyjechać, jak dzisiejsza klasa średnia, do tego przegrane powstania i kraj-cmentarz. Zachłanną Rosję uosabiają caryca Katarzyna (Danuta Stenka) w sukni z kilkumetrową krynoliną i kniaź Potiomkin (Oskar Hamerski). Już zajęli Krym, Polska będzie następna. Słaba, skłócona, łatwa do rozgrywania. Na finał: piosenka „Que sera, sera".

ANETA KYZIOŁ

scena

Dorian i social media 5/6

Elżbieta Sikora, **Dorian Gray**, libretto i reż. David Pountney, kier. muz. Jacek Kaspszyk, Teatr Wielki w Poznaniu

Prapremiera nowego dzieła polskiej kompozytorki mieszkającej w Paryżu i brytyjskiego reżysera z polskim obywatelstwem to wydarzenie na polskiej scenie operowej. Choć wychodzi od znanej powieści Oscara Wilde'a, odbiega od niej, wrzucając bohatera do współczesnego żarłocznego świata mediów społecznościowych. Portret Doriana Graya (**Rafał Żurek**) jest tu zdjęciem, a Basil (Michał Partyka) – nie malarzem, lecz fotografem. Zdjęcia zostają upublicznione, a uroda pozującego staje się obiektem uwielbienia, ale i hejtu. Ten mechanizm wtrąca do piekła równie skutecznie jak niegdyś deprawacja, dlatego też w operze nie ma postaci lorda Henry'ego Wottona, który w książce odgrywa wobec Doriana demoniczną rolę. Postać Sibyl (świetna Joanna Freszel) również skrajnie różni się od książkowej: w operze jest uzależniona od social mediów, zakochuje się w zdjęciu Doriana i odnajduje go w realu, by doświadczyć odrzucenia z jego strony – „książę z bajki" sam czuje się ofiarą napaści ze strony nieznajomej osoby. W rezultacie, jak w książce, dziewczyna popełnia samobójstwo. Pełna napięcia i niepokoju muzyka Sikory, w której ważną rolę odgrywają perkusja i chór, oddaje gorączkę naszych czasów. Fascynująca i trudna w realizacji jest inscenizacja, w której część bohaterów przemawia z ekranów (na żywo, w zbudowanej za kulisami dodatkowej scenografii), a obok nich, jak w komputerze, przepływają komentarze pełne ubóstwienia i nienawiści.

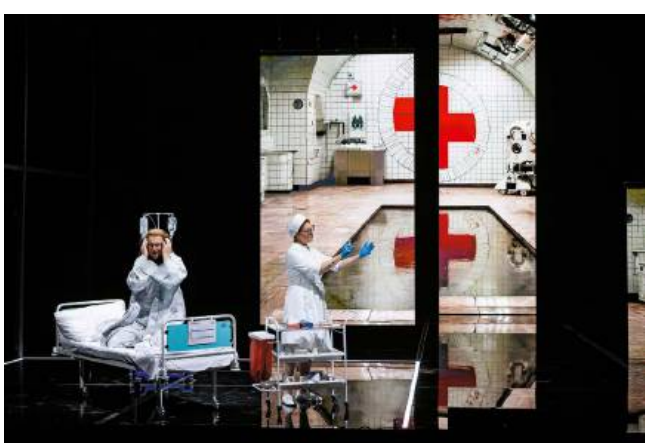

Współczesny Dorian Grey pada ofiarą mediów społecznościowych. Portret jest tutaj fotografią.

DOROTA SZWARCMAN

eprasa.pl d6bf8a6782

film

Czcij ojca swego 4/6

Brat, reż. Maciej Sobieszczański,
prod. Polska, 100 min, w kinach od 5 grudnia

Można by rzec: kino moralnego niepokoju w pełnej krasie, ale to krzywdzące uproszczenie. Sposób prowadzenia ruchliwej kamery, jakby śledzącej poczynania rodziny trzymanej żelazną ręką przez niewidocznego ojca tyrana, wskazuje na precyzję realizatorów świadomie korzystających z doświadczeń kina braci Dardenne. W istocie „Brat" także jest rodzinnym moralitetem, mocno zakorzenionym w patriarchalno-katolickiej Polsce, cierpiącej z powodu nieprzepracowania tradycyjnego modelu opartego na męskim autorytecie i brutalnej sile. Maciej Sobieszczański dozuje napięcie, budując gęstniejącą atmosferę zastraszenia i osaczenia. Kładzie też nacisk na budzące się w dorastających synach oraz ich matce desperackie pragnienie wyrwania się spod władzy siedzącego w więzieniu przestępcy. Groza sytuacji, etyczne konsekwencje trudnych wyborów – wszystko tu zmierza w stronę współczesnej tragedii, z nadzieją na finał przełamujący egzystencjalny klincz. Nie byłoby tego efektu, gdyby nie wysiłek całego zespołu aktorskiego z Agnieszką Grochowską i uhonorowaną w Gdyni kreacją **Filipa Wiłkomirskiego** na czele.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



film

Walka o spokój 5/6

Sny o pociągach (Train Dreams), reż. Clint Bentley,
prod. USA, 102 min, Netflix



Medytacja o złożoności, tragizmie, ulotności ludzkiego losu, wsłuchana w podteksty i rytm poetyckiej prozy dwukrotnie nominowanego do Nagrody Pulitzera Denisa Johnsona, śmiało może się ubiegać o miano najsubtelniejszego filmu roku. Upływ czasu, chwile radości, dobrze znany motyw życia jako nieustającej wędrówki zderzają się tu z tajemniczym, złowrogim pięknem natury, tworząc mistyczne widowisko w stylu Terrence'a Malicka. Sercem „Snów o pociągu" jest strata, ból przemijania, tęsknota za wielką niespełnioną miłością amerykańskiego pioniera zatrudnionego przy wycince majestatycznych świerków, gdy budowano kolej żelazną łączącą północ z południem (wybitna rola **Joela Edgertona**). Osierocony w młodym wieku bohater nie może się pogodzić z tym, że żywioł odebrał mu żonę i dziecko, skazując na wieczną samotność. „Bogu pustelnik w lesie jest potrzebny tak samo jak kapłan przy ołtarzu" – wspomina, a ta myśl staje się symbolem jego heroicznej walki, by osiągnąć dojrzałość i spokój. Niezwykle wrażliwy jak na hollywoodzkie standardy obraz daje niemałą satysfakcję poznawczą, otwiera pole do filozoficznych dociekań, pozostawia też miejsce na dystans, co powinno zachęcić widzów poszukujących niecodziennych wrażeń do uważniejszego przyjrzenia się peregrynacji filmowego drwala. JW

serial

Początek końca 4/6

Stranger Things 5 – część 1,
twórcy: Duffer Brothers, 4 odc., Netflix

Finał osadzonego w latach 80. XX w. młodzieżowego horroru retro, który stał się wielkim hitem Netflixa, wykracza poza ramy prezentacji zwykłego sezonu. Odsłaniany jest w trzech częściach: cztery odcinki już są, ciąg dalszy na Boże Narodzenie, a ostatni odcinek – w Nowy Rok. Rzecz pokazuje zarazem, jak mocno trzeba się napracować, żeby mały pomysł na serial zręcznie kompilujący przeróżne popkulturowe wątki – od historii Stephena Kinga, przez motyw bohaterów gry „The Last of Us", sceny z „E.T." Spielberga, aż po horrory Johna Carpentera – rozciągnąć w epopeję. Fabularnie oczywiście nie służy to historii, już nie tyle dziwnej, ile rozpadającej się logicznie w wielu miejscach. Bracia Dufferowie nadrabiają to dynamiką, atmosferą, kolejnymi nawiązaniami i rosnącą galerią różnorodnych młodzieżowych bohaterów (większość z nich nieźle zniosła dorastanie, choć niektórych trzeba tu odmładzać różnymi zabiegami). Jak zawsze chodzi o rozprawę ze złem pochodzącym z „drugiej strony", czyli potwornego rewersu spokojnego miasteczka Hawkins. Tyle że w wariancie ostatecznym. Towarzyszy nam jak zwykle atrakcyjna ścieżka dźwiękowa i choć nie udało się przebić motywu Kate Bush z poprzedniej serii (tu wraca), to możemy się cieszyć z polskiego akcentu – utworu Julka Ploskiego w scenie pościgu rozpędzonym autem. Przywiązana widownia dojedzie do końca tej historii, nawet jeśli na oparach.

BARTEK CHACIŃSKI



© KAROLINA JÓŹWIAK, BARTEK BARCZYK/TEATR WIELKI W POZNANIU, ŁUKASZ BĄK, NETFLIX (2)

eprasa.pl d6bf8a6782



Cnoty niewieście 5/6

Dominika Buczak, **Parasolki**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, s. 400



Można się gorzko uśmiechnąć, gdy bohaterki nowej powieści Dominiki Buczak utyskują, że „dziewiętnasty wiek skończył się parę lat temu", a mimo to kobiety nadal muszą się dopraszać o równe traktowanie. „Najpierw Polska, potem Polka" – zgadzają się niektórzy bojownicy o palące i słuszne sprawy (głównie mężczyźni) w Polsce zaborowej. Świetnie się czyta tę fabularyzowaną opowieść o narodzinach niezależności kobiet, gdy jeszcze cisnęły stereotypy płci i gorsety. To nie jest podręcznikowa historia o mitycznych sufrażystkach i górnolotnych ideach, ale o kobietach z krwi i kości. Ireny już do niczego nie trzeba przekonywać, cytuje na okrągło Narcyzę Żmichowską, urządza wieczorki i pogadanki na chwałę równego dostępu do edukacji, z czasem nabiera pewności, że istotne są też prawa wyborcze i polityka. Bierze pod opiekę Stasię, osieroconą kuzynkę, która pobierała tradycyjne nauki i wbrew ciotce nie chce studiować, aktywizm nie zaprząta jej głowy. Jest tu jeszcze Wanda, konspiracyjna działaczka, przemycająca broń pod sukienką niemal na oczach rosyjskich żandarmów. I cała galeria kobiet, o których stopniowo dowiadujemy się więcej, bo to powieść złożona ze szkatułek, wtrąceń, wspomnień. A w tle, rzecz jasna, Nałkowska, Orzeszkowa, Dulębianka, Konopnicka, na dokładkę wąsaty Piłsudski. Buczak zdaje sobie sprawę, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, łatwiej emancypować się w warszawskim pałacu niż na wsi, łatwiej teoretyzować, niż działać, ale i generalnie łatwo oceniać bez baczenia na kontekst i okoliczności. Powieść, pozytywistyczna z ducha, jest i wciągająca, i – znów gorzka konstatacja – potrzebna.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

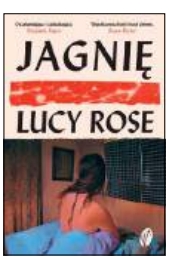

Głód i pożądanie 4/6

Lucy Rose, **Jagnię**, przeł. Dawid Świonder, Wydawnictwo StoryLight, Kraków 2025, s. 320

Na skraju lasu, z dala od ciekawskich sąsiadów i uczęszczanych szlaków, mieszkają 11-letnia Margot i jej matka Ruth. Żyją skromnie, starają się nie rzucać w oczy. Kobieta okazjonalnie przyjmuje kochanków, dziewczynka chodzi do szkoły, lecz nie nawiązuje bliskich relacji. I tylko gdy nadarzy się okazja – zagubieni w lesie wędrowcy, młodzi ludzie, którzy uciekli z domu – Ruth i Margot zapraszają ich do domu, by nasycić nieposkromiony głód ich mięsem. „Jagnię", debiutancka powieść Lucy Rose, wpisuje się w prężny nurt młodego feministycznego horroru. A gatunek ten sprawdza się jako metafora tłumionych potrzeb i głęboko skrywanych lęków. Kanibalizm bohaterek jest tu więc oczywistą (chwilami aż nazbyt) manifestacją nieokiełznanego pożądania (zwłaszcza gdy w domu kobiet pojawi się nieznajoma Eden, w której zakocha się Ruth), a w przypadku Margot – symbolem okresu dojrzewania, gdy zderzają się ze sobą potrzeba bliskości i chęć uwolnienia od matczynej opieki. Brytyjska pisarka nie stawia na fabularne zaskoczenia, za to nadaje swojej powieści kształt bardzo mrocznej, perwersyjnej i głęboko przejmującej baśni: piękno i odraza, liryzm i turpizm idą tu w parze, przywołując skojarzenia z „Do ostatniej kości" Camille De Angelis (książkę zekranizował Luca Guadagnino), a także z oniryczną prozą autorek z Ameryki Łacińskiej, z Marianą Enríquez i Agustiną Bazterricą na czele.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Słowacki w Cytadeli 5/6

Paweł Kozioł, **Azard**, Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2025, s. 380

W swojej powieści Paweł Kozioł, 46-letni autor znany wcześniej raczej jako poeta i krytyk, przypomina persony związane z (prawdziwymi czy domniemanymi) terrorystycznymi zamachami z pierwszej połowy lat 20. XX w. Komunistycznym ofiarom wymiaru sprawiedliwości II RP poświęcali swoje utwory i Władysław Broniewski (wiersz „Na śmierć rewolucjonisty"), i Wanda Wasilewska (powieść „...że padliście w boju"). Jego rozgrywająca się głównie w Warszawie powieść „Azard" nie jest ich negatywem, to utwór polifoniczny, w którym wybuch prochowni na Cytadeli w 1923 r., proces oficerów Wieczorkiewicza i Bagińskiego oraz zamach Kniewskiego, Hibnera i Rutkowskiego na policyjnego prowokatora ukazywane są z punktu widzenia wielu różnych świadków i śledczych, manipulujących i manipulowanych, a wreszcie sprawczego ducha wieszcza – skądinąd ulubionego poety Józefa Piłsudskiego.
Warszawskich kryminałów retro wyprodukowano w nowym stuleciu już chyba ze dwa tuziny, tu jednak najwyraźniej chodzi także o całkiem poważne odwołania do romantyzmu – w tym przypadku właśnie do dzieła Juliusza Słowackiego. Masa tu smaczków literackich, kryptocytatów i świadomych anachronizmów (Strug, Słonimski, Lechoń – ale też powojenny Stawiński w przypadku Żoliborza Oficerskiego). To wszystko przy jednoczesnym zachowaniu szacunku do realiów i języka dwudziestolecia stanowi, że bliżej postmodernistyczemu „Azardowi" do poematu „Wypiór" Grzegorza Uzdańskiego o wampirycznym Mickiewiczu w Warszawie niż do detektywnych powieści Kalinowskiego, Lewandowskiego czy Duszyńskiego.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

© ALBERT ZAWADA, MP (8)

eprasa.pl d6bf8a6782

muzyka

Dziki i szeroki 5/6

Tomasz Stańko, **Polish Radio Sessions 1970–91**, Polskie Radio

To najlepszy rok dla miłośników muzyki Tomasza Stańki od czasu pożegnania naszego jazzmana siedem lat temu. Dawno nie ukazało się tyle niepublikowanych dotąd nagrań – najpierw dwie części kopenhaskich sesji nagrywanych w 2016 r. ze Scandinavian Art Ensemble (nakładem April Records), później „Wstęp wzbroniony", płyta z Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji Studio S-1 pod dyr. Andrzeja Trzaskowskiego. Trudno jednak przebić sześciopłytowy zestaw radiowych sesji Stańki zebrany przez lata w instytucji, która zapewniała jazzmanom dobrą atmosferę i godziwe honoraria. Polskie Radio miało już serię „Polish Radio Jazz Archives", ale Stańki w niej brakowało – i nowy zestaw uzupełnia te braki z nawiązką. Podzielony został na etapy. Pierwszy, utwory z lat 1970–71 grane przez klasyczny kwintet, ucieszy nawet mniej wtajemniczonych – w krótkich, kilkuminutowych, rzeczywiście „radiowych" wersjach znanych tematów opowiada początki Stańki jako lidera. Dalej mamy sesje z Czesławem Bartkowskim i Adamem Makowiczem na trąbkę, perkusję i pianino elektryczne, we współpracy, którą sam Makowicz opisuje jako „owocną, intensywną i krótką". Absolutnym odkryciem jest „Zamek mgieł", bardzo oryginalny, improwizowany program nagrany z Bartkowskim i saksofonistą Tomaszem Szukalskim. Miłośnicy improwizacji obowiązkowo powinni sięgnąć po duetową sesję Stańki z kontrabasistą Witoldem Szczurkiem. A jest tu jeszcze jazzrockowy Stańko z klubu Akwarium i elektroniczny – z towarzyszeniem Janusza Skowrona i Tadeusza Sudnika. Muzyka wybitnego trębacza pokazana w całej szerokości jego zainteresowań. Jeśli kogoś przyciąga którykolwiek jej aspekt, powinien ten zestaw mieć. BCH



festiwal

Dekada Jordanek

Gala Jubileuszowa – 10-lecie CKK Jordanki, Toruń, 5–7 grudnia

To jeden z ciekawszych architektonicznie obiektów kulturalnych w Polsce ostatnich lat. Nowoczesny gmach Toruńskiego Centrum Kulturalno-Kongresowego Jordanki, zaprojektowany przez hiszpańskiego architekta Fernando Menisa, mieści salę koncertową na 882 osoby, salę kameralną na 287 widzów i trzy modularne sale konferencyjne. Spotkał się z uznaniem ze strony specjalistów od architektury, od Nagrody SARP po finał konkursu National Geographic Poland „7 cudów Polski" oraz Nagrody Architektonicznej POLITYKI. Jest miejscem koncertów, wydarzeń teatralnych i kongresów, a także m.in. Centrum Festiwalowego Camerimage. Z muzyki króluje tu pop, ale bywa i klasyka, przewidziana też na finał obchodów 10-lecia obiektu (5–7 grudnia). 5 grudnia wystąpi Kasia Nosowska, nazajutrz – Krzysztof Zalewski, a 7 grudnia na Gali Jubileuszowej zabrzmi IX Symfonia Ludwiga van Beethovena w wykonaniu znakomitych polskich solistów, połączonych chórów z Torunia i Bydgoszczy oraz Toruńskiej Orkiestry Symfonicznej pod batutą Dainiusa Pavilionisa. DS

Szczegóły: jordanki.torun.pl

nie przegap



18. Międzynarodowy Festiwal Teatralny Boska Komedia,
4–14 grudnia, Kraków

Jeden z najważniejszych polskich festiwali teatralnych sięga po ideę barbarzyńców – ci artystyczni mają zakwestionować nasz (nie)ład i wlać w serca nadzieję. W bogatym programie błyszczy „Rok, w którym nie było lata" w reż. Florentiny Holzinger z berlińskiej Volksbühne, intrygująco zapowiadają się także premiery krakowskich scen: „Wegetarianka" noblistki Han Kang w reż. Pawła Miśkiewicza z Teatru Słowackiego i performerska „Sodoma" w reż. Piotra Mateusza Wacha z Teatru Nowego Proxima. AK

Marek Sobczak, **Wieża Babel,**
Galeria Pastuła, Poręby Kupieńskie,
do 23 grudnia

Nie ma zgody co do tego, czym była wieża Babel. Przejawem ludzkiej pychy? Wyrazem marzeń i potęgi wyobraźni? Symbolem rozbitej solidarności? A może świadectwem tego, że są siły, w starciu z którymi człowiek nie ma szans? Wszystkich tych i zapewne też wielu innych sensów możemy szukać w kilkudziesięciu mistrzowskich miniaturach malarskich, powstałych przed laty, a dopiero dziś pokazywanych publicznie w jednej z najbardziej niezwykle położonych galerii w kraju. P.SA





Soyuz, **Krok**, Mr Bongo

W tej nowej odsłonie białoruski zespół СОЮЗ (Soyuz) kierowany od lat przez Alexa Chumaka stał się formacją białorusko-polsko-brazylijską. Ważną rolę odgrywają tu perkusista Albert Karch i gitarzysta Igor Wiśniewski, a część partii nagrywano w São Paulo z tamtejszymi instrumentalistami (gościnnie także wokalista Tim Bernardes). Powstała dzięki temu pełna lekkości, finezji i uroku muzyka pop, która stanowi pomost między wschodnią Europą a brazylijską tradycją. Fantastyczna płyta dla wszystkich. BCH

eprasa.pl d6bf8a6782

Odzyskałam głos

Z perspektywy 40-letniej aktorki bycie ikoną seksu wydaje mi się już dość zabawną przeszłością – mówi Scarlett Johansson, amerykańska aktorka, debiutująca „Eleanor Wspaniałą" w roli reżyserki filmowej.



eprasa.pl d6bf3a6782



Scarlett tym razem nie przed kamerą, tylko za – jako reżyserka „Eleanor Wspaniałej”

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Skąd się u pani wzięła potrzeba reżyserowania? Miała pani jakieś szczególne powody, aby nakręcić film o 94-latce trafiającej do grupy wsparcia dla ocalałych z Holokaustu?**

SCARLETT JOHANSSON: – Czytam mnóstwo scenariuszy, oglądam wiele filmów i bardzo rzadko wpada mi w ręce tekst taki jak ten. Oryginalny, autentyczny, interesujący. Czytając go, czułam ogromne zaangażowanie, podobał mi się dynamizm tej historii, nieoczywisty charakter głównej bohaterki. Próbując ją rozgryźć, zrozumiałam, że mam do niej osobisty stosunek, że chcę się tym zająć.

Ten film był w jakimś stopniu ukłonem w stronę korzeni pani rodziny?

Nie podjęłabym się reżyserii „Eleanor Wspaniałej”, gdybym się nie identyfikowała jako Żydówka. Ten film musiała realizować osoba należąca do tego świata. W przeciwnym razie nie uzyskałoby się wiarygodności. Ale to nie był akt odzyskiwania tajemnic moich bliskich. Dzieje mojej rodziny i tożsamość żydowska, owszem, są w to wplecione, lecz to tylko jeden z aspektów, który mnie interesował.

Kilka lat temu dowiedziała się pani, że podczas drugiej wojny światowej część pani rodziny zginęła w getcie warszawskim. Jak ta informacja na panią wpłynęła i czy odczuwa pani jakikolwiek sentyment do Polski?

Mój pradziadek od strony matki w okresie międzywojennym wyemigrował do Nowego Jorku, ale jego brat Mosze Szlamberg z dalszą rodziną zdecydował się pozostać w Polsce. Mieszkali w okolicy Grójca. W 1942 r. on i jego krewni znaleźli się w getcie, gdzie prawdopodobnie zostali zamordowani przez Niemców. Podobnie jak Bessie, przyjaciółka filmowej Eleanor, mój dziadek nigdy nie wspominał, przez co jego bliscy przechodzili, nie chciał pamiętać. Zadziałał mechanizm wyparcia. Wielu ocalałych zachowywało się podobnie. Żyli teraźniejszością. Ale nie o tym jest film. On jest o przełamywaniu milczenia. O powrocie do bolesnych historii i leczeniu traum, o człowieczeństwie tego doświadczenia. A skąd ten temat we mnie? Odkryłam moje żydowskie korzenie dzięki amerykańskiemu serialowi dokumentalnemu „Finding Your Roots”, emitowanemu na kanale PBS w 2017 r. Program przypominający śledztwo dziennikarskie badał przeszłość znanych osób, korzystając z tradycyjnych metod genealogicznych i testów DNA. Ujawnienie nieznanych mi dotąd faktów połączyło mnie z częścią mojej rodziny, o której tak naprawdę nigdy nawet nie myślałam, ponieważ ich losy wydawały się kompletnie nieprzejrzyste. Towarzyszyła mi w tym procesie starsza siostra i ona też była zaskoczona. Obiecałyśmy sobie, że nie będziemy płakać, lecz kiedy zobaczyłyśmy akt zgonu z rodowym nazwiskiem naszych przodków, bardzo to przeżyłyśmy.

Odwiedziła pani Polskę?

Nigdy nie byłam w waszym kraju. Chciałabym pojechać. Myślę, że byłaby to wspaniała oczyszczająca podróż również dla mojej rodziny.

Po nakręceniu „Prawdziwego bólu” Jesse Eisenberg, odkrywając swoje korzenie, złożył wniosek o polskie obywatelstwo. „Eleanor Wspaniała” nie jest listem miłosnym do Polski, ale jestem ciekaw, co pani sądzi o jego zachowaniu?

Trudno mi powiedzieć. Nie znam Jessego, ale brzmi to wspaniale. Jest w podobnym wieku co ja. Pewnie mamy wspólnych przyjaciół, którzy są Żydami, których krewni zginęli w Holokauście lub wciąż odczuwają jego skutki. A tego rodzaju gest – poza przyznaniem się do wspólnego dziedzictwa – może zadziałać terapeutycznie.

Zgodzi się pani, że „Eleanor Wspaniała” jest również filmem o żałobie?

Tak. Chciałam zrobić film o kobiecie, która odziedzicza pamięć po zmarłych, nie zdając sobie sprawy, jak to zmieni jej własne życie. W tym sensie „Eleanor Wspaniała” jest nie tylko o trudnej sztuce kultywowania wspomnień, ale też o ciężarze historii pisanej przez wielkie H, kształtującej naszą tożsamość. Nie powiedziałabym, że „Eleanor Wspaniała” jest moją najbardziej osobistą pracą, chociaż opowiada o sprawach, które nas przerastają – kulturowych, rodzinnych, moralnych. I o kobietach, które przetrwają, pamiętając, nawet gdy pamiętanie boli. Reżyserowanie było dla mnie sposobem odzyskiwania głosu. Mogę już nie tylko brać udział w cudzej wizji, ale też tworzyć własną. To było potrzebne i jednocześnie bardzo uwalniające doświadczenie. ▶

Scarlett Johansson (1984 r.) – hollywoodzka i broadwayowska gwiazda, urodzona w Nowym Jorku. Jest jedną z nielicznych aktorek, które otrzymały dwie nominacje do Oscara w tym samym roku (dla najlepszej aktorki za „Historię małżeńską” oraz dla najlepszej aktorki drugoplanowej za „Jojo Rabbit”). Światowy rozgłos i uznanie krytyków przyniósł jej występ w „Między słowami”, za który otrzymała m.in. nagrodę w Wenecji. Doskonale się odnajduje w kameralnym kinie autorskim, m.in. u Wesa Andersona, Woody'ego Allena, Spike'a Jonze'a, jak i w superprodukcjach. Dzięki roli Czarnej Wdowy w filmach Marvela stała się najlepiej zarabiającą aktorką na świecie. Niedawno założyła firmę produkcyjną These Pictures, a w tym sezonie zadebiutowała jako reżyserka i producentka pełnometrażowej fabuły „Eleanor Wspaniała”, która miała premierę w Cannes. Posiada podwójne obywatelstwo: amerykańskie i duńskie.

© GARETH CATTERMOLE/GETTY IMAGES, SONY PICTURES CLASSICS

eprasa.pl d6bf8a6782



June Squibb jako tytułowa Eleanor (z prawej) **i Erin Kellyman jako studentka dziennikarstwa Nina**

▶ Przejdźmy do pani kariery aktorskiej i pani wizerunku. Jak to jest żyć z etykietą ikony seksu?

Tak naprawdę nie myślę o tym. Powiedzmy, że na innych etapach mojego życia było to bardziej uciążliwe. Kiedy jest się młodą kobietą skupioną na fizycznej atrakcyjności, przywiązuje się do tego wielką wagę. Potem jednak z przymusu podobania się wyrasta i odnajduje głębsze wartości w relacjach z przyjaciółmi, w pracy, w sztuce, dzieciach, partnerze i rodzinie. Myślę, że ma się wtedy bardziej rozwiniętą świadomość, dojrzalsze spojrzenie na świat, wie się, na czym polega dobre funkcjonowanie między ludźmi. Osobiście mam nadzieję, że w miarę upływu lat, im starszą będę osobą, tym bardziej będę odczuwała zgodę ze sobą. Oczywiście każdy rodzaj szufladkowania ogranicza. Jednak z perspektywy 40-letniej aktorki bycie ikoną seksu wydaje się dość zabawną przeszłością. I tak jest dobrze.

Dorastała pani w kreatywnym, trochę chaotycznym nowojorskim domu. Jak to ukształtowało pani wyobrażenie aktorstwa?

Moja rodzina nie była znana. Mieliśmy małe mieszkanie. Pamiętam wieczny hałas i kręcących się tam ludzi. Przepełniała mnie wiara, że dzięki wyobraźni zdołam się jakoś uratować. Moja mama kochała teatr; ojciec architekt był cichym człowiekiem, który spełniał się w pracy. Dorastałam, obserwując emocje: radość i frustrację, smutek i walkę o przetrwanie. Aktorstwo stało się sposobem przetłumaczenia otaczającego mnie chaosu na coś zrozumiałego. Nie myślałam o tym jako o grze, raczej jako o porządkowaniu uczuć. Nowy Jork uczy, że talent nic nie znaczy bez odporności. Musiałam o to zadbać.

Zaczęła pani grać, mając zaledwie osiem lat. Kiedy zdała pani sobie sprawę, że świat uwierzył najpierw w pani wizerunek, a dopiero później poznał pani prawdziwą osobowość?

Dosyć wcześnie. Dorastając przed kamerą, szybko zrozumiałam, że ludzie widzą we mnie własne ambicje, projektują na mnie sensualność, tajemniczość – zanim sama je zrozumiem. Pamiętam wywiad do „Ghost World" i dziwne towarzyszące w trakcie rozmowy poczucie obcości we własnym ciele. Miałam 19 lat, lecz sposób, w jaki mnie postrzegano, nie odpowiadał mojej wrażliwości ani temu wiekowi. To rozdwojenie towarzyszyło mi przez lata. Aż nauczyłam się oddzielać osobę, która gra, od osoby, którą wszyscy chcą oglądać.

„Między słowami" zmieniło kierunek pani kariery. Krytycy twierdzą, że kamera po raz pierwszy dotknęła wtedy pani wnętrza. Pani też tak to odczuła?

Tak, absolutnie. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że cisza może tak wiele mówić o człowieku. Sofia Coppola prowadziła mnie, by milczenie mogło wyrażać głębiej ukryte treści. Nie musiałam niczego werbalizować. Byłyśmy młodymi kobietami, trochę zagubionymi, trochę marzycielkami. Panowało między nami niewypowiedziane porozumienie, że samotność bywa najbardziej filmowa. „Między słowami", ale też „Dziewczyna z perłą" nauczyły mnie wsłuchiwania się w przestrzeń, w kamerę, w samą siebie.

W wielu wywiadach zdradza pani, że jest introwertyczką. Czy trudniej jest wtedy wychodzić naprzeciw oczekiwaniom innych i mierzyć się ze swoją zmysłowością, wdziękiem, urokiem?

To skomplikowane. Zawsze sprzeciwiałam się pomysłowi, że sensualność i inteligencja wykluczają się nawzajem. Branża kocha podziały – muza albo kura domowa, bogini albo buntowniczka. Grałam wszystkie te role, lecz żadna mnie nie definiuje. Prawdziwe wyzwanie polega na dochowaniu wierności własnej wizji kobiecości i nieuleganiu temu, co widzą w tobie inni. Uratowało mnie poczucie humoru. Nauczyłam się dostrzegać absurd w tym, jak kultura konsumuje kobiety. Gdy się z tego śmiejesz, różne demony tracą nad tobą moc.

W sprawach władzy i traktowania kobiet ruch #MeToo wymusił w końcu zmiany w Hollywood. Jaki wpływ miał na panią?

Wiele z nas musiało się zmierzyć z lękiem i przemilczaniem. Każda kobieta w tym biznesie, zwłaszcza nastolatki, zderzały się z sytuacjami, które były nieodpowiednie. Uwagi, żarty, niestosowne propozycje, sprawiały, że czułyśmy się jak przedmioty. Lekceważyłam to, bo myślałam, że taka jest cena sukcesu. #MeToo pomogło się z tej opresji wyzwolić. Nauczyło mnie też solidarności. Możesz wykorzystać swoją pozycję nie tylko, by chronić siebie, ale by zrobić miejsce dla innych. Jednak to wciąż jest proces. System nie został naprawiony. Zmiany w Hollywood zaczęły się od przerwania zmowy milczenia, a teraz znów próbuje się wymusić ciszę.

Wśród wielu reżyserów, z którymi pani współpracowała, byli m.in. tacy mistrzowie, jak Coppola, Glazer, Baumbach, Nolan. Komu z nich zawdzięcza pani najwięcej?

Wszyscy ofiarowali mi coś wyjątkowego. Sofia nauczyła mnie, że powściągliwość jest poetycka. Noah Baumbach pokazał, że humor może istnieć nawet w sercu rozpaczy. Christopher Nolan uświadomił, czym jest precyzja – jak skala i intymność mogą współistnieć. A Jonathan Glazer

© SONY PICTURES CLASSICS

eprasa.pl d6bf8a6782

wywrócił do góry nogami sposób myślenia o aktorstwie. W „Pod skórą" eksperymentowaliśmy. Kręciliśmy ukrytymi kamerami; uliczni przechodnie nie wiedzieli, że są filmowani. Zdarzało się, że i mnie nie mówiono, kiedy kamera jest włączona. Bycie nieustannie obserwowaną potrafi leczyć z próżności. Udawanie staje się wtedy prawie niemożliwe.

Rola pozaziemskiej istoty w „Pod skórą" dlatego też jest tak fascynująca, że pozwala przyjrzeć się ludzkim emocjom, jakby były abstrakcją.

Zgadzam się. Grana przeze mnie postać jest jednocześnie drapieżnikiem i dzieckiem – pustą formą uczącą się człowieczeństwa poprzez mechaniczne naśladowanie innych. W pewnym sensie odzwierciedla to proces, jak aktor absorbuje emocje innych, by wlać w siebie cudze życie. W Glasgow, gdzie kręciliśmy film Glazera, czasami miałam wrażenie, że ja również jestem kosmitką. Pozostawiona sama sobie zastanawiałam się, do jakiego świata przynależę. Ta niepewność – pytanie o tożsamość – pozostaje ze mną do dziś.

Obecnie ogromny niepokój budzi niekontrolowany rozwój technologii: AI, deepfaki, cyfrowe wizerunki. Co pani o tym myśli?

Potrzebne są regulacje. Widziałam, jak moje zdjęcia były wykorzystywane w sposób, na który nie wyraziłam zgody. Haniebny proceder, że ktoś bezczelnie podrabia twój wygląd, głos, kopiuje styl zachowania – to oczywiste złamanie prawa. Obrabowują cię z prywatności, zabijają duszę i tak naprawdę pozbawiają istnienia. Jeśli się tego nie uporządkuje, grozi nam chaos.

Wiele bohaterek, w które się pani wciela, szuka bliskości – czasem desperacko. Czy ten temat budzi pani skrępowanie?

Bliskość to jedyna rzecz, która się liczy. Aktorstwo to dziwna profesja – spędzasz życie, wchodząc w cudze emocje, i czasem zapominasz, jak być sobą. Ale pragnienie bycia widzianym, naprawdę widzianym, napędza mnie. Może dlatego lubię historie o samotności. Przypominają, że osobność i izolacja to nie to samo. Czasem samotność pomaga odzyskać empatię.

Patrząc wstecz – po wszystkich zawirowaniach, sławie i przygodach z kinem superbohaterskim – co pani uważa za swoje największe artystyczne osiągnięcie?

Przetrwanie. Nie wszystkim udaje się grać w ciekawych projektach. Niektóre aktorki po urodzeniu dzieci nie wracają już na plan. Jeśli natomiast miałabym wskazać film, wybrałabym „Między słowami". Nie dlatego, że uczynił mnie sławną, tylko dlatego, że mnie otworzył. To był pierwszy moment, gdy publiczność zobaczyła mnie taką, jaka jestem. Wszystko, co się potem wydarzyło, było przetwarzaniem tego doświadczenia.

Gdyby miała pani nakręcić film o swoim życiu, w jakiej konwencji byłby utrzymany?

Może melancholijnej komedii? Coś delikatnego, z odrobiną absurdu. Tak odbieram życie – kolaż sprzeczności. Chciałabym, żeby pokazywał niedoskonałość. Jak piękno i strata mieszają się w tym samym kadrze. Kończyłby się bez fajerwerków. Zwyczajną akceptacją. To najbliższe temu, co rozumiem jako spokój.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

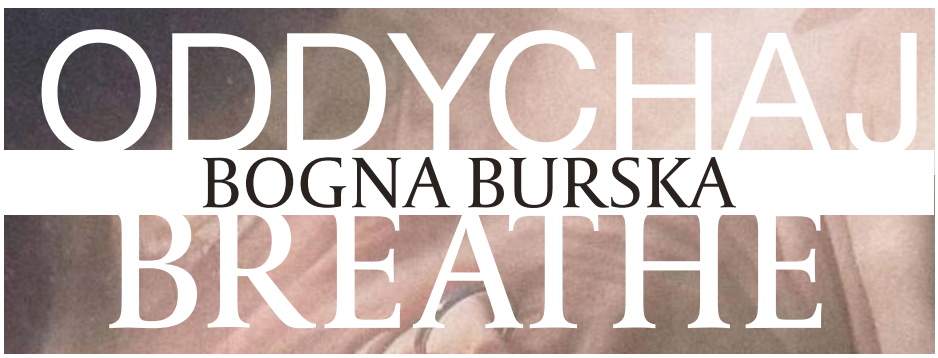

CSW ŁAŹNIA 2
UL. STRAJKU DOKERÓW 5, GDAŃSK
26.09.2025 – 01.03.2026



CSW ŁAŹNIA 1
UL. JASKÓŁCZA 1, GDAŃSK
14.11.2025 – 15.02.2026

LAZNIA.PL

CENTRUM
SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
ŁAŹNIA

eprasa.pl d6bf8a6782

PASZPORTY POLITYKI 2025

Nominacje: muzyka popularna

Marcel Baliński

Pianista jazzowy, kompozytor i animator kultury. Urodził się w 1995 r. w Łodzi i z tym miastem pozostaje jako twórca mocno związany. Kształcił się w kierunku klasycznym i jazzowym, studiując w Łodzi, Krakowie i Bernie. Od lat jest istotną postacią młodej polskiej sceny jazzowej. Działał w kwartecie Entropia Ensemble, grał z Jerry&The Pelican Systems i RASP Lovers, współpracował m.in. ze Zbigniewem Namysłowskim i Agą Zaryan. Z sukcesami prowadzi też własne trio – za płytę tria „Opalenizna i wiatr", nagraną z Krzysztofem Szmańdą i Franciszkiem Pospieszalskim, otrzymał nominację do Fryderyków 2023. Ale przełomem w świetnie rozwijającej się karierze pianisty i lidera okazał się pomysł związany z Warsztatami Terapii Zajęciowej „Frajda", podczas których pracuje z osobami z niepełnosprawnością intelektualną. Ze współpracy na zajęciach wyrósł regularny zespół muzyczny, w którym komponenty instrumentalny (Rafał Różalski, Bartosz Szablowski i sam lider) i wokalny (chór uczestników warsztatów oraz dwoje aktorów – Magdalena Koleśnik i Bartosz Bielenia) współdziałają na równych warunkach. Bez podziału na amatorów i profesjonalistów, bo w muzyce nie wszystko musi być doskonałe, a bariery – jak mówił Baliński w reportażu Polskiego Radia – szybko znikły. W tym składzie „spotkał to, co w muzyce najbardziej lubi: prawdę i szczerość". Zespół ten, nazwany Współgłosy, rozpoczął działalność koncertową i opublikował w 2024 r. płytę długogrającą, którą wiosną tego roku nagrodzono Fryderykiem w kategorii Album roku – jazz eksperymentalny/współczesna muzyka improwizowana. Baliński przekonał do pomysłu zarówno krytykę, jak i publiczność.

Stopniowo doceniono różnorodność stylistyczną i otwartość muzyki Współgłosów, a także zacieranie granicy – jak pisał Jan Błaszczak – „pomiędzy jazzem, piosenką czy awangardą". Baliński kontynuował projekt, tworząc w sierpniu 2025 r. Orkiestrę Łódzkich WTZ-ów (piątkę improwizatorów obsługujących elektronikę połączył tu z chórem łódzkich Warsztatów Terapii Zajęciowej). A do swojej obszernej już dyskografii dołączył album pianistycznego supertria Ki Ki Ki, współtworzony z kolei z Grzegorzem Tarwidem i Piotrem Zabrodzkim.



© LESZEK ZYCH

Ponadto zgłoszeni zostali:

Biak,
Piotr Chęcki,
Cinnamon Gum,
Piotr „Gary" Gwadera,
Kathia,
Klawo,
Mela Koteluk,
Kosma Król,
Kasia Lins,
Matylda Łukasiewicz,
Miuosh,
Antonina Nowacka,
Katarzyna Pietrzko,
Quebonafide,
Artur Rumiński,
Trupa Trupa,
VTSS,
Krzysztof Zalewski.

eprasa.pl d6bf8a6782

Paszporty
Polityki
2025

Nominacje w kategoriach:

SZTUKI WIZUALNE
MUZYKA POPULARNA

Film | Scena: polityka.pl/paszporty

10.12
Muzyka Poważna | Książka
Kultura Cyfrowa

#kulturajutra

Współorganizator Gali

Partnerzy Główni

Partner Oficjalny

Warszawa

Partnerzy Kategorii

Książka

Sztuki wizualne

Film

Scena

Muzyka poważna

Partner Medialny

eprasa.pl d6bf8a6782





© LESZEK ZYCH (2)

Sw@da i Niczos (Wiktor Szczygieł i Nika Jurczuk)

Niczos, czyli Nika Jurczuk, to wokalistka, raperka i skrzypaczka. Urodzona w Bielsku Podlaskim, na studia – z fizyki, a potem informatyki – przyjechała do Warszawy, by potem wrócić na Podlasie, do Białegostoku. Sw@da, czyli Wiktor Szczygieł, to producent muzyczny, także Podlasiak, tyle że z polsko-kolumbijskiej rodziny. Ten drugi, mocno zainspirowany taneczną muzyką z Ameryki Łacińskiej, wyobraził sobie, jak mogłaby wyglądać muzyka białoruskiej młodzieży spod Hajnówki, gdyby od dawna posługiwano się tam elektronicznym instrumentarium. Sw@da w 2019 r. otrzymał wyróżnienie na Festiwalu Muzyki Folkowej Polskiego Radia „Nowa Tradycja", a później nominację do Fryderyka za nagrany z Karoliną Cichą album „Sad" (2022 r.). Niczos zgłębiała tradycję muzyczną regionu, uczyła się gry na skrzypcach i białego śpiewu, od 2021 r. działała w formacji Hajda Banda wykonującej muzykę z obu stron Puszczy Białowieskiej: zachodniobiałoruską, poleską i podlaską. Stopniowo interesowała się też pudlaską movą, czyli miejscowym mikrojęzykiem. Ze Sw@dą współpracowali już od kilku lat, ale płyta założonego przez nich duetu „#InDaWoods", opublikowana późną jesienią 2024 r., połączyła wszystkie najważniejsze dla nich wątki: współczesną muzykę taneczną spoza obszaru anglosaskiego, rozwijającą się w symbiozie z lokalnymi tradycjami, z tekstami po podlasku, oryginalnymi, choć jednak inspirowanymi ludowością. Nazwali to Podlasie Bounce. Utwór „Lusterka" zgłosili do krajowych eliminacji Konkursu Piosenki Eurowizji – dostał się do finału, gdzie przegrał tylko z piosenką Justyny Steczkowskiej, zbierając prawie 24 proc. głosów widzów. O znanym dotąd głównie lokalnie duecie zrobiło się głośno.

Jednocześnie ich sukces pokazał w nowym świetle całe ciekawe środowisko działające na styku tradycji i nowoczesności – Niczos w 2024 r. opublikowała również ambientową płytę „Toń" w innym duecie – z Antoniną Car. Sukcesy duetu Sw@da i Niczos można potraktować jako część zwrotu ludowego, ale też patrzeć przez pryzmat odkrywania na nowo mniejszości narodowych i małych ojczyzn. Są tu lokalne wątki polityczne, bo sytuacja na granicy z Białorusią pozostaje napięta, ale można też odnaleźć w tych nagraniach ducha zmieniającej się na całym globie muzyki tanecznej.

WaluśKraksaKryzys

Jest multiinstrumentalistą (gitara, klawisze, perkusja), wokalistą, kompozytorem i autorem tekstów. Naprawdę nazywa się Sebastian Łukasz Gugulski, urodził się w 1996 r. w Skale pod Krakowem. Nagrał i wydał cztery autorskie albumy, bywał też zapraszany do gościnnego udziału na płytach innych artystów, m.in. Brodki, Kasi Lins czy duetu braci Kacperczyków. W muzyce, jaką tworzy jako WaluśKraksaKryzys, znajdziemy wpływy indie rocka, postpunka, a nawet klimaty bliskie piosence literackiej, jeśli zważyć pieczołowitość, z jaką artysta podchodzi do ekspozycji słowa w swoich utworach. Rockowa konsekwencja Walusia powoduje, że ze swoimi gitarowymi podkładami i wyrazistą sekcją rytmiczną wyróżnia się na tle innych wykonawców. Zaczynał od nauki gry na perkusji w ognisku muzycznym w Skale, ale po kontuzji barku zdecydował, że jego pierwszym instrumentem będzie gitara. Kiedy już zaczął nagrywać i koncertować, zdarzało mu się (i zdarza nadal) obsługiwać instrumenty klawiszowe. Swoją pierwszą płytę, wydaną w 2019 r. („MiłyMłodyCzłowiek"), anonsował informacją, że jest to „poezja śpiewana na petardzie", co było trafne, bo dobrze opisuje miks inteligentnie napisanych tekstów z mocnym gitarowym graniem. Nic dziwnego, że na najnowszej płycie Walusia w jednej z piosenek śpiewa Arek Jakubik. Obaj mają podobną muzyczną wrażliwość i takie samo przekonanie, że należy śpiewać o sprawach ważnych i nie omijać dramatów i kraks, w które tak bardzo obfitują nasze czasy.

Ważnym momentem w artystycznym życiorysie Walusia było spotkanie z Błażejem Królem – nagrał z nim jeden z utworów, a w 2020 r. wystąpił podczas koncertu z cyklu Męskie Granie. Od razu potem przyszły zaproszenia na inne duże koncerty: Pol'and'Rock, OFF Festival czy Festiwal FAMA. Za swój trzeci album „+ piekło + niebo +" (2023 r.) zdobył nagrodę Fryderyka. Na najnowszej, wydanej w 2025 r., płycie „Tematy i wariacje" – swoim czwartym albumie – wrócił do źródeł, do niezależności i idei domowego studia, w którym można zareagować „w każdej chwili, gdy przyjdzie coś do głowy", jak tłumaczył w podkaście Kultura na weekend POLITYKI.

eprasa.pl d6bf8a6782

SPONSOROWANY MATERIAŁ INFORMACYJNY



© BMW | FOT. YAN WASIUCHNIK

Christelle Oyiri, „Ghost Rider"

Ciało, które pamięta. Widma klubowej historii w „Ghost Rider" Christelle Oyiri

W warszawskiej Zachęcie techno staje się narzędziem przywoływania duchów. „Ghost Rider" to instalacja Christelle Oyiri, która powstała w ramach szóstej edycji „BMW ArtClub. Przyszłość to sztuka". To wystawa, w której ciało widza staje się archiwum, a pamięć kultury klubowej – tej pomijanej i przejętej przez innych – powraca tylko wtedy, kiedy ktoś ją aktywuje.

Widz wpada najpierw w pole rzeźb – to kilka postaci, przypominających kadry z filmu Substancja z Demi Moore. Raz ciało wygląda jak po wyczerpującym wysiłku, raz jak wygładzone do nierealnej doskonałości, a raz jak coś demonicznie obcego, co tylko udaje człowieka. Jednocześnie wszystkie to autoportrety Christelle Oyiri, autorki instalacji „Ghost Rider", którą, można oglądać w warszawskiej Zachęcie. Artystka widzi samą siebie raz obolałą, raz odrealnioną, a raz przekształconą tak bardzo, że staje się inną istotą. Można by zatrzymać się na tym obrazie wielości jaźni — bo przecież każdy z nas nosi w sobie więcej niż jedną postać - ale nie to w tej wystawie jest najważniejsze.

Za rzeźbami wyrasta obiekt centralny: DJ-ska konsola, tyle że przefiltrowana przez futurystyczne marzenie o postępie. Nie przypomina klubowego pulpitu, a raczej prototyp statku kosmicznego. Wygina się jak ciało, lśni jak metaliczna skóra, jest czymś pomiędzy maszyną a organizmem, trochę jak z filmów Davida Cronenberga. Z jej wnętrza wychodzi impuls całej ekspozycji: to serce techno-opery, która za chwilę zacznie reagować na obecność widzów.

„Ghost Rider" zaczyna się dopiero wtedy, gdy ktoś wejdzie w jej przestrzeń. Sensory rejestrują każdy gest krok, zawahanie, obrót i przekładają je na światło oraz dźwięk. Wystawa nie jest do oglądania, lecz do pobudzania. Widz jest librecistą, chociaż niczego nie pisze; jego ciało staje się zapisem.

Trzy akty tego „spektaklu" nie są od siebie odgrodzone. Przechodzą w siebie płynnie, w zależności od energii publiczności. Dla jednych „Ghost Rider" będzie ciszą i przeciągłym basem, dla innych świetlną agresją, industrialnymi odgłosami i gwałtownym pulsowaniem.

Za efektowną warstwą technologiczną stoi temat dużo poważniejszy: pamięć kultury klubowej i tych, którzy ją ukształtowali, a których historia wolała pominąć. Oyiri przywołuje twórców disco, house'u, techno, electro - najczęściej czarnoskórych, queerowych, pochodzących z klasy robotniczej - którzy stali się fundamentem współczesnej muzyki elektronicznej, ale nie symbolem. Klubowa rewolucja zaczęła się w miejscach, które rzadko trafiają do podręczników: w piwnicach Detroit, nowojorskich ballroomach, queerowych klubach Chicago, na imprezach w Londynie. A jednak współczesny przemysł muzyczny zarabia na ich estetyce, rzadko przywołując ich nazwiska.

To nie jest nostalgia i nie jest pomnik. „Ghost Rider" to seans spirytystyczny: historia wraca tylko na chwilę, tylko we fragmentach, tylko wtedy, gdy ciało widza aktywuje jej ślady.

W tym projekcie technologia nie jest usługą, lecz partnerem. Światło, dźwięk, sensory i obiekty nie służą widowisku, lecz wspólnocie, która powstaje tylko wtedy, kiedy ludzie uczestniczą w przestrzeni razem.

„Spotkanie Christelle Oyiri i BMW to opowieść o świecie w stanie transformacji, otwierającej drogę do nowej epoki, w której technologia staje się nie tylko narzędziem, ale również pełnoprawnym uczestnikiem doświadczenia. Dla nas to symboliczny moment – wraz z debiutem pierwszego modelu Neue Klasse, nowego BMW iX3, rozpoczynamy nową erę. Redefiniujemy markę poprzez innowacje technologiczne, jednocześnie czerpiąc z naszego dziedzictwa. Mobilność zyskuje tu nowy wymiar: jest emocjonalną i interaktywną przestrzenią, łączącą człowieka i maszynę" – mówi Kacper Studencki, dyrektor marketingu BMW Polska. Ten cytat wybrzmiewa w kontekście „Ghost Rider" zaskakująco trafnie: podobnie jak wystawa, sugeruje, że przyszłość nie będzie już rozgrywać się „obok" ludzi, lecz „z" ludźmi - w układzie, gdzie technologia nie jest narzędziem, ale partnerem, współtwórcą doświadczenia i pamięci.

bmw.pl/artclub

eprasa.pl d6bf8a6782

Nominacje: sztuki wizualne

Agata Ingarden

Stosunkowo rzadko do Paszportów POLITYKI nominowane są artystki i artyści zajmujący się rzeźbą. Dodatkowo działania artystyczne Agaty Ingarden trudno powiązać z tradycyjnymi atrybutami rzeźbiarskimi: dłutem, gliną, marmurem czy choćby drewnem. Tworzy obiekty z dość eklektycznego zestawu materiałów. W swoich pracach łączy odpady poprzemysłowe (hydrauliczne rury, uszkodzone panele fotowoltaiczne) z tworzywami organicznymi (np. wosk pszczeli, muszle ostryg), ale też z zapisami wideo, fotografiami, światłem. Jej ulubionym, stosowanym jeszcze od czasów studenckich i powracającym w różnych pracach materiałem pozostaje jednak skarmelizowany cukier. Jego nieustabilizowany stan, który pod wpływem warunków zewnętrznych (np. ciepła, wilgotności) zmienia się na półpłynny, sprawia, że prace zdają się żyć własnym życiem, odciska się na nich piętno upływającego czasu i okoliczności.

Uniwersum, które penetruje i poddaje wiwisekcji artystka, to osobliwe połączenie postapokaliptycznych wizji, międzygatunkowych mutacji, przeróżnych posthumanistycznych teorii science fiction, oscylujących raz w kierunku utopii, kiedy indziej – dystopii. W 2025 r. w Muzeum Sztuki ms2 w Łodzi miała miejsce duża indywidualna wystawa artystki zatytułowana „EmoPolis". Jak wyjaśniali kuratorzy wystawy, „jest ona fragmentem nieustannie rozwijanego projektu, w którym główną rolę odgrywa infrastruktura przeznaczona do zarządzania energią emitowaną przez stany emocjonalne".

We wszystkich biograficznych notkach podkreśla się, że artystka żyje i pracuje na przemian w Paryżu i Atenach. Urodziła się jednak w Krakowie (1994 r.), a studiowała w École de Beaux-Arts w Paryżu oraz w Cooper Union for the Advancement of Science and Art w Nowym Jorku. Regularnie uczestniczy w wystawach zbiorowych, ma też na koncie wiele wystaw indywidualnych na całym świecie (Meksyk, Korea Południowa, Austria, Rumunia), no i oczywiście w Polsce. W 2021 r. otrzymała nagrodę specjalną w prestiżowym konkursie Future Generation Art Prize. Prowadzi także gościnne zajęcia na ASP w Warszawie.



© LESZEK ZYCH (3)

Ponadto zgłoszeni zostali:

Jan Baszak, **Agnieszka Brzeżańska**, **Fringe Warsaw**, **Barbara Gryka**, **Karolina Jabłońska**, **Karolina Jarzębak**, **Daniel Kotowski**, **Dominika Kowynia**, **Tomasz Kręcicki**, **Agata Kus**, **Kateryna Lysovenko**, **Cecylia Malik**, **Nadia Markiewicz**, **Karol Palczak**, **Katarzyna Przezwańska**, **Katarzyna Wyszkowska**, **Liliana Zeic**.

PARTNER KATEGORII

KRUK

eprasa.pl d6bf8a6782



Ant Łakomsk

Artystka, ciągle jeszcze studentka malarstwa warszawskiej ASP (urodzona w Toruniu w 2001 r.), przebojem wdarła się do współczesnej polskiej sztuki. W mijającym roku uwagę krytyków i publiczności przykuła jej jesienna wystawa w Turnus Gallery zatytułowana „Camille". Tytuł nawiązywał do postaci zmarłego przed rokiem francuskiego artysty Marca Camille'a Chaimowicza, którego wizją sztuki artystka jest zafascynowana i wchodzi z nią w dialog. Zaprezentowane na tej wystawie obrazy koncentrują się wokół tematu czytania książek, nadając tej czynności (u Łakomsk uprawiają ją wyłącznie kobiety) charakter bardzo osobisty, wręcz intymny, nieco tajemniczy i melancholijny. Na jej obrazach rozmyte rysy twarzy i kontury oraz wyrafinowane relacje między figurą a tłem intrygują i nie pozwalają na jednoznaczne identyfikacje, przypisania, interpretacje.

Jak pisał w recenzji Karol Sienkiewicz, „Łakomsk stwarza dla swych bohaterek mroczną, romantyczną atmosferę. Jej obrazy mają strukturę półprzezroczystych, wielokrotnie farbowanych tkanin, na których różne warstwy nakładają się na siebie". Z kolei nominujący do Paszportów POLITYKI Piotr Kosiewski tak uzasadniał oddanie swego głosu na artystkę: „to malarstwo osadzone w tradycji, a zarazem ożywcze, nowe. Artystka bardzo konsekwentnie sięga do przeszłości, w której odwołuje się do dawnej japońskiej sztuki, a zarazem do europejskiego malarstwa z ostatnich dekad XIX i pierwszych XX w. powstającego pod jej wpływem. Jednak jej obrazy, delikatne, często pozostające na granicy sztuki przedstawiającej i abstrakcji – są na wskroś współczesne. Dotykają lęków, życia w niepewności. Poruszają kwestie tożsamości, pamięci i czasu". W czasach powszechnego pośpiechu, powierzchownego odbioru świata, wulgarnej dosłowności i radykalizowania się środków komunikowania, malarstwo Łakomsk wprowadza tak wartościowe wyciszenie, potrzebę kontemplacji, zwraca uwagę na niuanse i półtony. Ant Łakomsk jest finalistką konkursów Young Art Prize (Wrocław, 2024 r.) oraz Bielska Jesień (2025 r.).



Patryk Różycki

Malarz, który był już nominowany do Paszportów POLITYKI w 2023 r. Jego twórczość cechuje autobiograficzny i autoterapeutyczny charakter. Każdy obraz jest zapisem wydarzeń z życia artysty i towarzyszących mu emocji. Możemy więc mówić o rodzaju malarskiego pamiętnika, w którym artysta nie tylko na bieżąco rejestruje kolejne epizody, ale też wraca do dawniejszych historii. W warstwie bezpośredniej to obrazy-opowieści o rodzinie, przyjaciołach, przyjaźniach, związkach uczuciowych, seksie, spotkaniach, sprzeczkach itd. W warstwie symbolicznej zaś – o społecznym awansie i o wykluczeniu, o poszukiwaniu tożsamości, o odnajdywaniu miejsca w życiu i społeczeństwie, o aspiracjach. W tych realistycznych obrazkach, niejako stopklatkach z filmu pt. „życie", sporo jest wszelkich emocji, od wstydu po euforię, od zazdrości po poczucie spełnienia.

Ważną rolę odgrywają u Różyckiego komentarze do prac. Albo te skrócone, w formie tytułu obrazu, albo rozszerzone, w formie jego opisu. W jednym z wywiadów artysta mówił: „Nie mam w sobie nawet odrobiny wiary w to, że sam obraz, bez tekstu, jest w stanie opowiedzieć historię. A mi zależy na tym, żeby każdy mógł zobaczyć na tym obrazie dokładnie i tylko to, co chciałem pokazać".

W minionym roku Różycki uczestniczył w licznych wystawach zbiorowych oraz miał dwie prezentacje indywidualne: w Instytucie Polskim w Wiedniu oraz w stołecznej galerii Polana Institute. Ta druga ekspozycja nosiła tytuł „Moja dziewczyna jest dziewczyną mojego przyjaciela" i opowiada niemal w całości o poliamorycznym związku, w jakim pozostaje artysta. Dla teatru TR Warszawa przygotował też performans „Tam, skąd pochodzę, nie było teatru". Warto więc przypomnieć, że artysta pochodzi z Koła, urodził się w 1992 r. W 2017 r. ukończył malarstwo na gdańskiej ASP, ze specjalizacją „Intermedia". Poza uprawianiem malarstwa pisze też książki, prowadzi własny podkast. W 2021 r. współtworzył eksperymentalną szkołę artystyczną „Pokój praktyk artystycznych", był kuratorem kolejnych edycji Festiwalu Performansu „Kick-Off-Perfo" oraz współkuratorem festiwalu krótkich, eksperymentalnych form filmowych „Baza".

Gala wręczenia Paszportów POLITYKI:
11 stycznia 2026 r.
(transmisja na TVP2 oraz na profilach POLITYKI w mediach społecznościowych)
Pozostałe nominacje i lista zgłaszających:
polityka.pl/paszporty
Materiały dla mediów:
paszportypolityki.pl

eprasa.pl d6bf8a6782

Okiem kobiet

Dwiema feministycznymi wystawami rozpoczyna Muzeum Sztuki Nowoczesnej drugi rok działalności w stałej siedzibie. Przekonuje, że kobiecy punkt widzenia to nie jest kwestia historii sztuki, tylko sprawa życia.

PIOTR SARZYŃSKI

W 1971 r. Linda Nochlin opublikowała słynny esej „Dlaczego nie było wielkich artystek?". I zdaniem wielu historyków współczesnej sztuki to on zapoczątkował potężniejącą z dekady na dekadę falę wydawnictw i wystaw, których celem było dowartościowanie sztuki kobiet. Nie było takich ważnych ekspozycji wiele, m.in. „Kobiety – artystki 1550–1950" (Los Angeles, 1976 r.), „Współczesna sztuka kobiet" (Wiedeń i Monachium, 1986 r.), „Złe dziewczyny" (Nowy Jork, 1994 r.), radykalna „Global Feminism" (Nowy Jork, 2007 r.) czy „elles@centrepompidou" (Paryż, 2009 r.).

W Polsce tradycyjnie w globalne trendy włączaliśmy się z opóźnieniem. Sporym wydarzeniem okazała się wystawa „Artystki polskie" w Muzeum Narodowym w Warszawie (1991 r.), której największą zasługą było wydobycie z niepamięci kilku ciekawych twórczyń z przeszłości. Później bywało różnie – aż w tym roku nastąpiła prawdziwa eksplozja przekrojowych czy choćby zbiorowych kobiecych wystaw.

Zaczęła zimą Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie obszerną współczesną ekspozycją „Chcemy całego życia. Feminizmy



❶ Wystawa „Miasto kobiet" w warszawskim MSN.
❷ Praca Katarzyny Depty-Garapich „Stopy, dłonie, pazury", 2022–23 r.

eprasa.pl d6bf8a6782





© ALICJA SZULC, KASMIN, MSN (2)



❸ Instalacja Vanessy German „Krew i zwierzęta, lustro i niebo; oda do niewysłowionej prawdy istnienia", 2017 r. ❹ Obraz Maceny Barton „Salome".

w sztuce polskiej". Następnie, od kwietnia do października, uwaga przeniosła się do Lublina, gdzie w Muzeum Narodowym zaprezentowano historyczną ekspozycję „Co babie do pędzla?! Artystki polskie 1850–1950", na której zgromadzono prace aż 130 malujących w przeszłości rodaczek. A przecież były i ciekawe przedsięwzięcia pomniejsze, jak choćby „Olbrzymki" we wrocławskim BWA, „Odważne" w Muzeum Zakopiańskim czy odkrywcza „Kierunek Paryż" w stołecznej Królikarni, poświęcona polskim rzeźbiarkom kształcącym się w paryskiej pracowni Bourdelle'a.

No i nadszedł czas na wielki finał na koniec roku, pod postacią aż dwóch wystaw otwartych równocześnie i w tym samym miejscu. Pierwsza, duża historyczna „Kwestia kobieca 1550–2025", przygotowana przez znaną amerykańską kuratorkę Alison Gingeras. I druga, mniejsza, niejako suplement: „Miasto kobiet", składająca się z czterech jeszcze mniejszych sekcji tematycznych, poświęconych wybranym problemom, jak aborcja, Międzynarodowy Rok Kobiet 1975 czy przyszłość feminizmu. To projekt międzynarodowego grona kuratorek, bardzo polityczny, pełen zaangażowania przegląd współczesnych, często radykalnych postaw artystycznych kobiet.

Te kobiece wystawy praktycznie zawsze przygotowują kobiety. I tradycyjnie chodzi w nich – choć akcenty bywają rozłożone różnie – o dwie główne idee. Pierwsza, by podążając tropem Nochlin, przekonać widza, że wielkie artystki jednak istniały, by tym, które już są znane, przydawać jeszcze wyższy statut ważności, a te, których nie znamy, wprowadzać na stałe do obiegu sztuki i uczynić je powszechnie widzialnymi. W ostatnich dekadach takimi wybuchowymi odkryciami były z pewnością szwedzka malarka Hilma af Klint, którą po wielkiej wystawie w nowojorskim Guggenheim Museum (2018 r.) szybko zaliczono do grona prekursorek abstrakcji, oraz Michaelina ▶

eprasa.pl d6bf8a6782





Od lewej: **Betty Tompkins „Kobiety słowa (Artemisia Gentileschi #2)", 2024 r. Rachel Fallon „Fartuch solidarności I" (bliźniaczy z Irlandią), 2021 r.**

▶ Wautier, flamandzka malarka epoki baroku, której dużą wystawę ciągle jeszcze można obejrzeć w wiedeńskim Kunsthistorisches. Co jednak najważniejsze, ostatnie dekady przyniosły tę zmianę, że na wystawy artystek, które jeszcze niedawno niemal dopraszały się o uwagę, dziś ustawiają się długie kolejki podekscytowanej publiczności.

Czy w Polsce, na fali wyrównywania historycznych rachunków, także doczekaliśmy się spektakularnych artystycznych odkryć? Raczej nie. Natomiast niewątpliwie kilka twórczyń wreszcie zyskało uznanie, na które od dawna zasługiwały. To na pewno Natalia LL (do wzrostu jej popularności mimowolnie przysłużył się nieszczęsny dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie Jerzy Miziołek, wycofując w atmosferze skandalu jej pracę z ekspozycji stałej), ale także Maria Pinińska-Bereś, Teresa Tyszkiewicz, a przede wszystkim Tamara Łempicka, która dzięki kilku dobrze wypromowanym wystawom stała się już wręcz bohaterką masowej wyobraźni.

Czy obecne wystawy w MSN poszerzą nam to pole widzialności i rozpoznawalności? Wspomniana Alison Gingeras niezwykle zgrabnie przemieszała z jednej strony artystki polskie ze światowymi, a z drugiej – klasyczki sztuki kobiecej z artystkami mniej znanymi. Zwolennicy zasady inżyniera Mamonia: „Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem" poczują się usatysfakcjonowani. Oto bowiem mamy, zapuszczający się głęboko w przeszłość, niemal podręcznikowy już kanon: od renesansowej Sofonisby Anguissoli, rokokowej Lavinii Fontany i barokowej Artemisii Gentileschi, przez Tamarę Łempicką, Fridę Kahlo, Françoise Gilot czy Louise Bourgeois, po gwiazdy ostatnich dekad – Cindy Sherman, Tracey Emin czy Marlene Dumas.

W polskiej sztuce rzecz jasna nie dało się sięgać aż tak daleko w historię, więc mainstreamowa lista zaczyna się od Olgi Boznańskiej, przez Alinę Szapocznikow (ciekawe, że zabrakło miejsca dla Magdaleny Abakanowicz), aż po kontrowersyjną zdobywczynię ostatniego Grand Prix konkursu „Bielska Jesień" Małgorzatę Mycek.

Znacznie ciekawiej przedstawia się lista nieoczywistych, mniej znanych bohaterek wystawy. W ciągle jeszcze naznaczonym prowincjonalizmem polskim życiu artystycznym większość artystek ze świata zapewne okaże się dla zwiedzających nowością. Ale są wśród nich i takie, które mogą zaistnieć jako prawdziwe odkrycie. Myślę o świetnych, a u nas słabo znanych malarkach niemieckich XX w., jak Lotte Laserstein, Kate Diehn-Bitt czy Dorothea Maetzel-Johannsen, afroamerykańskich (np. Faith Ringgold) czy ukraińskich (intrygująca, młodziutka Karina Synycia). Co jednak ciekawe, kuratorka postarała się, aby także w doborze artystek polskich zaskoczyć nieoczywistymi i intrygującymi wyborami. Na przykład, decydując się na przypomnienie kilku przedstawicielek sztuki naiwnej, jak Felicja Curyło, Maria Korsak, Maria Wnęk, czy takich nieoczywistych artystek, jak Maria Nostitz-Wasilkowska i Anna Güntner.

Gdy już powędrujemy przez wystawę pod hasłem „Co znamy, a co odkrywamy", warto pochylić się nad drugą naczelną ideą podobnych wystaw: powiązania sztuki kobiet z hasłami feminizmu. Czyli gra toczy się o sztukę zaangażowaną. Nie pozostawia wątpliwości szefowa MSN Joanna Mytkowska, pisząc we wstępie do katalogu wystawy: „*Kwestia kobieca* powstała z emocji. Niezgody, potrzeby sprawiedliwości, niedowierzania wobec narastającej w wielu miejscach na świecie (...) fali antykobiecych wystąpień i zmian prawnych". A więc sztuka przede wszystkim walcząca. W przedbiegach odpada więc taka np. Katarzyna Kobro, bo jej rzeźby nie opowiadają ani o prawach kobiet, ani o seksualności, aborcji, społecznych

eprasa.pl d6bf8a6782





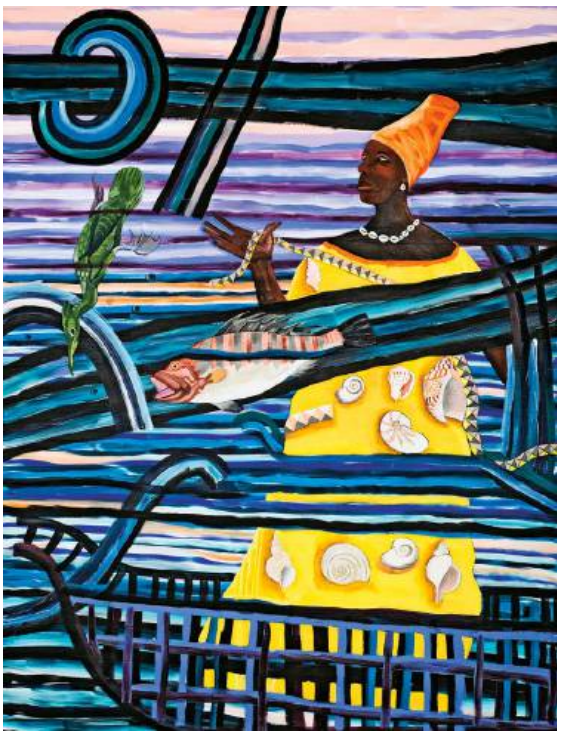

Anna Güntner „Nieśmiały narzeczony", 1961 r. Lubaina Himid „Amfitryta", 2025 r.

nierównościach itd. Natomiast symbolem takiego myślenia o sztuce kobiet i tej wystawy może być z pewnością ogromny plakat z 1989 r. słynnej feministyczno-artystycznej formacji amerykańskiej Guerrilla Girls „Czy kobiety muszą być nagie, by trafić do Met. Museum", zawierający też wyjaśnienie: „W kolekcjach sztuki nowoczesnej artystki stanowią mniej niż 5 proc. twórców, za to 85 proc. aktów przedstawia kobiety". Przez 35 lat wiele się w tej kwestii zmieniło, ale kierunek myślenia o kobiecym aktywizmie zdecydowanie pozostał ten sam.

I mamy w ekspozycji szereg osobnych narracji, mających przekonać widza, że kobiety poprzez sztukę w gruncie rzeczy zawsze walczyły o swoje prawa. Jest więc o tym, jak autoportrety artystek stawały się demonstracją ich niezależności. Jak kobiety walczyły o dostęp do artystycznej edukacji. Jak poszerzały pole swej sprawczości i widzialności. Jak w sztuce kształtował się i utrwalał w XX w. wizerunek nowoczesnej kobiety. Jest nawet sala poświęcona kobiecym fantazjom i wątkom erotycznym, głównie w surrealistycznym ujęciu. Nie zabrakło rzecz jasna wątku macierzyństwa, ale też jedną z sal poświęcono postrzeganiu przez artystki kwestii związanych z wojną (tu dominuje oczywiście temat inwazji na Ukrainę).

Katalog zagadnień warszawskiej wystawy jest obszerny i zestawiony tak, że artysta mężczyzna nie miałby tu czego szukać (no, może poza tą wojną). To wielka manifestacja kobiecej wrażliwości, tożsamości, siły, niezależności, determinacji. Sztuka kobiet żyje własnymi problemami, mitami, wyzwaniami. Ale jeśli chcemy w tym zakresie równego traktowania, to jak ją zestawiać z tą tworzoną przez mężczyzn? Ów dylemat, tak wyraźny na wystawie w MSN, pojawiał się zresztą już wcześniej.

Próbowała go rozwikłać Griselda Pollock, brytyjska historyczka sztuki i feministka. Zauważyła, że cała historia sztuki skażona jest ideologią i mechanizmami zmaskulinizowanej władzy, a kryteria oceny sztuki są prostym odbiciem tych powszechnie przyjętych wzorców kulturowych. Co robić? Zdaniem Pollock należy zmienić paradygmaty sztuki i zacząć ją oceniać wedle innych kryteriów, uwzględniających kobiecy punkt widzenia. Co ciekawe, autorka napisała także esej do katalogu obecnej wystawy w MSN. Kończy go wezwaniem: „Wiedza o artystkach, uczenie się tego, jak patrzeć ich oczami i oczami wszystkich innych, jest dziś pilnie potrzebna. Ta debata nie zamyka się w dziedzinie historii sztuki. To sprawa życia". A więc sztuka kobiet jako nośnik ważnych przesłań dotyczących ludzkości, rodzaj systemu wczesnego ostrzegania? Rzecz warta zastanowienia.

Każda wystawa zbiorowa, szczególnie gdy rości sobie prawo do kompleksowego ujęcia jakiegoś ważnego problemu, nieuchronnie prowokuje do stawiania zaczepnych pytań, szczególnie o artystki nieobecne w ekspozycji, a bardzo zasłużone w dziele artystycznej walki o prawa kobiet. A dlaczego ze świata nie dotarły: Barbara Kruger, Judy Chicago, Valie Export, Jenny Holzer, a dlaczego z Polski zabrakło Natalii LL, Joanny Rajkowskiej czy Elżbiety Jabłońskiej? Oczywiście wszystkiego pomieścić się nie da, choć czasem żal. Natomiast to, czego mi brakuje i o co dopominam się po raz kolejny, to obecność (na wystawie ledwie śladowa) malarek najmłodszego pokolenia. W konwencję wystawy świetnie wszak wpisałyby się prace Kamili Kamińskiej, Moniki Falkus, Heleny Stiasny, Martyny Czech, nie mówiąc o laureatkach Paszportów POLITYKI Agacie Słowak i Marcie Nadolle. Co pozostawia pewien niedosyt, ale nie umniejsza zalet tej imponującej, inspirującej, choć chwilami dyskusyjnej wystawy.

PIOTR SARZYŃSKI

© IAN EDQUIST, MSN (2), MUZEUM WARMII I MAZUR W OLSZTYNIE

eprasa.pl d6bf8a6782



MARCIN PIĄTEK

Prawdziwszy

Robert Lewandowski doczekał się nieautoryzowanej biografii. Sam gwiazdor zabiera w niej zresztą głos. I jak na boisku: dobrze gra i świetnie kiwa.

Każda opowieść o Robercie Lewandowskim, w której znajduje się historia o tym, jak to w kwietniu 2013 r., strzeliwszy w barwach Borussii Dortmund cztery gole Realowi Madryt, wrócił na wydaną ku swojej czci domową imprezę, zignorował hołdy i poprosił małżonkę, by usmażyła mu naleśniki, nosi znamię zdartej płyty. W książce „Prawdziwy" również się znalazła, co zapewne ma dowodzić przyziemnego statusu Lewandowskiego. Choć autor, Sebastian Staszewski, nie jest w stanie ukryć swojej szczerej fascynacji jednym z najlepszych napastników w dziejach futbolu.

Lista niezadanych pytań

Pedały patosu i uwielbienia dociska więc do dechy. Dowiadujemy się oto, że futbol był z Robertem od samego początku, „jakby o jego losie decydował Bóg, geny albo gwiazdy". Weźmy zresztą samo imię, jakże znamienne, autor informuje, że starogermańskie *hroth* i *berath* oznaczają sławę i wspaniałość. Nic dziwnego zatem, że w trakcie meczów Lewy przypomina „jednoosobowy oddział szturmowy", „bestię chcącą rozszarpać każdego, kto stanie na jej drodze", a w dniu, w którym miał pobić snajperski rekord Bundesligi, przypominał „zamkniętego w klatce tygrysa". Te pokładu lukru są jednak nieco zwodnicze, gdyż Staszewski punktuje również błędy, wypaczenia i charakterologiczne słabostki gwiazdora. Trochę się ich uzbierało. Ale tytułowa obietnica zostaje spełniona tylko częściowo.

Biografia Diego Maradony „Ręka Boga" autorstwa Jimmy'ego Burnsa liczy niewiele ponad 300 stron. Maradona wychował się w slumsach na przedmieściach Buenos Aires; dzięki niezwykłej smykałce do kopania piłki zyskał boski status w Argentynie, którą poprowadził do mistrzostwa świata, i w Neapolu, gdzie zdobył mistrzostwo Włoch z Napoli, klubem solidarnie pogardzanym przez pławiącą się w poczuciu wyższości północ Italii. Był autorem najbardziej spektakularnego gola i jednocześnie największego boiskowego oszustwa w dziejach mundiali (w tym samym meczu, z Anglią, na turnieju w Meksyku); czarował techniką, choć przez większość kariery zmagał się z konsekwencjami spartaczonej operacji brutalnie złamanej kostki; zarobił i roztrwonił miliony; kolegował się z bossami sycylijskiej mafii; miał słabość do alkoholu, kokainy i romansów na boku; spłodził nieślubnego syna, którego nie chciał uznać; no i u schyłku kariery w reprezentacji ratował się środkami dopingującymi, co przypłacił wyrzuceniem z mistrzostw świata w USA. Opuszczona przez swojego wodza Argentyna sensacyjnie odpadła z Rumunią, a boski Diego pogrążał się w paranoi i dopisywał do listy wrogów kolejne nazwiska.

Staszewski postanowił odmalować portret Lewandowskiego w dwukrotnie grubszym, liczącym ponad 700 stron tomiszczu, choć jego boiskowe wyczyny i strzeleckie rekordy są już do bólu znane, a pikanterii w życiu najlepszego polskiego piłkarza jest tyle, ile wymknęło się spod kontroli jego speców od wizerunku, ewentualnie stało się pokłosiem decyzji Lewego, by rozstać się ze swoim menedżerem Cezarym Kucharskim, a następnie pozwać go do sądu. Lewandowski posmakował też przez chwilę niechcianego zamieszania, gdy wyszło na jaw, że kupił dyplom prywatnej uczelni. Tego ostatniego wątku autor, mimo poczynionej we wstępie obietnicy, nie rozwija.

eprasa.pl d6bf8a6782



Kwestia wieloletniej współpracy Lewandowskiego z Kucharskim i przejścia wspólnie drogi Znicz Pruszków–Lech Poznań–Borussia Dortmund–Bayern Monachium, od kopaniny na polskich kartofliskach do statusu globalnej gwiazdy i od pensji w wysokości 2,5 tys. zł miesięcznie do rekordowego kontraktu w Bundeslidze (prawie 100 mln euro za cztery lata gry) jest potraktowana przez autora wyczerpująco, jednak bez konkluzji, gdyż bohater nie zostaje postawiony w obliczu pytań, które wydają się oczywiste: jak na tej współpracy wyszedł i czy jest coś, co byłemu menedżerowi, którego obecnie przedstawia jako zło wcielone, jednak zawdzięcza?

Okazja była, gdyż autor, podkreślający we wstępie swój tytaniczny wysiłek researchowy, trud podróży i odbytych rozmów, w końcu postanowił spotkać się ze swoim bohaterem. Ten miał być jednocześnie nieufny i zaciekawiony poczynionymi przez Staszewskiego ustaleniami. Został poproszony o ustosunkowanie się m.in. do tego, czy faktycznie jest chorobliwie skąpy, czy bywało, że najpierw zapraszał kolegów z reprezentacji na kolację, a następnie przesyłał fakturę do PZPN, jak znosił nową pasję małżonki, czyli zamiłowanie do śmiałych cieleśnie tańców, co obficie relacjonowała w swoich mediach społecznościowych. Jak również do spraw z czysto piłkarskiego podwórka: czy zdarzało mu się przedkładać interes własny nad dobro drużyny, czy nie zapędzał się z krytyką trenerów i czy aby na pewno frustracja, jaką emanował podczas meczów reprezentacji z powodu tego, że koledzy nie stwarzali mu okazji bramkowych, wychodziła tej drużynie na zdrowie?

Zysk z tych odpowiedzi jest jednak mniejszy niż strata spowodowana brakiem pytań, które aż się prosiło Lewandowskiemu zadać: o cios, jakim była śmierć ojca, gdy Robert miał 16 lat, o trafność wyborów, analizę fenomenalnych możliwości fizycznych, powody chorobliwej nieufności, przeczulenia na własnym punkcie, manii wielkości, ewidentnego braku wpisanej w rolę kapitana charyzmy, aż wreszcie lojalności i przyzwoitości w stosunku do pracodawców i współpracowników. Podpisawszy rekordowy kontrakt z Bayernem, Lewandowski stwierdził, że menedżer nie jest mu już potrzebny, a zapytany przez Kucharskiego, czego od niego oczekuje, piłkarz miał odpowiedzieć: „by przyniósł mi papier toaletowy". To jedno zdanie mówi o człowieku więcej niż okrągłe formułki w rodzaju: „może nie ustrzegłem się błędów, ale tylko z powodu nieuleczalnej obsesji doskonałości".

Przebrnąwszy przez wspomnienia rodzinnych losów polskiego futbolowego bohatera narodowego, nafaszerowanych detalami w rodzaju awarii, jakie spotkały Syrenkę Lewandowskich w drodze na wakacje (hamulce, kolektor dolotowy i skrzynia biegów), lokalizacji dziecięcych blizn na ciele przyszłego gwiazdora oraz okoliczności ich powstania, jak również poszukiwań studniówkowej partnerki, czytelnik dostaje wreszcie smaczki związane z poniekąd już dobrze znaną, ale przez Staszewskiego oprawioną w nowe szczegóły polską historią kariery Lewandowskiego. Od odrzucenia przez Legię i roli w tym dzisiejszego selekcjonera reprezentacji Jana Urbana, przez udział w futbolowym dojrzewaniu Roberta szemranych postaci polskiej piłki uwikłanych w korupcję, aż po determinację działaczy Lecha Poznań, którzy zanim ściągnęli 21-letniego napastnika do klubu, dokonali drobiazgowej analizy za i przeciw. Która szybko sprowadziła się do za.

Donoszą, że dowoził

Niewątpliwym osiągnięciem Staszewskiego jest to, że podczas zbierania materiału udało mu się dotrzeć do kluczowych figur w Borussii i Bayernie. Spojrzenie zawodnika na trwający ponad dekadę niemiecki rozdział w jego karierze jest bowiem niczym cały Lewandowski – wyprane z emocji i skupione na sobie. O Jürgenie Kloppie, który w Dortmundzie wprowadził go umiejętnie do wielkiego futbolu, wspomina zdawkowo, jeśli zaś chodzi o trenerów Bayernu, a kilku się przewinęło, piłkarz chętniej mówi, co mu się w ich warsztacie nie podobało i jak cofali zespół w rozwoju, niż co im zawdzięcza (najwięcej ciepłych słów ma dla Pepa Guardioli).

Ocena napastnika przez prezesów niemieckich gigantów jest jednoznaczna: przerósł najśmielsze oczekiwania, miał niebagatelny udział w sukcesach, był wart każdych pieniędzy, nieumiejętność zatrzymania go w drużynie to błąd. Ale padają też mocne słowa: że kocha tylko żonę, córki i swój sukces, że za najbardziej samolubnego i egoistycznego piłkarza w Bayernie długo uchodził Holender Arjen Robben, ale Lewandowski go przebił. I że jest najbardziej pazernym piłkarzem w historii Bundesligi. Ale można być chciwym egoistą – i nie dowozić. A Lewy zawsze dowoził.

Jego dzieje w Bundeslidze to również przyczynek do opowieści o mylnych kalkulacjach, zadziwiających uprzedzeniach, jak ▶

© SCHWÖRER PRESSEFOTO/IMAGO SPORT/FORUM

eprasa.pl d6bf8a6782

▶ również biznesowej bezwzględności, o jakiej świadczą bezczelne i nielegalne podchody szefów Bayernu pod strzelającego dla Borussii Lewandowskiego (przeciw którym zarówno piłkarz, jak i sekundujący transferowi Kucharski nie protestowali, gdy zapach setek milionów złotych wisiał w powietrzu). Jednak Lewandowskiego do żywego ubodła postawa szefów Borussii, odmawiających mu podwyżki rocznej pensji (raptem 4 mln euro; w szczytowym momencie w Bayernie będzie zarabiać 25 mln), bo uważali, że w ich zespole Polak nie może dostawać więcej niż Niemiec. Władze Bayernu chciały mieć pewność, że Lewy im się nie wymknie i nie zmieni zdania, więc jeszcze podczas obowiązywania kontraktu z Borussią zawarto z nim tajną umowę, w której zobowiązał się do przejścia do Monachium latem 2014 r. Miał za ten podpis zgarnąć ośmiocyfrową kwotę, więc wychodziło na to, że wprawdzie wciąż gra w Dortmundzie, ale już płaci mu Bayern. To już wcześniej wyszło na jaw, ale mocno brzmią przytoczone w książce słowa prezesa Borussii Hansa-Joachima Watzkego, że wracając do finału Ligi Mistrzów w 2013 r., przegranego przez Borussię z Bayernem 1:2, ma nieodparte wrażenie, jakby Robert myślami był już w Monachium. Watzke dodaje, że do końca życia będzie mieć o to żal do Kucharskiego. Staszewski i tu marnuje szansę, by poprosić piłkarza o komentarz.

Chłopcy w krótkich spodenkach

Dla kibiców od lat zachodzących w głowę, jak to możliwe, że mimo obecności na pokładzie kapitana Lewandowskiego, jednego z najlepszych napastników w dziejach futbolu, jak również jego mniej opływających w tytuły i miliony, ale grających od lat w mocnych zachodnich ligach kolegów, polska reprezentacja notorycznie rozczarowuje na mistrzowskich turniejach, „Prawdziwy" przemyca między wierszami cząstkową i przewidywalną odpowiedź: bo piłkarze są chłopcami w krótkich spodenkach. Dosłownie i w przenośni.

Czy kadra Franciszka Smudy, po której wiele sobie obiecywano podczas rozgrywanego na polskiej ziemi Euro 2012, była w stanie osiągnąć więcej niż dwa skromne remisy w słabej grupie? Pewnie tak, tylko że Lewandowski nie lubił Ludovica Obraniaka (jednego z naturalizowanych w przyspieszonym trybie w związku z akcją „wszystkie ręce na pokład"), i to z wzajemnością, więc nie podawali sobie piłki. Lewy poróżnił się z polskimi kolegami z Borussii Dortmund (Piszczkiem i Błaszczykowskim) i upewniał się, że na zgrupowanie reprezentacji przyleci innym samolotem. Fatalnie znosił chwilowy rozbłysk w reprezentacji Arkadiusza Milika, a następnie Krzysztofa Piątka, postrzegając ich jako potencjalnych konkurentów, a nie partnerów jadących na tym samym wózku.

Kwestia tego, kto się na kogo obraził, za co, jakie w reprezentacji są grupki i dlaczego Lewandowski nie należy do żadnej z nich, ale też nie ma wpływu, jakiego należałoby się spodziewać po kapitanie, zajmuje zresztą w książce sporo miejsca. Polska drużyna narodowa nie jest pod tym względem odosobniona, podziały i kłótnie rozbiły niejedną piłkarską szatnię i zniweczyły kibicowskie nadzieje. Polska specyfika, znów związana z osobowością i charakterem Lewandowskiego, to coś, z czego dał się poznać od najmłodszych lat – wymierzone w kolegów gesty oznaczające frustrację i złość za brak podań. Okazuje się teraz, że taką mową ciała kapitan źle wpływał na zespół, onieśmielał mniej doświadczonych kolegów, pętał im nogi, więc z obawy, że podadzą mu piłkę źle, w ogóle nie podawali. Odwagi i determinacji nie zbywało im za to, gdy walczyli o podział sławetnej 50-milionowej premii obiecanej przez premiera Mateusza Morawieckiego za wyjście z grupy na ostatnim mundialu w Katarze. Staszewski odwzorowuje tamte targi z pieczołowitością agenta służb specjalnych, wyraźnie dumny, że został wtajemniczony w smartfonową korespondencję piłkarzy w temacie „afery premiowej". Wniosek jest smutny: taka drużyna nie miała prawa wygrywać.

Pod słońcem Barcelony

Choć Robert Lewandowski wciąż imponuje snajperskim instynktem w Barcelonie, nie widać po nim upływu lat i znów jest postrzegany jako ostoja kadry narodowej, wchodzi już nieubłaganie w smugę cienia. Jednak jego rozgrywka spoza boiska z byłym menedżerem dopiero nabiera rumieńców. Kucharski zainwestował w piłkarski start-up, którym były prawa do wizerunku Lewandowskiego, gdy ten grał jeszcze w Zniczu Pruszków. Zapłacił za to 50 tys. zł, a mniej więcej dekadę później, gdy jego drogi z napastnikiem zaczęły się rozchodzić, wycenił je na 39 mln zł. Uważa, że te prawa wciąż należą do niego, i na taką kwotę pozwał napastnika.

Sprawa utknęła jednak w martwym punkcie, można odnieść wrażenie, że trwa oczekiwanie na finał pozwów, w których Kucharski jest z kolei oskarżonym. Lewandowski nagrywał swoje rozmowy z byłym menedżerem, w trakcie jednej z nich padły ze strony Kucharskiego słowa, które przez piłkarza i jego prawników zostały odebrane jako szantaż. Ale jest problem z dowiedzeniem autentyczności nagrań, bo dostarczono je do sądu w częściach, a telefon, na którym były utrwalane, wyczyszczono do ustawień fabrycznych. Trwają przesłuchania świadków, w tym kolegów Lewandowskiego służących mu obecnie doradztwem prawnym, podatkowym i biznesowym.

W książce jest mowa o tym, że po transferze do Barcelony obecny agent Lewego Pini Zahavi zgarnął 10 mln euro premii. Połowa miała trafić do jego polskiego współpracownika. Lewandowski jednak stracił do tego człowieka zaufanie i kilka milionów zostało podzielonych między mamę piłkarza a jego najlepszego przyjaciela Tomasza Zawiślaka, który po rozstaniu z Kucharskim pośredniczy w negocjacjach ze sponsorami. Tymczasem w Hiszpanii, podobnie zresztą jak w Niemczech, agent nie może transferować pieniędzy do piłkarza ani jego rodziny, gdyż uznaje się to za ukrytą płatność i unikanie opodatkowania. Jak tłumaczy POLITYCE Fernando Lozano, ekspert podatkowy w hiszpańskim oddziale firmy Andersen, to zadziwiająco szczere wyznanie (zapewne z bezpośredniego otoczenia piłkarza) może być dla niego kłopotliwe, gdyż lokalny fiskus może kwestionować zasadność i wysokość tych płatności.

Na razie napastnik uważa jednak swój barceloński rozdział za najszczęśliwszy w karierze. Magia klubu, klimat, kuchnia, piękno miasta, poczucie bycia idolem i wzorem do naśladowania – prezes Joan Laporta nazywa w książce napastnika „najlepszym, co mogło się przydarzyć naszej młodzieży", odwołując się do jego etosu pracy – sprawiają, że pod koniec kariery Lewandowski złapał luz i dystans. Podczas zgrupowań reprezentacji pozwala młodemu pokoleniu z siebie żartować, a nawet dosiada się do stolików kolegów z kadry, których wcześniej ignorował albo patrzył na nich z góry. W obliczu czekających kadrę pod koniec marca barażowych meczów o udział w mundialu z Albanią i ewentualnie ze zwycięzcą spotkania Ukraina-Szwecja ta metamorfoza kapitana – o ile jest prawdziwa – z pewnością by pomogła.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl d6bf8a6782

Podaruj uśmiech małym i dużym!

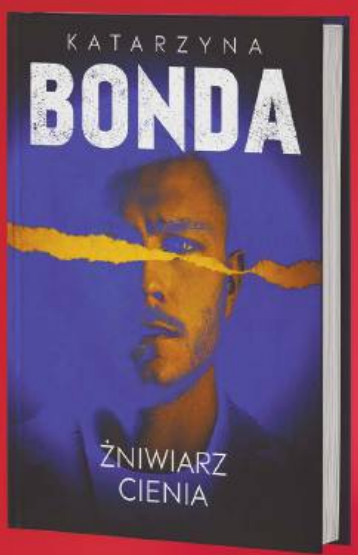

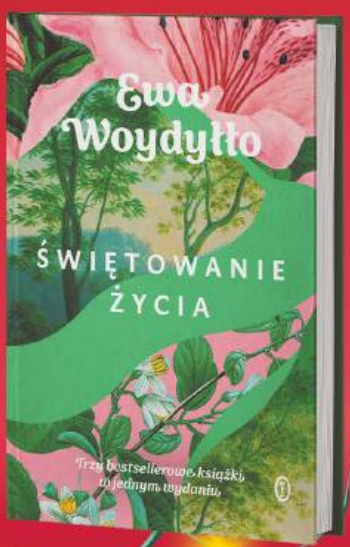



-30%* z aplikacją kameleon

ZABAWKI 2+1 GRATIS**



PREZENTÓW SZUKAJ W:

inmedio RELAY 1minute discover

* PROMOCJA DOTYCZY TYTUŁU „PIEKŁO JEST PUSTE". NAJNIŻSZA CENA Z OSTATNICH 30 DNI: 52,90 ZŁ. CENA Z APLIKACJĄ: 37,03 ZŁ.
** NAJTAŃSZY PRODUKT.

eprasa.pl d6bf8a6782



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Sąd Rejonowy w Chełmie chce ustalić, czy książka „Debil, studium przypadku" dr Aleksandry Sarny obraża Andrzeja Dudę. Jestem za. Też uważam, że słowa o przypadku są nie na miejscu.

●

Bartosz Żukowski przegrał swoją pierwszą walkę w Fame MMA. „Walduś był kiepski" – takie opinie przeważały. Dziwne. 40 sekund to niezły czas. Odcinki serialu niestety były dłuższe.

●

Podczas wizyty w brawurowym programie „Halo tu Polsat" Grzegorz Krychowiak wytknął Maćkowi Kurzajewskiemu brak garnituru. I tu muszę stanąć po stronie Maćka. Bo to akurat jego najmniejszy problem.

●

Wkrótce minie 530 dni od ostatniego występu Arkadiusza Milika zarówno w Juventusie, jak i naszej reprezentacji. Szczęściarz. Jemu dalej słowo Malta kojarzyć się może z pięknymi plażami.

●

Joanna Opozda zdradziła, ile waży. 53 kilogramy. „Niestety łapię wodę", wyznała aktorka. 53 kilo. To wypada po 53 kilo na każdą główną rolę.

●

Kibice w Krakowie wywiesili transparent skierowany do Zbigniewa Ziobry: „Ziobro, parówo, oddaj Polakom miliony, w kryminale będziesz przecw.... ny". A tyle się obecnie narzeka, że młodzież nie czyta już poezji.

„Nienawidzę określenia: my artyści. Albo: ja artysta" – to Jan Englert. „Najpierw trzeba umieć. Dopiero może z tysiąca rzemieślników urodzi się jeden artysta". Ładne i pojemne. W czterech zdaniach zmieścić tyle polskich seriali.

●

Zygmunt Chajzer został dyrektorem programowym stacji Remonty TV. Patrząc na jego karierę, przypomina się słynne powiedzenie remontowego fachowca: „Panie, kto panu to tak spier...ł?".

●

Kwoty 2,5 mln zł dofinansowania na sylwestra w Chełmie zażądała TV Republika od marszałka województwa lubelskiego. Tradycyjnie. Prawica najchętniej bawi się na koszt najwyższego.

●

„Eksperyment: Odsiadka", takie reality show zadebiutuje w serwisie Canal+. Siedmiu znanych mężczyzn zostanie zamkniętych w celach zakładu karnego. Z obsady programu wynika, że będą to ci sami, co zwykle.



© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

●

„Mieć teściów, którzy są byłą parą prezydencką, to jest straszny szpan" – to zięć Kuba Badach. Na swej najnowszej płycie ujawnia wprost: „Niesie się gminna wieść, że to nie praca, talent, tylko teść".

●

Lider Elektrycznych Gitar Kuba Sienkiewicz ujawnił, że ma sześcioro dzieci z trzech związków. A jego najmłodsza córka też robi karierę muzyczną. Kuba jest neurologiem, więc musi znać powiedzenie: „Co drugi fan to niewyleczony pacjent".

●

Dominika Serowska szuka menedżera „z okazji mego bycia w mediach". Jedyna osoba, jaką kojarzę w tym newsie, to ten menedżer.

●

„Wprost" ogłosił Listę Najbardziej Wpływowych Polaków. Na szóstym miejscu Sławomir Mentzen. Na piątym Iga Świątek. A zresztą kogo obchodzi ranking Najbardziej Wpływowych Najmniej Wpływowego Tygodnika w Polsce?

●

Mata zaprezentował swój nowy numer: „Suko będę prezydentem, który złamał każde tabu. (...) Skoro nawet sutener może, to też bym ja mógł". No i mamy problem. Rymy niedokładne przeplatają się z krzyżowymi, a te z okalającymi. Reszta bez zarzutu.

●

Specjalny odcinek programu „Mam talent!" pod choinkę zostanie wyemitowany 25 grudnia. W kontekście tego, kto wygrywa ten program, wypatrywanie pierwszej gwiazdki może być problemem.

Marianna Schreiber rozstała się ze swoim partnerem. Bukmacherzy dają jej 35 proc. szans na nowego partnera do końca roku. Różne są rodzaje zakładów, w tym przypadku stawiałbym na zakłady wielokrotne.

eprasa.pl d6bf8a6782

FELIETON

Passent



Rytuał

Zakłady fotograficzne podzieliły los punktów naprawy magnetofonów, salonów prasy, kolekcji fajek, tytoniów i wyciorów, budek telefonicznych, sklepów filatelistycznych – dopisujcie, co chcecie. Progresywne to lubię podatki, ale już w kwestii nowoczesnych technologii czy codziennych rytuałów pozostaję analogowa, wręcz konserwatywna. Co prawda na palenie fajki nigdy bym się nie dała namówić, choćby z uwagi na to, że wszystko gubię – w tym roku w świat puściłam już cztery ładowarki, co najmniej pięć samotnych rękawiczek, aparat na zęby (niech się zdrowo nosi szczęśliwemu znalazcy).

Lęk przed nowoczesnymi technologiami i umiłowanie analogu towarzyszyły mi od dziecka, wolę spotykać się na żywo niż na Teamsach, papierowe gazety i książki cenię bardziej niż ekranozę, używam często gotówki. Lubiłam rytuał zdjęć u fotografa, choćby dlatego, że otrzymywało się odbitkę, a oglądanie albumików z krzywo przyklejonymi odbitkami podpisanymi rozmazanym atramentem jednoczyło naszą i tak mikroskopijną rodzinę.

Mija 30 lat mojego życia bez telewizora. Zawsze było coś lepszego: melanż, książka, sport. Zauważyłam, że na spotkaniach ludzie uaktywniają swoje smartfony, co rusz zerkając na ekran, a ja wpatruję się i wsłuchuję w rozmówcę. Zrobiło się to chyba już tak staromodne, że budzi zmieszanie. Czy ona udaje psychiatrę? Czy niedowidzi?

> Miasteczka i miasta pobudowały orliki, ale to nie jest główna przyczyna braku piłkarzy podwórkowych.

Bardziej od rytuałów technologicznych interesują mnie te rodzinne, które wskutek depopulacji znikają niczym budki telefoniczne. Komu służą dziś napisy „Zakaz gry w piłkę" na podwórkach? Jasne, dzięki programom wsparcia miasteczka i miasta pobudowały orliki, ale to nie jest główna przyczyna braku piłkarzy podwórkowych. Jestem już udręczona czytaniem – w większości paternalistycznych – komentarzy zwalających winę za depopulację na osoby, które nierzadko chciałyby mieć dzieci, ale z wielu przyczyn ich nie mają. Komentujący to często boomerzy, którzy oczekują życiowych poświęceń od pokolenia zetek. Kochani, optymiści żyją kilka lat dłużej i mają zdrowsze serca, są na to naukowe dowody. Bądźcie konstruktywni, przedstawiajcie w portalozie swoje pomysły na depopulację.

Zacznijmy od mojej skromnej osoby, która może przynieść wam zasięgi na jutubach rozmową o urokach jedynactwa. A te były i są wielkie niczym susza na Mazowszu. Od zysków erotycznych po statusowe. Nie dzieliłam z nikim pokoju jako nastolatka, a kolega zasiedział się po korkach z fizyki... Cały pokój całą dobę dla siebie, a po nocach jeszcze można czytać lub gadać przez telefon. Podrabianie testamentów? Walka o koncern medialny lub szopę z narzędziami i konie po tatku? Nie ma tematu, oszczędzi się na notariuszach. Hałas? Wiemy, że bachory drą się i wyją. Wysokie decybele zanieczyszczają środowisko, powodują ból głowy, nękają. Puste osiedla, zamykane przedszkola – cichuteńko, wróble to lubią. Widzieliście, ile ciuchów, starych baterii, brudnych jednorazowych pieluch (tatusiom nie chce się prać tetrówek) wywalamy lub eksportujemy do państw afrykańskich? Hańba! Nasze obecnie żyjące dzieci i wy sami – oto prawdziwi beneficjenci depopulacji. Córcia ma dysleksję i pisze „komónizm i rzydokomóna", a nieco tępawy synalek nie kuma rachunku różniczkowego? Nauczyciele mogą poświęcić im więcej czasu i uwagi, bo w klasie macie dzieci 20, a nie 36, jak u mnie w PRL-u.

Komunista został marszałkiem Sejmu. Chcąc wpasować się w tzw. koalicję uśmiechniętych (uśmiech nie jest w Polsce wskazany, bo uchodzisz za farbowanego lisa, cynika lub człowieka sukcesu), nagrywa rolki z kluczami do tanich mieszkań na wynajem. Nikt ich jeszcze nie widział, ale klucznik Gerwazy ma sobie czym pobrzdąkać. Lewica jest partią bliską moim przekonaniom, ale czy problem mieszkaniowy nie rozwiązuje się sam na naszych oczach? Piękne dwupiętrowe domy rodzinne z garażami i piwnicami to pułapki dla samotnych babć. Kto to ogrzeje, zamówi speca od termoizolacji, zamontuje windę, kto z nimi zamieszka? Ceny domów spadają, wiele stoi pustych, ściany już tylko wspominają, czy to oficerską epokę szwoleżerów, czy to truskawki w Milanówku. Domy będzie się rozbierać albo przerabiać na osobne mieszkania. Nowe działki pod osiedla łanowe stają się niepotrzebne.

Skrócą się kolejki do pediatry – na usuwanie migdałków w NFZ już nie będziemy czekać rok, tylko kilka miesięcy. A puste przedszkola deweloperzy mogą przerabiać na domy opieki lub przychodnie dla weteranów wojennych powracających z Czerniowiec. Gdy pustoszeją domy, zanika też rytuał palenia w kominkach oraz wrzucania kaloszy do kopciuchów. A tzw. psiecko? Nie ma rytuału wychodzenia do kiosku albo z psem. Zwierzęta staną się luksusem. Kto płacił rachunki u psiego ortopedy, zna ceny kociego żwirku albo poi codziennie konie, ten coś o tym wie. Zwyczaje takie jak chrzciny, bar micwa, wizyty na obiadach u babci lub szwagra – to będzie ekstrawagancja niczym zbieranie znaczków z Madagaskaru. Jakie nowe rytuały je zastąpią?

AGATA PASSENT

eprasa.pl d6bf8a6782



Wielki piękny plan

Amerykański historyk Timothy Snyder powiedział, że plan pokojowy Trumpa i Witkoffa dla Rosji i Ukrainy brzmi tak, jakby został przetłumaczony na angielski z rosyjskiego. Jego opinię potwierdziła analiza językowa opublikowana przez dziennik „The Guardian", która wykazała obecność w tekście kalk z rosyjskiego. Podążając translatorskim tropem, spróbujmy skomentować co ciekawsze punkty planu w języku historycznej empirii.

„Suwerenność Ukrainy zostanie potwierdzona" – rzecze plan w punkcie pierwszym. Rosja słynąca z gumowego stosunku do prawdy i niezbrukanych intencji jest przecież mistrzynią świata w potwierdzaniu suwerenności krajów podbitych. „Między Rosją, Ukrainą i Europą zostanie zawarte wszechstronne porozumienie o nieagresji". Jeden pakt o nieagresji z Rosją już mieliśmy i wiemy, jak to się skończyło: misją wyzwoleńczą we wschodniej Polsce w porozumieniu z Hitlerem. „Oczekuje się, że Rosja nie napadnie na sąsiednie państwa, a NATO się dalej nie rozszerzy". Oczekiwać można, to nic nie kosztuje. A że rozszerzenie paktu obronnego traktuje się jako równoważne wobec napaści na sąsiada? Rosja już tak ma.

„Liczebność Ukraińskich Sił Zbrojnych zostanie ograniczona do sześciuset tysięcy". A co się stanie z nadwyżką? Pojadą do Katynia na pobyt stały? Jako rezerwiści też będą zagrażać Moskalom. „Ukraina zgadza się zawrzeć w swojej konstytucji zapis, że nie dołączy do NATO, a NATO zgadza się włączyć do swoich statutów zapewnienie, że Ukraina nie zostanie przyjęta w przyszłości". No jak się zgadza, jak się nie zgadza? Ale wyjaśniło się przynajmniej, że ta suwerenność, która ma zostać potwierdzona, to dopiero po zmianie konstytucji pod dyktando Rosji. A jakim cudem NATO miałoby zapewnić, że nie zrobi czegoś w przyszłości? Byłoby to warte tyle, ile analogiczne zobowiązania nałożone na Rosję, czyli złamanego rubla po dzisiejszym kursie.

> Napisać i podpisać można wszystko, w stosunkach z Rosją nie ma to znaczenia. Jedyne, co ma sens, to patrzeć jej na ręce.

„Jeżeli Rosja napadnie na Ukrainę, oprócz zdecydowanej skoordynowanej odpowiedzi zbrojnej zostaną przywrócone wszystkie sankcje, a uznanie nowych terytoriów i wszystkie inne korzyści wynikające z niniejszej umowy zostaną odwołane". Rosja już napadła na Ukrainę i nie zamierza się wycofać, więc dlaczego tryb warunkowy? Dlatego, że gdyby zgodnie ze stanem faktycznym zastąpić go czasem przeszłym dokonanym, plan pokojowy musiałby zostać odwołany jeszcze przed podpisaniem; musiałaby też wybrzmieć wspomniana odpowiedź zbrojna. „Jeżeli Ukraina bez powodu wystrzeli pocisk na Moskwę albo Petersburg, gwarancje bezpieczeństwa zostaną uznane za nieważne". A więc są i dobre wiadomości: jednak boją się ostrzału. Za to „bez powodu" brzmi zagadkowo. Czyżby powody Ukraińców były niewystarczające? No i skoro nie Moskwa i nie Petersburg, to co? Królewiec? Haishenwai?

„Rosja zostanie ponownie włączona do światowej gospodarki i ponownie zaproszona do grupy G8". Znakomicie. Pozarabia sobie kilka lat na ropie i gazie i znowu napadnie na Ukrainę..., a nie, sorry, wróć: wyruszy na Kijów wyzwalać sanitariaty i małe AGD. „Rosja nada kształt prawny swojej polityce nieagresji wobec Europy i Ukrainy". To Rosja ma taką politykę? Putin musi chyba trzymać ją pod tym długim stołem, dlatego nikt jej nie widział. „Oba kraje podejmują się wdrożenia w szkołach i społeczeństwie programów edukacyjnych mających na celu upowszechnianie zrozumienia i tolerancji wobec odmiennych kultur oraz eliminacji rasizmu i uprzedzeń". Co to jest rasizm? Rasizm jest wtedy, kiedy ktoś uważa, że Rosja posiada granice i nie powinna ich przekraczać. „Ukraina przyjmie zasady Unii Europejskiej dotyczące tolerancji religijnej i ochrony mniejszości językowych". Czyli patriarchat moskiewski wraca do ukraińskich cerkwi, żeby kontynuować zbożne dzieło rusyfikacji i szpiegostwa.

„Nazistowska ideologia i takież działania muszą zostać odrzucone i zakazane we wszelkiej postaci". Ho, ho, aż trudno uwierzyć, że Rosja to podpisze, tyle zainwestowała w swój nazizm! Palenie wstążek w kolorach stonki i naklejek „Możem powtorit'" będzie ją kosztowało majątek. „Wszyscy przetrzymywani cywile i jeńcy zostaną wypuszczeni, włącznie z dziećmi". Już to grali, w 1942 r., po układzie Sikorski-Majski. Zanim wieść o amnestii dotarła z Moskwy do odległych łagrów, było po ptakach. A ilu z tych, którzy dowiedzieli się w porę, usłyszało od strażników, że ani myślą ich wypuszczać? „Ukraina przeprowadzi wybory w ciągu stu dni". Janukowycz już wybiega z domu w kapciach i łapie ubera na Szeremietiewo.

„Wszystkie strony zaangażowane w konflikt zostaną objęte całkowitą amnestią za swoje działania podczas wojny i zgadzają się nie zgłaszać żadnych roszczeń ani nie rozważają składania jakichkolwiek skarg w przyszłości". W ośrodku dla zbrodniarzy w zaświatach Hess i Göring esemesują z jacuzzi: „Wowa, bracie, zazdro! Nawet Mengele w Argentynie nie miał tak dobrze".

Napisać i podpisać można wszystko, w stosunkach z Rosją nie ma to znaczenia. Jedyne, co ma sens, to patrzeć jej na ręce. Z palcem na czerwonym guziku.

RENATA LIS

eprasa.pl d6bf8a6782

FELIETON

Witkowski



Marks by się uśmiał

Jaka powinna być lewica? Tego dowiemy się zazwyczaj od lidera opinii, który i tak nie będzie na nią głosował. Bo nie przestają na mnie robić wrażenia uwaga i wysiłki poświęcane przez rodzimych publicystów równie rodzimym partiom lewicowym. Zaczynam nawet podejrzewać, że chodzi o nadwyżki energetyczne, które trzeba jakoś spożytkować. Jedni kleją modele samolotów, drudzy grają w padla, jeszcze inni udzielają bezpłatnych lekcji, jak być dobrym lewicowcem (istnieje bowiem również „zła lewica", o czym później).

To przede wszystkim domena centrystów, ale nie tylko. Przecież poza Tomaszem Lisem, który zwyczajnie wie, jak powinien wyglądać świat, i nie da sobie tej wiary odebrać, oraz łającym lewicę Ziemowitem Szczerkiem, niestrudzonym w usprawiedliwianiu przed światem, dlaczego nie głosuje na partię X lub Y (czytaj: na Razem), jest jeszcze całe spektrum barw i odcieni. Od uwag i przytyków pęcznieje również polska bańka lewicowa, tu między innymi: „jak można było iść z Tuskiem?", „jak można dalej iść z Tuskiem?" i „jak można w ogóle iść?".

Lewica to w ogóle twór tajemniczy, płynny i schrödingerowski. W zależności od celów publicystycznych odgrywa w Polsce marginalną rolę (więc powinna siedzieć cicho i nie kąsać ręki, która ją karmi) lub ponosi odpowiedzialność za sukcesy wyborcze prawicy, a w dalszej kolejności za postępującą degrengoladę i nieuchronną entropię. Mająca już od dawna status memu „wina Tuska" została już wyparta przez „winę Razem", a czasem, precyzyjniej, „winę Zandberga". Być li tylko kołem poselskim, a jednocześnie trząść całą polską polityką – jeśli to nie dowód strategicznego geniuszu, to nie wiem, co nim jest.

Szczególnie rozczulające są jednak dobre rady, których realizacja oznaczałaby całkowite unicestwienie: tak tożsamościowe, jak i polityczne. Co ciekawe, aby usłyszeć takowe, nie trzeba wcale istnieć. Na przykład w POLITYCE 48 prof. Jan Hartman wykazał się prawdziwym heroizmem w walce ze zmotanym własnoręcznie chochołem. Publicysta pisze o „złej lewicy", która dehumanizuje przedsiębiorców i wykorzystuje ją wyłącznie do „dojenia" podatków. Sugeruje, że „współczesna lewica odeszła od Marksa", ten bowiem „cenił i szanował fabrykantów", jeśli byli „ludźmi uczciwymi i postępowymi".

Nasza uwaga jest tu ewidentnie kierowana w stronę realnych posiadaczy kapitału, właścicieli wielomilionowych biznesów, a nie mikroprzedsiębiorców (kłania się państwu Mateusz Witkowski, dumny właściciel i prezes jednoosobowej firmy). Skoro tak, trudno nie uśmiechnąć się na podsuwaną w tym samym tekście analogię: „lewica traktuje tzw. kapitalistów w taki sam sposób, w jaki dawni kapitaliści traktowali robotników". Łatwo byłoby posądzić prof. Hartmana o nieznajomość pojęcia przywileju, co w przypadku doświadczonego nauczyciela akademickiego i publicysty byłoby przecież grubym nieporozumieniem.

Na tym jednak nie koniec myślowej woltyżerki. Jan Hartman pisze o (jak wnioskuję z całości tekstu: polskiej) „współczesnej lewicy na wojnie z kapitalizmem i wolnym rynkiem". Tę, owszem, znajdziemy na paru facebookowych grupkach. W wymiarze parlamentarnym czy nawet ogólnopolitycznym bowiem nie istnieje. Gra toczy się już jedynie o mozolne reformowanie neoliberalnego (nie)ładu, o – że posłużę się tym frazesem – kapitalizm z ludzką twarzą. Marks by się uśmiał.

Adresat uwag prof. Hartmana właściwie do końca pozostaje enigmą. Czytamy, że „lewica u władzy – także ta nacjonalistyczna i populistyczna, jak PiS – traktuje przedsiębiorców, jak gdyby byli konkurentami". Odsuwam kwestię lewicowości PiS, skupiam się jednak na „także". O ile pamiętam, poprzednią lewicową, przynajmniej z nazwy, polską partią sprawującą rządy w naszym kraju, było SLD z początku XXI w. To samo SLD, które do dziś jest chwalone przez Konfederatów za wolnorynkowe usposobienie i sprzyjanie przedsiębiorcom.

À propos Konfederacji: dostajemy w rzeczonym tekście cały wachlarz argumentów podebranych prawej stronie. Lewica chce podatków od milionerów i miliarderów (zgroza!), bo jest zawistna. Tymczasem zdaniem autora przedsiębiorca „chętniej sam wybuduje przedszkole, niż zapłaci dodatkowy milion podatków". Oto gorąca wiara w wolny rynek i dobroczynny charakter wielkiego biznesu przecinają się nam w przedziwnym tańcu z optymalizacją podatkową.

I tak wracamy do „lewicy Schrödingera" – niby jej nie ma, a pociąga za wszystkie sznurki. Niby ściubie punkty procentowe lub w ogóle znika z parlamentu, a nie pozwala biznesowi na rozwój. Gdyby była „dobra", to głównym – albo przynajmniej równorzędnym – obiektem zainteresowania uczyniłaby najbogatszych. Bez zważania na nieuchronne w przypadku wielkiego kapitału wyzysk, eksploatację i powiększający się rozziew między garstką posiadających a zwykłym pracownikiem (tak, również tych na jednoosobowej działalności gospodarczej!). Rozwiązanie tego problematu jest dziecinnie proste. „Dobra lewica" to taka, która jest prawicą, no, ewentualnie centrum. Doprawdy, neoliberalizm to opium nie tylko dla mas, ale dla liderów opinii również.

MATEUSZ WITKOWSKI

Mateusz Witkowski – podkaster, dziennikarz, krytyk muzyczny i popkulturowy. Współtworzy podcastex i portal popmoderna.pl, wierzy wyłącznie w Alessandro Del Piero.

eprasa.pl d6bf8a6782



Parlamentaryzm i inne atrakcje

Paweł Szefernaker, szef gabinetu prezydenta Nawrockiego, ostrzegł przed niebezpieczeństwami związanymi „z serią pozornie niepowiązanych zdarzeń", które wprawdzie osobno nie wyglądają groźnie, ale razem układają się w obraz sytuacji, „którą musimy natychmiast odwrócić, jeśli chcemy, by Polska pozostała suwerenna i bezpieczna". Zwraca np. uwagę na skandaliczną aukcję w Niemczech, na której miały zostać sprzedane pamiątki po ofiarach niemieckich zbrodni wojennych, a do tego dokłada informację o pozornie niepowiązanym z tą aukcją ataku niemieckiego ambasadora na raport dotyczący należnych Polsce reparacji wojennych. Oraz przypomina, że w tym samym czasie, gdy niemiecki ambasador atakuje polski raport, „ktoś wysadza tory między Dęblinem a Warszawą", a prezydentowi „odmawia się kontaktu z szefami najważniejszych służb".

Zgadzam się z Szefernakerem, że tylko niepatriota lub osoba z deficytem umysłowym nie powiązaliby tych zdarzeń, sprytnie udających, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Pozorny brak powiązań jest tu tak widoczny, że nie może być przypadkowy. Najwyraźniej komuś – może Niemcom lub osobom wysadzającym tory i odmawiającym prezydentowi kontaktu z szefami służb – zależało na spowodowaniu chaosu wywołanego przez niepowiązanie niczego z niczym. Na szczęście posiadający analityczną umysłowość Szefernaker przejrzał ten plan i wszystko ze sobą powiązał, dzięki czemu wszyscy możemy odetchnąć i poczuć się bezpieczniej.

Szefernaker ostrzega, że te zdarzenia to „sygnały większej choroby". Jak rozległa jest ta choroba, pokaże seria kolejnych sygnałów wyłaniających się ze zdarzeń, które – miejmy nadzieję – Szefernaker bez trudu ze sobą powiąże. Zgadzam się z posłami PiS, że szczególnie groźnym sygnałem jest wprowadzony przez nowego marszałka Sejmu zakaz spożywania alkoholu w tej izbie.

Fakt, że w Sejmie nie będzie można się napić rodzi pytanie o przyszłość polskiej demokracji. Nie wygląda ona wesoło. Nie ma żadnych naukowych dowodów, że ustawy uchwalane pod wpływem alkoholu są lepsze od tych uchwalanych na trzeźwo, ale nie ma też dowodów, że są gorsze. Mimo to nikt nie wymaga od marszałka Czarzastego, żeby pił. Jak nie chce, niech nie pije, ale niech się nie upiera, żeby inni także nie pili; zwłaszcza ci, którzy dla ożywienia debaty chętnie by się napili.

A jeśli już Czarzasty zabrania alkoholu, niech przynajmniej dla ratowania parlamentaryzmu wprowadzi w Sejmie jakiejś inne atrakcje, żeby posłowie nie musieli szukać ich poza Sejmem i mogli się skupić na pracy.

GALERIA POLITYKI

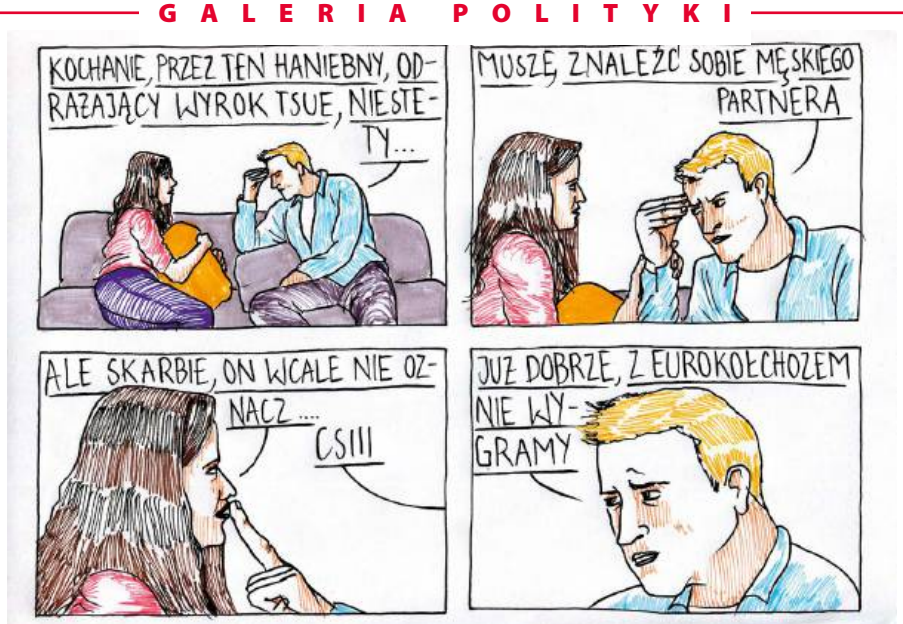

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl d6bf8a6782



POLITYKA niezmiennie numerem 1

Miło nam poinformować, że według najnowszych danych spółki Polskie Badania Czytelnictwa POLITYKA odnotowała najwyższą sprzedaż spośród wszystkich tygodników opinii w Polsce również w trzecim kwartale 2025 r. Z wynikiem 70,8 tys. średnio sprzedanych wydań była tym samym najchętniej kupowanym tytułem w segmencie.

Na drugim miejscu w zestawieniu tradycyjnie znalazł się „Newsweek" – ze średnią sprzedażą na poziomie 57,5 tys. egz. Pozostałe tygodniki społeczno-polityczne i tym razem były daleko w tyle: „Do Rzeczy" sprzedawało 23,9 tys. egz., „Sieci" – 23,7 tys. egz., „Gazeta Polska" – 22,9 tys. egz., „Tygodnik Powszechny" – 19,5 tys. egz.

POLITYKA wypada również najlepiej pod względem sprzedaży wydań cyfrowych (tzw. e-wydań). Głównie za sprawą Polityki Cyfrowej w trzecim kwartale br. zanotowaliśmy średnią sprzedaż na poziomie 26,6 tys. egz. Drugie miejsce i tu przypadło „Newsweekowi" – 24,4 tys. egz. Natomiast żaden z pozostałych tytułów nie przekroczył progu 7 tys. średnio sprzedanych egzemplarzy.

REDAKCJA

Nagrody Historyczne POLITYKI im. Mariana Turskiego



Rozpoczynamy przyjmowanie zgłoszeń do 67. edycji Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego. Nagrody przyznawane są w pięciu kategoriach za książki o tematyce historycznej, dotyczącej najnowszej historii Polski (po 1914 r.):

– prace naukowe,
– prace popularnonaukowe,
– wydawnictwa źródłowe,
– pamiętniki, relacje, wspomnienia,
– debiuty w pracach naukowych i popularnonaukowych.

Zgłoszenia powinny dotyczyć książek i publikacji, które w metryczce mają wpisany rok wydania 2025. Nie nagradzamy wznowień i reedycji; w przypadku wydawnictw kilkutomowych wydawanych na przestrzeni lat czekamy na ukazanie się ostatniego tomu. Dopuszczamy do konkursu przetłumaczone na język polski książki autorów zagranicznych. Do zgłoszeń nie jest wymagany specjalny formularz. Prosimy o sporządzenie listy zgłaszanych pozycji (autor, tytuł, wydawnictwo, kontakt telefoniczno-mailowy) i wysłanie jej na adres: **nh@polityka.pl**. W przypadku prac naukowych (monografii) prosimy o dołączenie recenzji naukowej (również wewnętrznych) książki. Będziemy także wdzięczni za wyodrębnienie autorów debiutujących, ułatwi to nam odpowiednie zaklasyfikowanie książki.

Dodatkowo prosimy też o przesyłanie dwóch egzemplarzy każdej ze zgłoszonych pozycji na adres redakcji:

Tygodnik POLITYKA
ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa
z dopiskiem:
Nagrody Historyczne Polityki.

Na zgłoszenia czekamy do 30 stycznia 2026 r. Przyznanie nagród nastąpi w maju 2026 r.

Okładka POLITYKI

Chciałabym się z Państwem podzielić dziełem naszego syna Gustawa, lat 7. Gustaw fascynuje się książkami, dużo rysuje, tworzy komiksy. Mając niespełna 3 lata, płynnie czytał. Dziś żywo zainteresowany jest sytuacją w Polsce, a co za tym idzie – smutno mu z powodu wyników czerwcowych wyborów. Przygląda się bacznie przebiegowi wydarzeń w kraju. Czasem sięgnie również do tygodnika POLITYKA. Tak, trochę ojciec go zaraził. I dobrze! A my jako rodzice również się przyglądamy jego rozwojowi. Patrząc na jego kolejne dzieło, można uznać, że całkiem dobrze metaforycznie podszedł do tematu sytuacji i zachowań w pałacu na Krakowskim Przedmieściu.

HANNA KUCHARSKA, MAMA GUSTAWA KUCHARSKIEGO, AUTORA OKŁADKI

Od redakcji: Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko pogratulować Gustawowi talentu i zainteresowań. Jesteśmy dumni, że POLITYKA łączy pokolenia. I tak już od kilkudziesięciu lat.

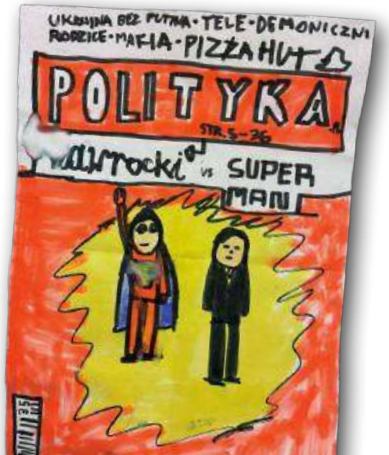

eprasa.pl d6bf8a6782

Ogarnięte dzieci

Do niedawna na tapecie byli „toksyczni rodzice". Później przyszła moda na leczenie „rany matki" i „rany ojca". Dziś młodsze pokolenia diagnozują swoje dzieciństwo pod kątem „parentyfikacji".



TREND

Co oznacza parentyfikacja? – *Przede wszystkim sytuację, w której dziecko lub nastolatek na stałe przyjmują funkcje dorosłego w rodzinie. W sensie instrumentalnym (gotowanie, opieka nad młodszym rodzeństwem, zarządzanie domem) i emocjonalnym: jest powiernikiem, doradcą lub „rodzicem" dla rodzica* – wyjaśnia psycholożka szkolna Karolina Szklanny, która przyznaje, że spotyka się w pracy z przejawami parentyfikacji u uczniów już z najmłodszych klas podstawówki. – *To dzieci tzw. ogarnięte, dojrzałe ponad wiek, garnące się do wyręczania nauczycieli* – dodaje.

Termin ten spopularyzowali w latach 70. psychiatrzy Ivan Boszormenyi-Nagy i Geraldine Spark. Opisywali w ten sposób złożony proces zamiany ról w rodzinach, który, owszem, mógł przybierać formy destrukcyjne. Chodziło o zjawisko skrajne: o dzieci wciągnięte w emocjonalne życie rodziców, dźwigające ciężar choroby albo uzależnienia matki czy ojca. – *Dziś natomiast dla wielu osób parentyfikacja stała się terminem parasolowym, umożliwiającym opisanie własnego dzieciństwa w ramach zbiorowego, pokoleniowego doświadczenia* – mówi Szklanny.

Przestrzega jednak przed pokusą traktowania każdej nieidealnej relacji rodzinnej jak brzemiennego w skutki wykorzystania. Gdzie leży granica między „normalną pomocą" a parentyfikacją? Istotny jest tu stopień nadmiaru obowiązków i brak wsparcia, a także to, czy proces jest rozwojowo odpowiedni. – *Faktem jest, że dzieci nie zawsze są chronione przed nadmiernymi wymaganiami i to może mieć konsekwencje w dorosłości* – mówi psycholożka. Zwraca uwagę na konieczność rozróżnienia, kiedy pomoc czy zachowanie oczekiwane od dziecka jest adekwatne, a kiedy staje się obciążeniem. – *Kluczowe czynniki to wiek, zakres i czas trwania obowiązków, to, czy dziecko nadal może swobodnie się rozwijać, uczyć, bawić się. Dobrze byłoby, gdyby pojęcie parentyfikacji było używane z precyzją. W przeciwnym razie stanie się kolejnym zużytym terminem, jak DDA czy DDD, które zamykają w klinczu obwiniania i frustracji.*

Zdaniem psycholożki popularność psychologicznych pojęć i ich przenikanie do języka popkultury idą dziś w parze z ich szybką inflacją. – *Zwłaszcza te odnoszące się do dzieciństwa w przestrzeni publicznej bywają stosowane na wyrost. Parentyfikacja jest problemem, gdy zadania stają się podstawowym mechanizmem funkcjonowania rodziny.*

Źle, gdy dziecko staje się powiernikiem rodzica, mediatorem w konfliktach, jego „partnerem emocjonalnym". Może w dorosłości mieć kłopot z wyznaczaniem granic, nadmierną odpowiedzialnością, lękiem przed konfliktem, skłonnością do przejmowania roli opiekuna w związkach. Zdaniem Karoliny Szklanny problem w tym, że dziś przedstawia się to wyłącznie jako problem z przeszłości. A młodzi rodzice nie widzą, że sami też mają skłonności do parentyfikowania. – *Ponieważ źle wspominają czasy, gdy latało się z kluczem na szyi, za wszelką cenę chcą mieć lepszy kontakt z dziećmi. I w tym widzę ryzyko: w chwaleniu się w internecie, że jest się najlepszą przyjaciółką swojej córki. Że wszędzie chodzi się razem, na zakupy ciuchowe, do kina, na koncerty. Taka matka może nie widzieć, że „upupia", gdy oczekuje od nastolatki, że będzie jej bezkrytyczną towarzyszką. Tak przecież zachowują się przyjaciółki, prawda?*

Z medialnego kolażu wyłania się specyficzny obrazek: z jednej strony to dobrze, że język psychologii trafia pod strzechy, umożliwiając ludziom nazywanie trudnych doświadczeń. Z drugiej widać, że gdy każdą trudność i deficyt próbuje się tłumaczyć niedostatkami (bądź traumą) z dzieciństwa, zaciera się granica między tym, co naprawdę niszczące, a tym, co naturalnie wpisane w dojrzewanie do roli dorosłych. A czy nie na tym polega wychowanie do życia w rodzinie? ■



Grażyna Morek
– dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

© SHUTTERSTOCK (2), LESZEK ZYCH, FACEBOOK/1670 ADAMCZYCHA. TA ADAMCZYCHA!

eprasa.pl d6bf8a6782

TECHNO

Maga z całego świata

Na platformie X (dawniej Twitter) pojawiła się funkcja, która pozwala sprawdzić kraj pochodzenia kont, miejsce pobrania aplikacji, datę rejestracji oraz historię zmian nazwy użytkownika. Miało to zwiększyć przejrzystość i pomóc rozróżniać prawdziwe konta od botów lub kont dezinformacyjnych. Nową funkcję szybko zaczęli testować wszelkiej maści internetowi detektywi, którzy zaczęli sprawdzać profile rozsiewające np. prawicową propagandę.

Okazało się, że wiele popularnych „amerykańskich" profili wspierających ruch MAGA (setki tysięcy obserwujących, wpisy podawane dalej przez polityków i dziennikarzy) nie pochodzi wcale z USA, ale z Bangladeszu, Indonezji, Indii, Tajlandii i Rosji. Problem z fałszywymi kontami rozsiewającymi dezinformację jest znany od lat. Rosyjscy agenci i farmy botów działają dla celów politycznych i w ramach wojny hybrydowej (stoją m.in. za antyukraińskimi i antyeuropejskimi wpisami w polskim internecie), inni chcą po prostu zarobić.



Tzw. zweryfikowane konta (niegdyś mechanizm ten służył do potwierdzania tożsamości celebrytów, dziś oznacza po prostu, że użytkownik wykupił usługę „premium") biorą udział w podziale zysków. Platforma wypłaca twórcom środki za aktywność i interakcje – to mechanizm, który premiuje publikowanie treści kontrowersyjnych i budzących emocje. Denerwowanie i wzburzanie Amerykanów za pomocą „patriotycznych" treści generowanych często przez AI staje się po prostu dobrym źródłem dochodu, zwłaszcza dla mieszkańców mniej zamożnych krajów.

Podobny proceder (więcej na portalu polityka.pl) śledztwo BBC odkryło na Facebooku, gdzie międzynarodowa sieć spamerów, m.in. z Pakistanu, zarabiała dzięki generowanym przez AI fałszywym historiom z Holokaustu. Nie stała za tym żadna motywacja polityczna czy historyczna – po prostu wybrano temat, który dobrze się klikał na Zachodzie.

Wprowadzenie funkcji przejrzystości może pomóc odsiewać oszustów, ale nie rozwiąże głównego problemu – powiązania modelu biznesowego mediów społecznościowych z generowaniem negatywnych emocji.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Tropem szponta

Kto oglądał pierwszy sezon serialu „1670", ten pamięta kontekst kwestii wypowiedzianej przez zblazowanego syna magnata: „Nuda! Coś bym poszponcił. Jakaś heca, jakieś tańce!". No i wyszła niezła heca, bo hasła „szpont" i „szponcić" rywalizują o zwycięstwo w Młodzieżowym Słowie Roku AD 2025. Choć to słowa z brodą. W tym najstarszym zastosowaniu, pewnie nawet szlacheckim, szpont był „pokrywką oblepioną ciastem w miejscu zetknięcia się z garnkiem" albo synonimem szpuntu, czyli korka do zatykania otworu w beczce. Tak definiował je słownik pod red. Witolda Doroszewskiego, który już ponad pół wieku temu klasyfikował je jako przestarzałe. Tymczasem odradzało się wtedy w zakładach karnych, gdzie „szpącić" (wtedy raczej tak zapisywane) oznaczało tyle co „grypsować".

Co znaczy dzisiaj? Przeszło z kontekstów przestępczych w zabawowe, choć pozostał w nim element przekroczenia. Opisują intrygowanie, rozrabianie, robienie zamieszania, a czasem łamanie prawa. Kombinowanie, cwaniaczenie, wygłupy albo nawet szpanowanie i popisy. W ulicznym rapie słyszane jest bezustannie od lat. Przykłady? „Innym razem, starsze czasy, pewien kolunio szczery/ Latał, mącił, szpącił i wykręcał afery" (to grupa ZDR) albo „Łajzy jeb...ne, byłem sobą, jestem, sobą pozostanę/ A wy co? Małolaci, chcecie być za kumaci? Szpącić na braci?" (to już krakowska Firma). Regularnie używa go od lat Kaz Bałagane: „osiedlowe szponty", „taka prawda, każdy tu jest szpontem", a wreszcie: „stworzyłem własny świat tak jak Tolkien, to mój szpontland". Jakub Rużyłło, scenarzysta „1670", wywodzi się z rapowego środowiska, musiał więc dobrze znać to słowo. Czy jednak wiedział, że używał go również popularny w mediach społecznościowych patostreamer, który snuł dziwne teorie związane z komputerami? Ten rodzaj szponcenia, na pograniczu szaleństwa, który mógł zainspirować młodzież.



MÓWIĄ RYMY

Miałam oglądać serial, opier... lać sobie Laysy,
A muszę siedzieć w studio, expozując twoją bestie
Young Leosia, Ej Agatka, 2025 r.

expozować (ang. expose) – ujawniać, demaskować
bestie – najlepsza koleżanka

A kłopotliwa kwestia pisowni? Padło to pytanie na Facebooku, na stronie miłośników „1670": „Poszpącić czy poszponcić?". I tam właśnie można znaleźć jedyną właściwą odpowiedź: „To zależy, czy szponci szlachcic, czy chłop". No bo wiadomo, że syn magnata może dowolnie. Kto bogatemu zabroni?

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl d6bf8a6782

Wyspa upiornych zabawek i sielanka leniwej niedzieli – w meksykańskim Xochimilco tak różne nastroje łączą się w zadziwiająco płynny sposób.

Kolorową tratwą do świata duchów



PODRÓŻE

Ponad 50 mln – tyle razy obejrzano teledysk Lady Gagi do piosenki „The Dead Dance", a wraz z nim jedną z atrakcji stolicy Meksyku. Amerykańska supergwiazda, przebrana za zniszczoną porcelanową lalkę, tańczy w wideoklipie pośród dziesiątek innych postaci w obdartych ubrankach, bez oczu, rączek lub nóżek. Upiorno-groteskową całość nakręcił specjalista od oswajania żywych trupów i złowieszczych klimatów Tim Burton. Pod nagraniem pojawiły się liczne komentarze meksykańskich fanów: „Duma!", „Niech żyje Meksyk!", „Lady Gaga, Tim Burton, Xochimilco – co za wspaniałe połączenie!". Bo choć scenografia do teledysku wygląda jak z animowanych filmów reżysera, to istnieje naprawdę i została pokazana dość wiernie. Wideoklip nakręcono na Isla de las Muñecas, czyli na Wyspie Lalek, położonej w dzielnicy Xochimilco w stolicy Meksyku.

Na tym niedużym skrawku ziemi w latach 50. XX w. zamieszkał Julian Santana Barrera. Miejska legenda głosi, że przy brzegu wysepki utonęła dziewczynka, a mężczyzna słyszał jej głos. By upamiętnić zmarłą i ochronić się przed złem, powiesił na drzewie lalkę, którą znalazł w wodzie. Z czasem lalek przybywało. Barrera zmarł w 2001 r. na zawał serca, gdy łowił ryby – podobno dokładnie w tym samym miejscu, gdzie utonęła dziewczynka. Na jego wysepce było wtedy już około tysiąca lalek; niektóre przywozili turyści zwabieni dziwną atrakcją. Zwyczaj pozostawiania tu lalek przeżył swego pomysłodawcę i dziś pokiereszowanych zabawek jest już ponad 2 tys. A Isla de las Muñecas zyskała taką sławę – i to jeszcze przed teledyskiem Lady Gagi – że zaradni sąsiedzi zaczęli tworzyć jej podróbki. Ale duchy można spotkać tylko na tej prawdziwej...

W zasadzie nie jest to wcale wyspa, tylko *chinampa*. Słowo to nie ma dosłownego tłumaczenia na polski, ale bywa przekładane jako „sztuczna wyspa" lub „pływający ogród". Trafniejsze jest pierwsze określenie, bo *chinampas* powstawały na podmokłych terenach nad jeziorami jako bardzo żyzne poletka na działkach wygrodzonych pomiędzy tworzącymi sieć kanałami. Ten pradawny, mezoamerykański sposób uprawy stosowano zwłaszcza na jeziorze Xochimilco i rozległym systemie kanałów, łączącym miasta i osady w Dolinie Meksyku. Do dziś przetrwało ok. 170 km kanałów, gdzie nadal uprawia się kwiaty i warzywa, a głównym środkiem transportu pozostają tratwy.

Xochimilco – wraz z historycznym centrum miasta Meksyku – zostało w 1987 r. wpisane na listę UNESCO. To ostatnie miejsce, gdzie można spróbować wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać cała dolina w czasach przed europejskim podbojem.

Ta wyjątkowość sprawia, że Xochimilco przyciąga turystów – zarówno zagranicznych, jak i krajowych – a także mnóstwo mieszkańców stolicy, którzy uwielbiają spędzać tu niedziele. Jedni i drudzy wynajmują tratwy nazywane *trajineras*. Bajecznie kolorowe i porównywane do gondoli, stały się wizytówką dzielnicy. Ponieważ zwyczajowo wynajmuje się całą kilku- albo kilkunastoosobową tratwę, najlepiej przyjechać w większym towarzystwie, ewentualnie, jak w moim przypadku, przyłączyć się do mniejszej grupki na miejscu. Sunąc po wodzie, mija się kolejne wysepki, ale też pływające bary z piwem podawanym z limonką i ostrym sosem, w kubkach z brzeżkiem oprószonym solą, czyli typowymi meksykańskimi *cheladas* i *micheladas*, a także garkuchnie serwujące przekąski: *quesadillas* z kwiatem dyni czy kurczaka w czekoladowym sosie *mole negro*. Po kanałach niesie się muzyka również pływających na tratwach *mariachis*.

Nasza tratwa cumowała przy kolejnych *chinampas*, na których mogliśmy zaopatrzyć się w rozmaite rośliny i sadzonki. I oczywiście przy Wyspie Lalek. Ale klimat sielskiej niedzieli w wesołym, meksykańskim towarzystwie nie nastrajał mnie do zwiedzania tego popularnego, choć ponurego miejsca. Dziś, po teledysku Lady Gagi i Tima Burtona, chętnych do odwiedzenia wyspy jest pewnie znacznie więcej. I choć sama nadal wolę pogodną i kolorową stronę Xochimilco, nie dziwię się, że Wyspa Lalek przyciąga jak magnes. ■



Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

© JULIA ZABRODZKA, ARCHIWUM PRYWATNE (2), TOMEK MĘDREK

eprasa.pl d6bf8a6782



Zupa jeszcze jesienna

Po przyjściu ochłodzenia, jak to w porządnym polskim domu, gotujemy gar zupy, która nasyci nas przynajmniej przez kilka dni.

Zawsze mnie dziwi, że w naszej kuchni jest tak mało strączków – jemy trochę grochu, białej fasoli, niektóre regiony mają dania z soczewicy, ale to właściwie tyle. A tak wiele jest sposobów na ich przygotowanie! Moja jesienna zupa – oprócz strączków – wymaga tylko paru łatwo dostępnych składników, minimum uwagi i 40 minut. Taka zupa syci, krzepi (złamanego serca raczej nie polepi, ale próbować można) i pomaga bardziej cieszyć się jesienią/zimą. ■

Rozgrzewająca wegańska zupa (6–8 porcji):

- 8–10 łyżek oliwy
- 1–3 ząbki czosnku
- 2–3 cm imbiru
- 1 mała cebula (100–150 g)
- 2 puszki pomidorów krojonych pulpy lub 700 ml passaty (duża butelka)
- 2 łyżki cukru kryształu
- 1,5 łyżki kuminu
- 1,5 łyżki kolendry
- 1 łyżka czegoś paprykowego i lekko pikantnego (np. mieszanka harrisa)
- 75–100 g komosy ryżowej
- 300–400 g strączków (patrz wskazówki)
- ostra papryka w proszku (np. chili, kaszmirska itp.) do smaku
- 1/2 łyżeczki soli lub do smaku
- świeżo mielony pieprz do smaku
- dużo posiekanej kolendry i/lub natki pietruszki
- sok z 1/2 limonki (opcjonalnie)
- 2 łyżki płatków drożdżowych lub zmielonych suszonych shiitake dla umami (opcjonalnie)

Do podania:

- posiekane zioła (kolendra, natka)
- pestki/ziarna/orzechy
- limonka
- kwaśna śmietana lub rzadki jogurt
- grzanka z porządnego chleba na oliwie



Tomek Mędrek
– bloger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikuje na blogu Veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: @tomek.medrek.

Wykonanie (ok. 40 min)

- Kroimy w drobną kostkę czosnek, imbir i cebulę. W minimum 3–4-litrowym garnku rozgrzewamy oliwę na średnim ogniu. Smażymy na niej czosnek, imbir i cebulę przez 4–5 minut, aż cebula lekko zmięknie, a czosnek i imbir będą bardzo aromatyczne. Uważamy, by ich nie spalić, ale lekki stopień zbrązowienia nie zaszkodzi.
- Kompletujemy przyprawy podstawowe: kumin, kolendrę i coś paprykowego (może to być słodka papryka w proszku ze szczyptą chili lub przyprawa harissa). Wyłączamy na chwilę ogień pod garnkiem i wrzucamy przyprawy. Prażymy je chwilę tak, by zaczęły pięknie i mocno pachnieć, ale również uważamy, żeby ich nie spalić.
- Włączamy znów średni ogień i dodajemy pomidory. Mieszamy w miarę dokładnie. Puszki z pomidorów płuczemy wodą tak, by dodać jeszcze półtorej puszki wody (ok. 600 ml) do zupy. Dodajemy wodę i dwie łyżki cukru. Zagotowujemy i tak gotujemy 5–10 minut. Dodajemy komosę, mieszamy i przykrywamy, ale nie całkiem, i gotujemy na wolnym ogniu 15 min, aż komosa zacznie pokazywać sprężynki. Zupa wtedy dosyć mocno zacznie się zagęszczać, więc możemy dodać jeszcze pół puszki wody (ok. 200 ml).
- Dodajemy też strączki, zagotowujemy i gotujemy ok. 5 min. Gdy smaki się przegryzą, możemy spróbować zupy i zdecydować, czym ją doprawić do smaku. Na tym etapie będzie ona dosyć jałowa.
- Doprawiamy cukrem (jeżeli jeszcze potrzeba), solą (zacznijmy od 1/2 łyżeczki), pieprzem, sokiem z limonki i ewentualnie czymś ostrym. Możemy również dodać płatki drożdżowe lub shiitake. A dla umami zamiast soli sięgnijmy po sos sojowy.
- Siekamy i dodajemy dużo kolendry lub/i natki pietruszki. Gotujemy jeszcze dosłownie kilka minut i gotowe! Podajemy z grzanką, gorące, obsypane ziołami, pestkami/ziarnami/orzechami, skropione limonką i polane z wierzchu śmietaną.

Wskazówki

- Najważniejsze to złapać balans przy doprawianiu. Po dodaniu strączków trzeba dosmaczyć zupę smakami słonym, pikantnym, kwaśnym i słodkim.
- Zupę przed dodaniem strączków, a po ugotowaniu komosy, można zblendować – całą lub częściowo. Ja akurat tego nie robię, bo lubię, gdy ma wiele tekstur.
- Strączki takie jak fasola mung czy czerwona soczewica można dodać w tym samym czasie co komosę i wraz z nią je ugotować. Ciecierzycę, fasolę, groch lub sojęę dodajemy ugotowane lub/i konserwowe. Edamame nie będzie tutaj pasować.
- Przez obecność strączków, a przede wszystkim komosy, zupa po nocy w lodówce się zagęści. Żeby ją rozrzedzić, można dodać wody – w ten sposób ilość zupy z dnia na dzień będzie rosnąć. Jak w porządnym polskim domu.

eprasa.pl d6bf8a6782

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Polacy w gotowości

Wojsko znów otworzyło się na cywilów – i rozpoczęło cykl dobrowolnych szkoleń obronnych pod hasłem „wGotowości”. Chętnych nie brakuje, do pilotażu zgłosiło się 18 tys. Polek i Polaków. Był wśród nich Marek Świerczyński, ekspert ds. bezpieczeństwa Polityki Insight, który na polityka.pl relacjonuje, czego się w kilka godzin nauczył i co zobaczył. „Pierwsza i najważniejsza obserwacja: wśród setek ludzi zapełniających plac do ćwiczeń młodzieży prawie nie ma”.



Korwin halucynuje

Ta sprawa przeszła bez echa. We wrześniu, jak pamiętamy, polską przestrzeń powietrzną naruszyły rosyjskie drony. 83-letni Janusz Korwin-Mikke stwierdził, że przywędrowały do nas z Ukrainy, i złożył zawiadomienie do prokuratury na ministra Radosława Sikorskiego, który w porozumieniu z Kijowem rzekomo wszczyna wojnę z Rosją. Skąd ma te informacje? Chatbot mu przekazał. Kulisy sprawy opisuje na polityka.pl Juliusz Ćwieluch.



TSUE wyrokuje

Unijny trybunał wydał wyrok w sprawie transkrypcji aktów małżeństwa par jednopłciowych. Czy Polska uzna zatem związki LGBT? Jaki to będzie miało wpływ na projekt ustawy dotyczący statusu „osoby najbliższej”? O to w „Polskim demo”, podkaście POLITYKI i Fundacji im. Batorego, pytamy posłankę KO Dorotę Łobodę. Ale też o to, jak się debiutuje w polskim Sejmie i dzieli poselskie ławy z Romanem Giertychem i innymi weteranami.



Czarna śmierć, czyli blisko katastrofy

Kto w 1963 r. przywiózł ospę prawdziwą do Polski? I dlaczego zagraniczna podróż pacjenta 0 była tajemnicą służb? O „czarnej śmierci” Marcin Zaremba rozmawia w podkaście historycznym POLITYKI z Agnieszką Nowakowską-Twardowską, dziennikarką i wykładowczynią. Wyjaśniamy, jak Wrocław zamienił się w twierdzę i jak wyglądał ten zapomniany dziś lockdown. Gdyby nie szczepienia, skończyłoby się katastrofą. A organizował je wtedy... ZSRR.



Rok na scenie i na ekranie

W specjalnym wydaniu naszego kulturalnego podkastu podsumowujemy pierwsze nominacje do Paszportów POLITYKI, a przy okazji czynimy przymiarki do podsumowania roku w polskiej kulturze, głównie na ekranie i scenie. Twórców najbardziej interesuje dziś rodzina. Widzów, jak się okazuje, również. Dlaczego festiwal w Gdyni zlekceważył filmy, na które dziś ściągają do kin miliony? O tym też rozmawiamy – w rodzinnym gronie działu kultury.

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl d6bf8a6782

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl d6bf8a6782


TISSOT
SWISS WATCHES SINCE 1853
TISSOT
1853
POWERMATIC 80
CHRONOMETER
TISSOT BALLADE AUTOMATIC COSC
THE GIFT OF TIME
TISSOT BOUTIQUE WARSZAWA, ZŁOTA 59, ZŁOTE TARASY
WWW.TISSOTWATCHES.COM